

GANBARE!
WARSZTATY
UMIERANIA
Katarzyna Boni
がんばれ



GANBARE!
WARSZTATY
UMIERANIA
Katarzyna Boni
がんばれ

SPIIS TREŚCI

I

Japońskie opowieści grozy
Śmieci
Miasto, którego nie ma
O tym, co się kryje pod wodą
Cztery tsunami pana Satō
Gdyby ludzie byli smokami
Pan Żaba ostrzega
Północ
Słownik słów zakazanych
Kremacje
Niepamięć
Survival Kit
Babcia Abe
Przeterminowani
Biała plama
Ponarzekaj sobie
Zadzwoń do mnie
Rozczarowanie
O czym śni się w Tōhoku
Kim zostaniesz po śmierci
Duchy

II

Cień
Kampai!
Atom
Bum!
Kami
Przyszłość
Nowy bestiariusz japoński
Wyspa Szczęścia

Najpiękniejsza wioska Japonii

Północny wiatr

Lament

Yuna

Wyczyśćcie naszą ziemię

Pomniki

Jedna miska ryżu

Popłacz sobie

Pan Matsumura nie czuje się samotny

Śmierć w Tokio

Zbadaj się

Granica

Strefa

Powroty

Pusty dźwięk

Pytania

Będzie taki piękny słoneczny dzień

III

Warsztaty umierania

Podziękowania

Źródła

Przypisy

Ganbare! to od 11 marca 2011 roku najczęściej powtarzane słowo w Tōhoku – zniszczonym przez tsunami północno-zachodnim regionie Japonii.

Zapisywane na tablicach ustawionych wzdłuż dróg, drukowane w lokalnych gazetach, wypowiedziane przez przedstawicieli rządu, artystów, dziennikarzy, wolontariuszy.

Cała Japonia woła: *Ganbare!*

Dajcie z siebie wszystko! Trzymajcie się! Walczcie! Dacie radę!

Ganbare Tōhoku!

Granica pomiędzy tym, kiedy potrzebujesz zachęty, a tym, kiedy potrzebujesz pomocy, jest bardzo cienka. Japończyk powiedziałby: *Giri giri*.

Czasem *ganbare!* zmotywuje cię do działania. Czasem, gdy słyszysz *ganbare!*, czujesz się bardzo samotnie.

Daj z siebie wszystko! Trzymaj się! Walcz!

JAPONSKIE OPOWIEŚCI GROZY

W epoce Edo, kiedy Japonia dobrowolnie zamknęła się na świat, uznając, że nie ma on jej nic do zaoferowania, w letnie wieczory grywano w „Sto opowieści grozy”. Kiedy zelżał upał i wreszcie można było normalnie oddychać, ludzie – czy to w chłopskich chatkach, czy to w kupieckich domach, czy to w zamkach – gromadzili się w ciemnym pokoju. Zza okna słychać było rechot żab i brzęczenie cykad.

Gracze siadali na matach *tatami* wokół niskiego stolika, na którym paliło się sto świec. Po kolei opowiadali o mścicielach z za grobu, o okaleczonych duchach, o nawiedzonych domach, o górskich potworach porywających kobiety, o śnieżnych pannach zwodzących mężczyzn i uśmiercających ich lodowatym oddechem. O upiorach, które dręczą ciała żywych, o zaklęciach ochronnych malowanych na ciele, o odciętych uszach. O fruujących nocą oderwanych od ciała głowach, które szukają ludzkiej krwi, żeby zaspokoić głód.

Kiedy kolejny gracz kończył swoją opowieść, gasił jedną ze świec. W pokoju robiło się coraz więcej miejsca dla duchów.

Wierzono, że gdy zgaśnie ostatnia świeczka, pojawią się wśród zebranych.

ŚMIECI

W 2012 roku u brzegów Alaski zaczęły wypływać śmieci. W splątanej masie styropianu, kanistrów, sieci rybackich i połamanych belek plażowicze znajdowali przedmioty pochodzące z innej rzeczywistości.

Plastikowy sandałek.

Porcelanową miskę.

Kask ochronny.

Zapalniczkę.

Drewnianą figurkę wojownika.

Butelkę z szamponem.

Piłkę do siatkówki podpisaną niebieskim flamastrem.

Dziecięcy bucik z zawiązanymi sznurowadłami.

Zatemperowane ołówki.

W mroźny lutowy dzień David Baxter podniósł z piasku żółtą boję z czarnym chińskim znakiem 慶.

Postanowił odnaleźć jej właściciela.

Piętnaście miesięcy później w mieście Minamisanriku, 430 kilometrów na północ od Tokio, pani Sakiko Miura za pożyczone z banku pieniądze otworzyła nową restaurację. Pierwszą zabrało tsunami. Tak samo jak dom pani Miury i nadmorskie dzielnice miasta. O tym, że bojkę z nazwą jej restauracji znaleziono na Alasce, pani Miura dowiedziała się z programu telewizyjnego, w którym wystąpił David Baxter.

Znak 慶, „Kei”, namalowany na bojce to pierwsze z dwóch *kanji* imienia jej męża – Keigo. Zmarł ponad 30 lat temu. Kobieta została sama z czwórką dzieci. Dorabiała w miejscowych knajpkach. Po czterdziestce zrobiła korespondencyjnie maturę. W wieku 50 lat otworzyła własną restaurację, Keimeimaru, w której podawała tylko specjały z lokalnego targu: owoce morza, ikrę łososia i ryby.

Odbudowana restauracja pani Miury to jedyny budynek, który stoi w dawnej mieszkalnej dzielnicy Minamisanriku. Spotykają się tu dawni sąsiedzi, rozproszeni po osiedlach tymczasowych. Pod ścianą, na stole ozdobionym kwiatami, leży żółta bojka. Obok niej zdjęcie Davida Baxtera.

David Baxter odnalazł jeszcze siedem innych osób, których rzeczy podniósł z plaży. Kolejne czekają na właścicieli. Ich zdjęcia można oglądać na stronie Tsunami Return.

Ostatnio jednymi z gości restauracji pani Miury byli David i jego rodzina.

MIASTO, KTÓREGO NIE MA

Brunatna rozmokła gleba, błoto rozjechane kołami ciężarówek. Płoty, dźwigi, koparki. Olbrzymie taśmociągi – wsparte na pięciometrowych nogach tunele, które nanoszą na wybrzeże ziemię z oddalonych o kilometr gór. Plac budowy na wielką skalę.

Kiedyś było tu miasto.

Rikuzentakata.

Rzędy dwupoziomowych domów z ogrodami, w których wczesną wiosną kwitły kwiaty śliwy, w lecie hortensje, jesienią czerwieniły się liście klonów (drobne i niewielkie, inne od naszych), a zimą spod czapy śniegu wystawały sosnowe igły.

Było. Nie ma.

Główna zakupowa ulica z białymi arkadami osłoniętymi od słońca i deszczu dachem. Mówiono na nią *shatto dōri*, od *shutt* – zamknięta, i *dōri* – ulica. Młodzi wyjeżdżali do większych miast. Starzy nie mieli już siły. Zamykało się coraz więcej sklepów. Puste pawilony pod białymi arkadami.

Było. Nie ma.

Port, w którym cumowały nieduże kutry. Rikuzentakata żyła z morza. Tuńczyk, dorada, ryba maślana, seriola, wodorosty, przegrzebki, jeżowce. I te ostrygi! Mięsiste i pełne smaku.

Było. Nie ma.

Szkoła podstawowa, gimnazjum, ratusz, liceum, apteki, szpital, prywatna klinika dentystyczna, stadion baseballowy, centrum handlowe, restauracje, stacja benzynowa, kwaciarnia, tory kolejowe, dworzec, fabryczka sake, cukiernik, wytwórca mat *tatami*, producent węgla, kilka przetwórní, plac zabaw, przedszkole.

Było. Nie ma.

Otoczone krzakami dereni i azalii polany na wzgórzu, z których latem całe miasto oglądało pokaz fajerwerków.

Było. Nie ma.

Furtki, murki, ogrody, ściany, dachy, ulice, okna, witryny sklepowe, spuszczone żaluzje, przystanki przy drodze, chodniki, drzewa.

Było. Nie ma.

Miasto na dwadzieścia cztery tysiące mieszkańców.

Było. Nie ma.

I jeszcze las. Siedemdziesiąt tysięcy sosen porastających piaszczysty brzeg. Zapach

igliwia zmieszany z bryzą morską. Ludzie przyjeżdżali tu tylko dla nich. Na spacer wśród drzew.

Było. Nie ma.

Przetrwała tylko jedna sosna. Żyła jeszcze rok po tsunami, ale jej korzenie umarły – w glebie pełnej soli. Eksperci do środka martwego pnia włożyli stalowe rusztowanie. Dwadzieścia siedem metrów wysokości. Dodali sztuczne gałęzie, liście z żywicy syntetycznej. Wygląda jak żywa. Będzie stać. Cudowna sosna. Symbol miasta Rikuzentakata, które nigdy się nie podda.

Zawsze się tu gubię. GPS do niczego się nie nadaje. Nowych dróg nie ma na mapie. Za to są na niej stacje benzynowe i sklepy spożywcze, które już nie istnieją. Przejeżdżam szosą od morza do wzgórz. To tędy szło tsunami, dziesięć kilometrów w głąb lądu. Na zboczach, tam gdzie nie sięgnęła fala, ciągle stoją domy. Na szczycie wzgórza i po jego drugiej stronie rozciąga się miasto tymczasowe. Ratusz z połączonych ze sobą metalowych kontenerów i kontenerowe restauracje. Kontenerowe osiedla. Żadnych znaków szczególnych.

Na wybrzeżu wre praca. Muszą je podnieść o kilka metrów, zanim zbudują tu nowe miasto. Długimi taśmociągami nanoszą ziemię ze wzgórz. Blisko morza otworzą sklepy, apteki, kliniki dentystyczne, warzywniaki i kwiaciarnie. A tuż nad wodą zbudują dwa wały ochronne. Pierwszy – trzy i pół metra, drugi – dwanaście i pół. Na jego szczycie stanie miejsce pamięci zwrócone w stronę oceanu. Naokoło zasadzą siedemdziesiąt tysięcy sosen. Za pięćdziesiąt lat znowu będzie tutaj las.

Teraz na wielkim placu budowy stoi jeden budynek. Długi blok tuż nad morzem. Pięć pięter, balkony przedzielone barierkami. Na piątym piętrze pozamykane szklane drzwi. Na jednym z balkonów wciąż suszy się pranie rozwieszzone na plastikowym wieszaku z wieloma klamerkami. Od czwartego piętra w dół – chaos. Wybite szyby, spleśniałe materace, gałęzie drzew zablokowane we framugach. Na dole wyrwiona do góry nogami pralka i wbita w okno sosna wyrwana z ziemi razem korzeniami.

Klatkę schodową blokuje słup telegraficzny. Obrócony w poprzek, trzeba się schylić, żeby wejść wyżej. Kable zwisają z rozwalonych sufitów. W mieszkaniach na ziemi leżą potłuczone talerze, w ścianę wbite są noże.

A na ostatnim piętrze na stołach stoją filiżanki, w szafach leżą wyprasowane ubrania, łóżka zostały równo zaścielone.

Pierwsza fala była najsilniejsza. Z hałasem odbiła się od wzgórz otaczających równinę, na której stała Rikuzentakata. Fala, która idzie od morza, nie jest tak straszna, można się utrzymać na jej powierzchni. Ale kiedy wraca, ma zasysającą moc. Wszystko

w niej wiruje.

Druga fala była najwyższa. To ona zabrała ludzi z dachów. Niektórzy przeżyli – wspięli się na kominy. Pracownicy ratusza – 126 osób – stali na dachu budynku po kostki w wodzie. Jeszcze dwa metry i też zabrałoby ich morze.

Fal było dziesięć, a może piętnaście. Kto by je liczył. Ludzie mówili, że w oddali woda przetaczała się tak, że chwilami widać było dno morza. Za pierwszym razem to sama woda – brudna, szara, spieniona. Ale każda kolejna fala pełna jest samochodów, fragmentów domów, telewizorów, stołów, krzeseł, kuchenek, skrzynek pocztowych, wanien, latarni, potłuczonych porcelanowych kubeczków, pluszowych foteli, czajników, szczotek do włosów i albumów pełnych zdjęć.

Ściana wody z tego, co przed chwilą było miastem.

Z trupami ryb, psów i ludzi.

Ocean dał Rikuzentakacie spokój o piątej nad ranem. Ci, którzy nie zdążyli uciec na wzgórza i których nie porwała woda, spędzili całą noc na dachach. Mówili, że w zyciu nie widzieli tylu gwiazd.

A kiedy wzeszło słońce, ujrzeli przed sobą pokryte szlamem rumowisko.

Nie było furtek, murków, ogrodów, ścian, dachów, ulic, okien, witryn sklepowych, spuszczonej żaluzji, przystanków przy drodze, chodników ani drzew. Tylko niebo. Intensywne, niebieskie.

Piękne, mówili.

Z 24 tysięcy mieszkańców Rikuzentakaty zginęło 1700 osób.

Tsunami zmieniło coś, co wydaje się niezmiennie – wygląd wybrzeża. Całe fragmenty – na których kiedyś stały stacje benzynowe i warzywniaki – zabrała woda. Dziś miasto szybciej się kończy.

Fale połamały drzewa odgradzające wioski od morza – teraz mieszkańców, nawet tych, którzy blisko morza nie żyją, nęka dotkliwy wiatr. Zimny, przenikający prosto do kości. Pachnący oceanem.

Woda zabrała okrągłe otoczaki z kamiennych plaż. Ludzie dobrze pamiętają dźwięk kamieni poruszanych falami. Wysoki, terkoczący. Po tsunami już tylko ciężko grzechoczą.

Skały nie wyglądają tak samo, kamienie na plaży nie brzmią w ten sam sposób, drzewa nie chronią przed wiatrem, zmienił się widok – zamiast linii lasu jest linia morza. Nic w tym cichym północnym świecie nie jest takie samo.

Tylko cykady brzmią jak dawniej. Podobno w ich muzyce słychać głosy zmarłych.

O TYM, CO SIĘ KRYJE POD WODĄ

Raz w tygodniu, w weekend, Masaaki Narita pakuje do czarnej torby rękawice, skafander, maskę i płetwy. Dojazd nad ocean zajmuje mu pół godziny. Przejeżdża przez most, skręca w lewo w jednopasmówkę. Mija domy ze skośnymi szarymi dachami, budynek nieczynnej poczty, supermarket, pusty posterunek policji, targ rybny w połączonych blaszanych kontenerach. Za miastem droga prowadzi wzdłuż brzegu, pośrodku jest tylko linia kolejowa, którą jedenaście razy dziennie przejeżdża niewielki pociąg łączący Ishinomaki z Onagawą. Z lewej strony porośnięte trawą pagórki, z prawej zatoka. Na wodzie kołyszają się łódki rybackie. W tle widać zielony półwysep Oshika.

Masaaki jedzie w ciszy. Nie lubi, żeby coś go rozpraszało.

Ma 58 lat. Żonę, duży nowy dom i niewielki ogród, pudełka z kokardką nad uchem i przetwórnię ryb, w której zatrudnia pięćdziesiąt osób. Nurkować zaczął dwa lata temu, pod koniec 2013 roku. Z początku nie panował nad ciałem. Wydychał za dużo powietrza, opadał za nisko, płetwami zahaczał o dno, wzbijał chmury piasku, ograniczając i tak już słabą widoczność. Ale po ponad stu zejściach pod wodę nad ciałem ma już pełną kontrolę.

Parkuje pod jednopiętrowym domem niedaleko głównej drogi łączącej dwa miasta. To centrum nurkowe. Dziś przyszło osiem osób, podzielą się na dwie grupy. Masaaki nie siada na kanapie, nie pije herbaty. Stoi z boku oparty o ścianę. Słucha briefingu. Jedna grupa wypłynie z półwyspu Oshika, tam ostatnio widziano koniki morskie i niewielkie rybki z grzywą na czole, która imituje koralowiec. Druga startuje z przystani w Takenoura. Będą wypatrywać ośmiornic, mikroskopijnych małw i nakrapianych ryb w kształcie pudełka. Masaaki czeka na swojego *buddy* – Yasuo. Zawsze nurkują razem. Znają się od pięciu lat, od marca 2011 roku. Choć spotkali się już wcześniej. Niedawno odkryli, że chodzili do tej samej podstawówki, tylko do różnych klas.

Są tego samego wzrostu. Masaaki ma podłużną twarz i wąskie usta. Czarna grzywka opada mu na czoło. Yasuo ma potężne ramiona, pracował w Japońskich Siłach Samoobrony, dopiero niedawno przeszedł na emeryturę i został kierowcą autobusu dowożącego pracowników do elektrowni jądrowej w Onagawie. Włosy ma zaczesane na prawą stronę, nad czołem siwe pasmo. Szeroka twarz, grube brwi, ciężkie powieki.

To Yasuo namówił Masaakiego na kurs nurkowania. Jeśli któryś nie może, drugi pod

wodę schodzi sam. Nie lubią łączyć się w pary z ludźmi, którzy przyjechali na *fun diving*. Coraz więcej tu takich. To jedyne centrum nurkowe w całej prefekturze Miyagi, jeśli nie na całej północy Japonii. A pod wodą dużo interesujących rzeczy. Takahashi, instruktor i właściciel centrum, robi dla Masaakiego i Yasuo wyjątek. Mogą nawet oddzielać się od grupy, mają odpowiednie uprawnienia. Byleby nie odpływali za daleko.

Nad brzegiem zakładają skafandry, osłaniają uszy kapturami i ładują na łódź butle z tlenem. Kiedy wypłyną z przystani (naprawdę jest niewielka, przy betonowym pomoście cumuje tylko pięć łódek), poza osłaniający brzeg falochron, założą na plecy butle i skoczą do wody. Masaaki z nikim nie rozmawia. Już dawno ustalił z Yasuo odpowiednie gesty, nic nie muszą sobie tłumaczyć. Koncentruje się na oddechu. Byleby nie myśleć o tej czarnej toni pod kadłubem łodzi.

Bo Masaaki nie lubi oceanu.

Nurkować też nie lubi. Nie sprawia mu to żadnej przyjemności.

Pacyfik jest zimny nawet w lecie, jakby słońce nie potrafiło go ogrzać. Ciemna woda nie pozwala spojrzeć w głąb. Plaże otoczone są wysokimi klifami, sosny wygięte wiatrem. Linia brzegowa jest tutaj poszarpana, porównywana do zębów piły: riasowe wybrzeże rozcięte przez głębokie doliny, z krętymi zatokami, wysepkami, półwyspami, cyplami i cypelkami, na których zapobiegliwi rybacy poustawiali świątynie dla bóstw morskich. Najważniejsze z nich to bóg Susanoo. Syn pary demiurgów, Izanagi i Izanami, którzy stworzyli japońską ziemię. Gdy niebiańską włóczęgią mieszała bezmiar wód, z włóczęgi spadła jedna kropla – tak powstała wyspa Onogoro. To na niej Izanami zrodziła kolejne wyspy, również Honsiu, Kiusiu i Sikoku. Z połączenia boskiej pary powstało jeszcze wiele bogów i bogiń, a także góry, drzewa i rzeki. Ale kiedy Izanami urodziła boga ognia – umarła spalona od środka. Izanagi – niczym Orfeusz – szukał swojej żony w Krainie Ciemności. Znalazł tylko jej gnijącego trupa. Uciekł z podziemnego świata ścigany przekleństwami ukochanej. Dopiero na powierzchni przystanął nad strumieniem, w którym oczyścił skażone ciało. Kiedy przyłożył dłoń do lewego oka, narodziła się Amaterasu, najważniejsza japońska bogini, pani słońca, która oświeciła ziemię i daje jej życie. Kiedy przyłożył dłoń do prawego oka, narodził się Tsukiyomi, bóg księżyca, pan nocy, władca przypływów i odpływów. A kiedy przyłożył ręce do nosa, narodził się Susanoo, niepokorny bóg wiatru, burz i sztormów. Opiekun oceanu.

Ale Pacyfikowi jeden bóg nie wystarczy. Chramy szinto z czerwonymi bramami *torii* stawia się również dla smoka zwanego Ryūjin, władcy podwodnego królestwa. Bogini połowów – Funadama – ma specjalne miejsce w masztach łodzi rybackich.

A niezliczone, często bezimienne lokalne bóstwa, kami, które opiekują się zatokami, ujściami rzek, plażami, falami, skałami i drzewami, czczone są w kapliczkach, chramach, świątyniach, albo po prostu przed kamieniami, na których wyryto ich znaki.

Masaaki siada na brzegu łodzi, bierze głęboki wdech i plecami uderza o taflę wody.

Znikają wszystkie dźwięki. Słysząc tylko własny oddech – wdech ma ciężkie brzmienie, wydech bulgocze bąbelkami powietrza, które ulatują w górę. Żeby nie tracić tlenu, oddech trzeba uspokoić. Zanurza się nogami w dół, ciało robi się coraz cięższe, zaczyna opadać jak kamień. Dziś schodzą na piętnaście metrów. Masaaki i Yasuo trzymają się z boku grupy, która wypatrzyła ślimaka morskiego w jaskrawych kolorach. Uważnie rozglądają się na boki, pływają z prawa na lewo równymi liniami. Zatrzymują się przy stercie kamieni, ostrożnie rozgarniają piasek, tak żeby nie wzniecić chmury, która opadałaby przez dobre kilka minut. Ale pod kamieniami kryje się tylko flądra. Obok rośnie kilka wodorostów. Doganiają grupę, która wypatruje koników morskich. Dwie dziewczyny pokazują coś palcami. Na ziemi leży gruba opona, cała obrosnięta koralowcami. Na Masaakim i Yasuo to już nie robi wrażenia. Widzieli sandały, których podeszwy porastają wodorosty, i kalosze, które służyły za kryjówkę dla jeżowców z długimi czarnymi kolcami. Widzieli materace w kwiatki, pod którymi spały ośmiornice. Widzieli pralki, w których bębnach mieszkały niebiesko-żółte ślimaki morskie, i przenośne wentylatory, obok których chowały się płaszczyki. A kiedyś pod wodą znaleźli portfel, raz album ze zdjęciami i podpisane wypracowanie.

Ale oni chcieliby znaleźć kości.

Emi urodziła się 10 grudnia 1984 roku. Mama, pielęgniarka miejscowego szpitala, nie chciała wypuszczać jej z rąk. Tata, Masaaki, zachwycał się drobnymi palcami, zgrabnym noskiem, czarnymi włosami i oczami o wyrazistym spojrzeniu. – Jest taka jak ty. Jak dwie krople wody – mówiła tacie cała rodzina.

Niedługo po urodzeniu Emi mama zachorowała na raka. Lekarze kręcili głowami, dawali jej niewielkie szanse. Spieszyła się więc z wychowaniem córki. Chciała zostawić jej jak najwięcej rad, wszystkie po to, by Emi w życiu była szczęśliwa: ale jak z kilkulatką rozmawiać o złamanym sercu i dorastaniu? Jedyne, co mogła, to spędzać z nią czas. Jak najwięcej czasu. Chciała zapamiętać wszystko: pierwsze ząbkowanie, pierwsze kroki, pierwsze słowa, pierwszą zabawkę, pierwszy taniec.

Wbrew przewidywaniom lekarzy mama Emi wyzdrowiała. Nie zdecydowała się już na więcej dzieci. Całą miłość miała dla swojej jedynaczki. Raz do roku, tylko we dwie, jeździły pod Tokio do Disneylandu. Przebierały się za księżniczki, robiły zdjęcia z Myszka Miki. Odwiedzały domy strachu, choć obie bały się bać. Szły korytarzami,

mocno trzymając się za ręce. Czekwały na wieczorną paradę rozświetloną milionem kolorowych lampek. I na fajerwerki nad zamkiem Kopciuszka. Dzień kończyły, zajadając różowe ciasta. Do domu wracały obładowane zakupami: breloczki, T-shirty, naklejki, magnesy na lodówkę. Emi jeszcze długo opowiadała tacie i babci o spotkaniu z Królową Śnieżką.

To babcia dbała o Emi. Kiedy mama i tata pracowali (ona – pielęgniarzka, on – właściciel przetwórci rybnej), to ona karmiła małą, to ona podtrzymywała ją, kiedy uczyła się chodzić, to ona ćwiczyła z nią żmudne pisanie japońskich znaków (山 – góra, 川 – rzeka, 田 – pole ryżowe, 天 – niebo, 火 – ogień, 水 – woda, 力 – siła, 生 – życie), to ona słuchała o kłótniach z przyjaciółkami i pierwszych miłościach. I zawsze miała jedno rozwiązanie: jedzenie. O, jak Emi lubiła kuchnię babci! Ryż zaprawiony octem i zmieszany z podsmażonymi na patelni grzybami. Kiszona rzepa i kiszone liście wiśni. Jajeczny budyń na słono – z krewetką i kapeluszem grzyba shiitake. Dynia marynowana w brązowej paście miso, zupa z ikrą jeżowca, tofu w panierce, sałatki z majonezem. I ryby. Surowe, gotowane na parze, smażone w błyszczącym sosie teriyaki, zamieniane w pastę i opiekane nad grillem. Kiedy Emi pochylała się nad talerzem, trzęsły jej się uszy.

Ale i mama, i babcia mówią, że Emi była córeczką tatusia. Spędzał z nią każdą wolną chwilę. Po pracy zabierał do parku, gdzie bawili się, odbijając drewnianą piłeczkę, skacząc przez skakankę i szukając czterolistnej koniczyny. Miała nie tylko jego wygląd, lecz także charakter – skrupulatna, przewidująca. Lubiła porządek i markowe ciuchy.

Nic dziwnego, że kiedy Emi dostała się do college’u, wcale nie chciała wyjeżdżać z domu, choć Sendai, największe miasto regionu, leży tylko godzinę drogi od Ishinomaki. Zwlekała z opłatą za akademik. W skrzynce pojawiały się wezwania. Zawsze taka obowiązkowa – to nie było do niej podobne. Wyjechała studiować literaturę angielską – po japońsku. Po angielsku potrafiła czytać, jak wszyscy Japończycy, którzy obowiązkowo uczą się tego w szkole. Ale już nie mówić. Wymowa nie jest ćwiczona podczas lekcji. Co weekend wracała do domu. Babcia, choć trochę obrażona na wnuczkę, i tak szykowała dla niej góry jedzenia.

Po dwóch latach Emi wróciła do Ishinomaki i zaczęła pracę w Banku 77 (Shichijū Shichi Ginkō), największym regionalnym banku w Tōhoku. Za pierwszą premię na koniec roku kupiła sobie torebkę Louis Vuitton. Resztę pieniędzy rozdała babci i dalszej rodzinie.

Wychodziła rano i zabierała ze sobą przygotowany przez babcię lunch: ryż, grillowana ryba i pikle. Po pracy czasem szła ze znajomymi na piwo, choć wolała wrócić do domu i odpocząć, oglądając koreańskie telenowele. Płakała, kiedy geniusz

Seoung Jo odrzucał zaloty jej ulubionej bohaterki Oh Ha, wzruszała się, patrząc na rozkwitającą miłość między bogatym dziedzicem Han Kyul a niepozorną Eun Chan. I sama marzyła o wielkiej miłości. I gromadce dzieci. Przynajmniej trójce.

Szczupła. Kruczoczarne włosy wiązała w kucyk opadający aż do pasa. Dbała o skórę – nie wystawiała jej na słońce – dlatego miała piękny mlecznobiały kolor. Zawsze uśmiechnięta i pogodna. Potrafiła odłożyć na bok swoje problemy i być dla innych, kiedy jej potrzebowali. Z Susumu poznali się przez wspólnych znajomych. Odtąd to on co roku zabierał ją do Disneylandu.

Pobrali się w grudniu 2010 roku, Emi właśnie skończyła 26 lat, niedawno przeniesiono ją do oddziału Banku Shichijū Shichi w Onagawie, sąsiednim mieście, z którego pochodził jej ojciec. Szybki ślub tylko w urzędzie. Ceremonię w świątyni, w kimonach, zaplanowali na następną jesień. Emi zaczęła przygotowania już w marcu. Zabrała od rodziców album ze zdjęciami z dzieciństwa. Chciała ułożyć slajdy na wesele – historię jej i Susumu, zanim się spotkali.

11 marca, w piątek, czuć już było w powietrzu wiosnę. Słońce grzało coraz mocniej, pojawiły się nawet młode pędy. Ludzie cieszyli się na słoneczny weekend. Yasuo Takamatsu podwiózł swoją żonę Yuko do pracy.

Yasuo miał ostatnio dużo czasu. Właśnie przeszedł na emeryturę. Całe życie pracował w siłach samoobrony. Przenoszony pomiędzy bazami – Okinawa, Miyagi, Aomori. Żona i dzieci jeździły razem z nim. Byli razem 22 lata.

Poznali się przez *nakōdo* – swatkę. Choć w Japonii to nic nadzwyczajnego, Yasuo waha się, kiedy o tym mówi. Czy już na pierwszym spotkaniu wiedział, że się pobiorą? Przeszło mu to przez myśl. Pół roku później pozowali do zdjęcia ślubnego, wystylizowani na europejską parę z początku XX wieku. Ona w rozłożystej sukni do ziemi z bufkami i kokardą na plecach, w kapeluszu, z którego spływa welon. W ręku trzyma zielono-biały bukiet. On w stalowoszarym smokingu, z białymi rękawiczkami w dłoni, z muszką i kamizelką. Stoją na perskim dywanie, za nimi kosze pełne róż, kolumna porośnięta bluszczem i namalowane okno, przez które wpada pełno namalowanego światła. Poważni, wyprostowani, nieśmiali. – Nasze życie niczym się nie wyróżniało – twierdzi Yasuo. Wspólne śniadania i wspólne oglądanie telewizji wieczorem. Weekendowe zakupy albo wyjazdy do gorących źródeł. Nic w tym życiu nie było nadzwyczajnego. Tego właśnie chcieli. I tego mu najbardziej brakuje.

Wysadził żonę przed budynkiem Banku Shichijū Shichi w Onagawie, w którym pracowała na pół etatu.

– Co chcesz na obiad? – zapytała. Yasuo skrzywił się lekko.

– Tylko nie mów, że ci wszystko jedno! – Yuko zbyt dobrze znała tę minę. Ale Yasuo

lubił, kiedy to ona podejmowała decyzję. Wykręcił się od odpowiedzi, pomachał na do widzenia i odjechał do domu.

Ziemia zatrzęsała się o 14.46. Inaczej niż zwykle. Zamiast ruszać się w prawo i lewo gwałtownie podskoczyła. Zamiast trzydzieści sekund wszystko trwało prawie sześć minut. Choć ludzie, którzy chowali się pod biurkami i słuchali, jak z półek spadają książki, dokumenty, szklanki, talerze, a w końcu, aż same półki wała się na ziemię – myśleli, że trzęsienie nigdy się nie skończy.

O 14.50, kiedy pracownicy Banku Shichijū Shichi w Onagawie podnosili się z kolan i zaczęli zbierać rozsypane dokumenty, usłyszeli syreny, które ostrzegały przed tsunami. W drzwiach pojawił się dyrektor, wracał ze spotkania.

– Wszyscy na dach! Widziałem cofające się morze.

Ćwiczyli to wcześniej. Raz do roku powtarzali sobie zasady ewakuacji. Dach dwupiętrowego budynku na wysokości dziesięciu metrów nad poziomem morza został wyznaczony jako miejsce schronienia. Szybkim krokiem weszli po schodach na górę. Tylko jedna kobieta chwyciła torebkę i kluczyki od samochodu. Zamiast na schody pobiegła do drzwi.

– Jadę po moje dziecko!

Nikt jej nie zatrzymywał. Po całym mieście niósł się komunikat: „Zbliża się tsunami. Proszę ewakuować się na wyższe tereny. Zbliża się tsunami. Proszę się ewakuować. Zbliża się tsunami. Będzie miało sześć metrów wysokości. Proszę się ewakuować”

Pracownicy banku z dachu widzieli odsłoniętą plażę i przewrócone na bok kutry rybackie, spod których uciekło morze. Budynek banku oddalony był tylko o sto metrów od brzegu. Kilkaset metrów dalej, na wzgórzu, stał szpital miejski. Stromy podjazd, parking z widokiem na morze, budynek przytulony do zbocza góry Horikiri. Miejsce ewakuacji wyznaczone przez lokalne władze. Zastanawiali się, czy nie przejść tych kilku przecznic. To tylko trzy minuty. Ale tsunami miało mieć sześć metrów. Woda sięgnie ledwie drugiego piętra, nie zaleje dachu. Yuko stała obok Emi i powtarzała jej, że wszystko będzie dobrze. Wyjęła telefon i wysłała mężowi wiadomość: „Czy jesteś bezpieczny? Chcę już być w domu”

Po trzęsieniu ziemi niebo zasnuło się niskimi, skłębionymi chmurami. Szarość. Jakby coś wyszło z Onagawy całe światło. Zaczął padać śnieg. Mężczyźni wrócili na dół po płaszcze. A potem z dachu patrzyli, jak w oddali powierzchnia oceanu się nadyma. Wybrzusza. I zaczyna gnać w stronę brzegu.

O 15.10 ocean przelał się przez wały. Brudna, spieniona woda podniosła łódki i wypełniła ulice. Nie było żadnej wielkiej fali, która spektakularnie załamałaby się nad miastem. Tylko wzbierająca woda. Jakby do oceanu ktoś wrzucił wielki kamień i teraz woda przelewała się przez brzegi.

Lżejsze przedmioty zostały porwane od razu i razem z falą szły w głąb miasta. Pięć sekund później wody było tyle, że przesuwała zaparkowane na ulicach samochody. Zawyły syreny. Coraz więcej wody. Coraz wyżej. Szara masa. Wartki nurt.

Metr. Dwa metry. Trzy.

Ciężarówki wirowały na powierzchni wody jak plastikowe zabawki.

Cztery metry. Pięć.

W ciągu pięciu minut woda sięgnęła drugiego piętra budynku Banku Shichijū Shichi.

Sześć metrów. Siedem.

Woda gruchotała ściany, odrywała całe piętra domów z ludźmi w środku i niosła je ze sobą. Budynki wpadały na siebie, roztrzaskiwały się z głośnym łomotem. Japończycy mówią: *Goro goro. Goro goro. Goro goro...*

Osiem. Dziewięć.

Z parkingu przed szpitalem dobrze było widać 13 osób, które stały na dachu banku. Mężczyźni pomagali kobietom w wąskich spódnicach biurowych wspiąć się po drabince na szczyt budki z generatorem. Kolejne trzy metry życia.

Dziesięć. Jedenaście.

Samochody, automaty z piciem, dachy. Fala niosła całe domy, jakby zerwane z kotwicy. Nie wszystkie budynki wyrwało z ziemi. Te z silniejszymi fundamentami po prostu zostały zalane wodą.

Dwanaście.

Fala zaczęła podchodzić pod parking przed szpitalem. Ludzie biegli na wyższe piętra, na zbocze góry Horikiri. Tsunami zalało recepcję i izbę przyjęć na parterze szpitala.

Trzynaście.

Czternaście.

Nikt nie patrzył, jak woda zabiera pracowników banku.

Tsunami w Onagawie miało piętnaście metrów.

Yasuo od razu ruszył w stronę miasta. Ale drogę zagradzał przewalony budynek. I góry roztrzaskanych belek zmieszane z fragmentami murów. W oddali widział ogień. Musiał wrócić do domu.

Próbował zadzwonić do Yuko. Nie działały telefony. Zakładał, że schowała się w szpitalu. Przecież to oficjalny punkt ewakuacji, a te każdy Japończyk zna na pamięć. Inna wersja nie przyszła mu do głowy.

Spędził bezsenłą noc w zimnym domu. Nie było prądu, nie było ogrzewania. Tylko wstrząsy wtórne, które nie pozwalały mu zasnąć.

Rano spróbował znowu.

Tym razem mógł wejść do miasta. A raczej do tego, co kiedyś było miastem. Wypatroszone budynki, odsłonięte stalowe konstrukcje. Łodzie wrzucone na dachy domów. Przemielone szczątki. Całe góry bebeczków. Trupy ryb, trupy psów, trupy ludzi.

Yasuo nie zwracał na to uwagi. Chciał tylko dostać się do szpitala i spojrzeć w oczy swojej żonie. Powiedzieć, jak się o nią martwił. Że z dziećmi wszystko w porządku. I że rodzice też są bezpieczni. Że zaraz po trzęsieniu ziemi jej ojciec, który z nimi mieszka, zakręcił gaz i stanął w bezpiecznym miejscu, we framudze drzwi. Że dom stoi, nie zabrała go fala. Tylko kredens się przewrócił i stłukły się jej ukochane talerze, europejska porcelana trzymana na specjalne okazje. Ale z kolekcją muzyki klasycznej nic się nie stało. Słuchał w nocy Chopina, dopóki nie wyczerpały się baterie w odtwarzaczu. Myślał o niej. Czy jest jej ciepło? Czy się nie przemoczyła? Czy ma co jeść? Przyjechał, żeby zabrać ją do domu.

Cały parter szpitala pokrywał szlam. Na podłodze walały się karty pacjentów, potłuczone buteleczki, bezużyteczne nosze. Wyżej zgromadzono chorych, których lekarze i pielęgniarki usiłowali utrzymać przy życiu mimo braku prądu, wody i lekarstw. Do tego pół tysiąca osób, które w szpitalu szukało schronienia i dachu nad głową. Ludzie siedzieli na podłodze przykryci kocami. W kuchni zebrały się starsze kobiety i na kuchence gazowej gotowały ryż – niezbyt to pożywne, ale przynajmniej ciepłe.

Yasuo na korytarzu zauważył znajomą. Podbiegł do niej. Kobieta odwróciła wzrok.

– Gdzie?...

Spojrzała na swoje buty. Smugi błota na cholewkach, rozmiękła skóra.

– Nie wiesz? – kobieta szeptała, musiał się nachylić – Dach... Wszyscy zginęli...

Kobieta mówiła coś jeszcze. Ale Yasuo już jej nie słyszał.

– Niemożliwe, niemożliwe... Niemożliwe!

Odwrócił się w stronę drzwi. Rękę oparł na ścianie, tuż nad brunatną linią pokazującą poziom wody. Wyszedł ze szpitala.

Poszedł jeszcze do szkoły, na stadion obok ratusza i do świątyni na wzgórzu. Wszystkie wyznaczone na centra ewakuacji. Yuko nigdzie nie było.

Kiedy zatrzęsa się ziemia, Masaaki był w drodze do domu. Wracał z teściową ze szpitala. Zatrzymał samochód na jednopasmówce obok morza. Począł chwilę, może pojawią się wstrząsy wtórne? Ruszył, kiedy usłyszał ostrzeżenie przed tsunami. Na szosie prowadzącej w stronę gór zrobił się korek. W lusterku wstecznym widział zbliżającą się falę. Zatrzymała się trzy auta za nim. Nie wiem, co czuje człowiek w takiej chwili. Bicie własnego serca? Masaaki nie pamięta.

Wrócił do domu. Ale domu nie było. A razem z nim nie było łóżka, szafy, stołu,

komputera, kanapy, telewizora, lodówki, obrazów na ścianach, pamiątek z wakacji, gromadzonej latami zastawy.

Pojechał do pracy. Ale pracy nie było. Po zakładzie przetwórczym zostały tylko betonowe fundamenty.

Próbował skontaktować się z żoną. Nie odbierała. Szpital, w którym pracowała, leżał daleko od brzegu w innej części Ishinomaki. Próbował skontaktować się z córką. Nie odbierała telefonu. Obie są bezpieczne, pomyślał. Pochodził z Onagawy, tam się urodził, tam się wychował, tam miał pierwsze lekcje z ewakuacji. Wiedział, że szpital w Onagawie stoi wysoko. Wiedział, że za szpitalem jest wzgórze. Wiedział, że Bank Shichijū Shichi od szpitala dzieli kilkaset metrów. Był spokojny.

Zostawił teściową w szkole na wzgórzu, w kolejnym centrum ewakuacji, i pojechał sprawdzić, czy nic się nie stało jego pracownikom. W przetwórni zatrudniał pięćdziesiąt osób.

Dwa dni później udało mu się skontaktować z żoną. O tym, że jego córkę Emi zabrało tsunami, Masaaki dowiedział się dopiero w poniedziałek, 14 marca.

Z trzynastu pracowników banku szukających schronienia na dachu przeżyła tylko jedna osoba. Przemarzniętego do szpiku kości urzędnika, ucepionego drewnianej belki, wyłowiono kilka godzin później na otwartym morzu.

Kobieta, która zamiast na dach pobiegła po dziecko, też się uratowała.

Rodziny dwunastu zaginionych pracowników szybko się o sobie dowiedziały. Mijali się codziennie w miejscu, w którym stał budynek Banku Shichijū Shichi. Nie musieli nic do siebie mówić, po prostu szukali razem. Brodzili w mule, podnosili zabrudzone deski, próbowali podważyć fragmenty rozwalonych ścian.

Mijali oddziały Japońskich Sił Samoobrony (już następnego dnia po tsunami rząd wysłał 192 samoloty i 25 okrętów ze 107 tysiącami żołnierzy – którzy oficjalnie nie są żołnierzami; to prawie połowa japońskiej armii – która oficjalnie nie jest armią), które długimi kijami sprawdzały, czy pod gruzami nie ma ciał.

Mijali mieszkańców Onagawy, którzy w szczątkach domów liczyli na odnalezienie szczątków życia. Niektórzy wbijali w ziemię deski ze swoim nazwiskiem napisanym flamastrem – ta sterta drewna była kiedyś moim domem.

Yasuo i Masaaki do Ishinomaki wracali, kiedy było już ciemno. A następnego dnia zaczęli poszukiwania od nowa. Przychodzili codziennie. Nie zwracali uwagi na śnieg, wiatr i deszcz.

Pierwszy dzień. Drugi. Trzeci.

Tydzień.

W Onagawie woda zabrała ponad pięć tysięcy budynków – to siedemdziesiąt

procent miasta. W Ishinomaki zginął co dziesiąty mieszkaniec. Riasowe wybrzeże – wąskie zatoczki, niewielkie cypelki, strome klify, na których zapobiegliwi rybacy stawiają świątynie bogom morza – tylko zwiększyło siłę tsunami. Rozpędzona woda spiętrzała się, sięgając nawet czterdziestu metrów i pędząc do dziesięciu kilometrów w głąb lądu na odcinku sześciuset siedemdziesięciu kilometrów – od miasta Erimo na Hokkaido do Ōarai w prefekturze Ibaraki, tuż nad Tokio. Ale najmocniej tsunami uderzyło w prefektury: Fukushima, Miyagi i Iwate.

Dwa tygodnie. Trzy.

Dobra wiadomość! Znalaziono ciało pracownicy banku. W północnej części zatoki, pod szczątkami domów. Skoro znalaziono jedno ciało, może obok będzie drugie? Podnosili deski, odwalali gruz, wybierali szklane odłamki, byleby dostać się pod rumowisko. Yasuo wieczorem długo patrzył w ekran telefonu z ostatnim SMS-em od Yuko: „Chcę już być w domu”

Czwarty tydzień. Piąty. Szósty. Siódmy.

Znaleźli kolejne ciało! Na południu zatoki, dokładnie po drugiej stronie od miejsca, w którym szukali. Przenieśli się tam. Podnosili deski, odwalali gruz, wybierali szklane odłamki. Zrozumieli, że tu nie ma żadnego klucza, że ciała mogą być wszędzie.

Szukali przez trzy miesiące. Ci, którzy mogli, wzięli urlopy. Inni nie mieli gdzie pracować, bo fala zabrała przetwórnice, fabryki, biura i magazyny. Ale po trzech miesiącach odezwali się pracodawcy, którzy na nowo otwierali swoje zakłady. Trzeba było wracać.

Na parkingu obok banku znalaziono telefon Yuko. Yasuo wysuszył go i odłożył na półkę. Pamiątka, która ma mu przypominać o zmarłej żonie. Ojciec Emi dostał jej wizytówki. W przezroczystym plastikowym opakowaniu.

W czerwcu 2011 roku na wybrzeże Sanriku przyjechało stu nurków. Wolontariusze z całej Japonii. Wspomogli pracujących od marca kilkunastu nurków z policji. Na dnie znajdowali samochody, lodówki, automaty z pićm, łodzie, ciężarówki, sieci rybackie, harpuny, bojki. I całe piętra domów. Woda zabrała ze sobą pięć milionów ton śmieci. Większość zatoneła przy japońskim brzegu.

Nurkowie przeszukiwali to podwodne miasto centymetr po centymetrze. Wszystko, co mogło być rozpoznane, wracało na powierzchnię. Portfele, albumy ze zdjęciami, pieczętki z nazwiskiem i zbiory szkolnych wypracowań trafiały do rządowych magazynów.

Kiedy znaleźli ciało – nie ruszali go. Oznaczali miejsce, wypływali na górę i informowali policjantów, którzy czekali na brzegu.

Trup to trup. Nieprzyjemny widok. Poturbowane, rozmiękczone wodą ciało.

Napuchnięte, blade dłonie. Sine plamy na klatce piersiowej. Niektórzy nie chcieli więcej schodzić pod wodę. Wolontariusze powoli się wykruszali.

Ze stu nurków tylko jeden pochodził z tego rejonu. Takahashi pół życia spędził w Australii i w Indonezji, domu nie odwiedzał zbyt często. Nawet kiedy wrócił do Japonii, mieszkał pod Tokio, pracował w centrum nurkowym w prefekturze Kanagawa. Ale jego korzenie były na północy. Jako dziecko bawił się na plażach w Miyagi, na weekendy jeździł do Iwate, a studia skończył na uniwersytecie w Fukushima. Tsunami zabrało część jego wspomnień. Postanowił zostać. I wyszkolić profesjonalnych nurków również w tej części Japonii.

Kupił dom w Ishinomaki, piętro dla siebie i żony, parter z kuchnią i salonem, w którym organizuje nurkowe spotkania przed wypłynięciem na morze. Przeszkolił instruktorów. Wywiesił reklamy. Koniki morskie i niewielkie rybki z grzywą na czole, która imituje koralowiec.

Po roku ostatni wolontariusze wrócili do siebie. Rząd coraz rzadziej przysyłał nurkowe ekipy. Więc Takahashi, na prośbę kilku rodzin z miasta obok Onagawy, nurkował raz w miesiącu, szukając ciał. Ostatnie znalazł w lipcu 2012 roku. W 2013 nawet najbardziej wytrwałe rodziny powiedziały mu, żeby przestał. To nie ma sensu, płakały matki.

Coraz więcej osób uważało, że nikogo się już nie znajdzie. Materia organiczna się rozłożyła, mówili. Trzeba uznać zaginionych za zmarłych, wyprawić – wbrew tradycji – pogrzeb bez ciała i zacząć na nowo żyć. Kiedy Takahashi prosił o dofinansowanie, miejscowy polityk spojrział na niego jak na wariata: „Skończ z tym”. Takahashi nawet nie próbował mu tłumaczyć, że ciągle znajduje kości. Kości zwierząt co prawda, ale skoro pod wodą leżą szczątki psów, kotów i krów, to tak samo leżą tam szczątki ludzi. A w ogóle to nie o szczątki chodzi. Chodzi o szukanie.

Mijały kolejne miesiące, w części zatoki zaczęły się prace rekonstrukcyjne. Miejsce, które kiedyś było portem, dokładnie oczyszczono i wyrównano. Pusta płaszczyna, po której jeżdżą samochody ciężarowe i kręcą się robotnicy.

Po trzech latach nie było już rumowiska. Jedyna pamiątka po tsunami to pusty plac, na którym kiedyś stała Onagawa. I brunatna linia na parterze szpitala.

Miasto wracało do życia.

A dla Masaakiego i Yasuo cały czas był 2011 rok.

Yasuo każdego dnia budził się, licząc na to, że usłyszy odgłosy krzątania dobiegające z kuchni. Yuko wstawiała wcześniej, żeby przygotować mu lunch do pracy. Śniadanie jedli w szóstkę – z córką, synem i teściami. Gotować lubiła prawie tak samo, jak słuchać muzyki klasycznej. Popołudniami, po powrocie, sięgała po swoją kolekcję

płył CD i prasowała ubrania, słuchając Bacha. Ale choć w samotne wieczory Yasuo zdierał kolejne płyty, Yuko się nie pojawiała. Zostały tylko wspomnienia wspólnych wycieczek na narty i nad jezioro Izunuma, nad którym jesienią i zimą przelatywały setki tysięcy gęsi i łabędzi.

Yasuo spróbował uruchomić wysuszony telefon żony. Nie liczył na wiele. Telefon leżał przez kilka godzin pod wodą. Zaskoczyło go, kiedy zaświecił się wyświetlacz. 11 marca 2011 roku, o 15.25, Yuko wysłała mężowi wiadomość, która nigdy do niego nie dotarła: „Tsunami jest ogromne”

To wtedy Yasuo podjął decyzję. Nie chce zależeć od rządu i sporadycznie organizowanych nurkowań. Sam nauczył się nurkować. I wreszcie sprowadzi swoją żonę do domu.

Czas wcale nie leczy ran. Sam w sobie nie ma właściwości uzdrawiających. Jedyne, co potrafi, to mijać. To od nas zależy, jak go wykorzystamy.

Masaaki i Yasuo najbardziej lubią te weekendy, kiedy są sami z instruktorem. Nie ma żadnego patrzenia na rybki i ślimaczki, tylko mozolne przeczesywanie dna oceanu. Mają latarki, noże do przecinania lin i siatki do chowania drobnych rzeczy. Schodzą na dół i patrzą. Cały czas patrzą. Czterdzieści, pięćdziesiąt minut. Metodycznie przenoszą wzrok, rejestrują każdy kamyk i każdą muszelkę. Zimą szczypią ich policzki – jedyne odstłonięte miejsce na ich ciele.

Takahashi wznowił poszukiwania, kiedy w lecie 2013 roku zgłosił się do niego Yasuo. Szukają raz w miesiącu. Przez trzy weekendy pozwala Yasuo i Masaakiemu dołączyć do turystów i trzymać się trochę z boku. Wie, że nie lubią nurkować z ludźmi, którzy przyjechali zrobić zdjęcia morzu po tsunami. Dla nich to nie jest zabawa.

Zatokę podzielili na kwadraty, pływają po nich zygzakiem albo po spirali. Pod wodą szczątki zazwyczaj gromadzą się – niesione prądami – w jednym miejscu. To takich miejsc szukają. Cztery lata po tsunami znajdują już tylko fragmenty, a nie całe przedmioty. Przykrywa je gruba warstwa mułu, rosną na nich rośliny, w środku mieszkają jeżowce albo kraby. Morze się odradza.

Najgłębsza część zatoki ma czterdzieści metrów, mogą tam przebywać niecałe dziesięć minut. Zatokę przeszukali w jednej trzeciej. Skończą za dwa, może trzy lata.

Nie myślą o tym. Światłem z latarki omiatają każdy kamień. Uważają, żeby płetwą nie dotknąć dna. Spokojny oddech, uważny wzrok, powolne ruchy, zbalansowane ciało. Każdy oddech to nadzieja, że wreszcie znajdą kości.

Kiedy Masaaki skończy nurkować, dzwoni do żony. Mama Emi boi się, kiedy mąż

nurkuje. W dłoni cały czas mocno ściska komórkę. Ale kiedy Masaaki wraca do domu, jest trochę bardziej pogodny. Czasem nawet się uśmiechnie.

Masaaki nie lubi nurkować. Nie lubi oceanu. I nie może przestać.

Pod wodą czuje, że jest bliżej córki.

Na trzydzieste urodziny, 10 grudnia 2014 roku, Emi dostała od rodziców czarną torebkę Chanel i srebrnego rolexa. Zawsze o nich marzyła. Leżą w gablotce za szkłem, obok pluszowej Hello Kitty, różowego misia i Myszki Miki trzymającej za rękę Myszkę Minnie, kilku zdjęć Emi z dzieciństwa w kolorowych ramkach i jej wizytówek pracownicy banku. Brzegi są pofalowane, na grubym białym papierze widać brązowe ślady po wodzie.

Mają jeszcze ten album ze zdjęciami, który wzięła do siebie do domu (dom Emi stał wyżej, nie zalało go tsunami), żeby przygotować slajdy na wesele. Na podstawie zdjęcia, na którym Emi ma niebieską sukienkę na ramiączkach założoną na T-shirt z Myszką Miki i włosy związane czerwoną gumką, zamówili naturalnej wielkości obraz.

Masaaki odbudował przetwórnię. Nie dla siebie. Dla tych pięćdziesięciu pracowników. Wszyscy przeżyli. Czuje się za nich odpowiedzialny. Daje im pracę, żeby mogli odbudować domy, spłacić stare kredyty, wysyłać dzieci na zajęcia pozalekcyjne. Tuż obok przetwórni jest park, do którego w dzieciństwie zabierał Emi. Ostatnio zobaczył tam ojca z dzieckiem. Musi znaleźć inną drogę do pracy.

Mąż Emi – Susumu, z którym jeździła do Disneylandu – już ich nie odwiedza. Przez pierwszy rok po tsunami praktycznie mieszkał z nimi. Razem spędzali długie wieczory, podczas których nie mieli sobie nic do powiedzenia. Przychodził coraz rzadziej. Nie widzieli go już kilka miesięcy. Wiedzą, że pojawił się w sierpniu na święto zmarłych, Obon. Pukał do ich drzwi. Sąsiadka im powiedziała, byli wtedy nad morzem. Oni chcą żyć pamięcią o Emi. Tak wybrali. Dla niego będzie lepiej, jeśli o Emi zapomni.

CZTERY TSUNAMI PANA SATŌ

Pierwsze zabrało mu rodzinę. Przeżyła tylko prababcia. Zna je z jej opisu. Ludzie przeżywają po to, by opowiadać.

Był wieczór 15 czerwca 1896 roku. Epoka Meiji, cesarz wrócił do władzy, Japonia rosła w siłę, budowała fabryki, telegraf, tory i huty. Ale na północy życie zawsze biegło trochę z boku. Ura Nihon, „tylna” Japonia, Japonia B. Tōhoku, rolnicza kraina, o której mówiło się, że dostarczała stolicy ryżu, żołnierzy i prostytutek. Miejscowi budowali japońską potęgę, ale nie rozumieli mody na zachodnie stroje, buntowali się przeciwko obowiązkowemu posyłaniu dzieci do szkół, nie wierzyli, że właśnie wprowadzona konstytucja coś zmieni w ich świecie. Jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej potężne rody z Tōhoku wspierały szogunów w walce przeciwko klanom z południa, które chciały przywrócić cesarką władzę. Opowiedzieli się po przegranej stronie. Możliwym panom odebrano większość ziem i zamieniono ich w zwykłych rolników. Wojny i głód osłabiły północ Japonii. Ale miejscowi dalej robili swoje – codzienne życie kręciło się wokół zasiewów, zbiorów i połowów.

Tego dnia ludzie zasiadali do kolacji, świąteczny dzień, festiwal chłopców. Nad domami powiewały latawce w kształcie karpi, na stołach leżały ciasteczka *mochi* z kleistego ryżu, owinięte marynowanymi liśćmi dębu. Z okazji święta rybacy zostali w domu, tylko nieliczni wypłynęli na nocny połów.

I wtedy zatrzęsała się ziemia. Leciutko. Ale dziwnie. Niespiesznie, jakby wielki sum, który mieszka pod skorupą ziemską, tylko się przeciągał, a nie machał wściekle ogonem. Jedno z tych łżejszych trzęsień ziemi, na które już nie zwraca się uwagi. Nawet talerze nie pospadały z zastawionych stołów. Ludzie usiedli do kolacji.

Ale w rzeczywistości 150 kilometrów od wybrzeża, pod ciemną powierzchnią morza, trzęsienie było bardzo silne, o magnitudzie 8,5 (najsilniejsze zarejestrowane trzęsienie na świecie miało magnitudę 9,5). Suma musiało coś naprawdę rozzłościć. O takich trzęsieniach – silnych, ale na brzegu prawie niezauważalnych – dzisiaj naukowcy mówią *nuru nuru*. Japońskie słowo, które oznacza śliskość – jakby płyty tektoniczne poślizgnęły się jedna na drugiej. Ale ta powolność i ten brak gwałtowności są złudne.

Kilkadziesiąt lat później pisarz i reporter Akira Yoshimura próbował odtworzyć to, co działo się na brzegu. W 1970 roku napisał książkę *Umi no kabe. Sanriku engan ōtsunami* (*Ściana morza. Wielkie tsunami u wybrzeży Sanriku*) opartą na opowieściach ludzi, którzy przeżyli wielkie tsunami: „Woda w morzu burzyła się,

wydając wysokie dźwięki, a potem cofnęła się z wybrzeża – najpierw powoli, potem nabierając prędkości. Wyglądało to, jakby wielki potwór podnosił się ze zwojów czarnego sukna. Z ciemności wybrzeża wydawało się, że morze napuchło, i nagle – jakby wyczekiwało na odpowiedni moment – zmieniło się w górującą ścianę wody i ruszyło w stronę brzegu. W tym czasie mieszkańcy przybrzeżnych wiosek pili i jedli, nie mając świadomości tego, co dzieje się na oceanie. Kiedy nagle usłyszeli huk, spojrzeli po sobie zaskoczeni. Niektórzy myśleli, że to grom, inni, że wystrzał armaty”^[1].

Fala miała 38 metrów. Zabiła dwadzieścia dwa, a może dwadzieścia sześć tysięcy osób. Zniszczyła dziewięć tysięcy domów i dziesięć tysięcy łodzi.

Ci nieliczni rybacy, którzy wieczorem wypłynęli na połów, nawet nie poczuli trzęsienia. Ani tym bardziej przewalającej się pod ich łodziami fali. Daleko od lądu nawet nie czuć, że morze się unosi. Kiedy nad ranem wrócili do domów z sieciami pełnymi ryb, na brzegu zobaczyli rumowisko.

Wieści o tsunami z 1896 roku rozniosły się po całym świecie. We wrześniu tego roku dla „National Geographic” pisała o nim Eliza Ruhamah Scidmore, geografka i pisarka, pierwsza kobieta w National Geographic Society: „Siła tsunami zmieniła las ogromnych sosen w pole pełne pniaków, roztrzaskała granitowe słupy świątynnej bramy i przeniosła kamienne rozpory prawie 300 metrów dalej. Wielu ludzi zginęło, bo wróciło po swój dobytek albo żeby ratować innych”^[2].

W Japonii gazety przedrukowały drzeworyty Utagawy: fala niosąca płonące szczątki, fragmenty ludzkich ciał i truchła koni. A w tle ogołocony krajobraz.

Jednak najlepiej zniszczenia obrazują fotografie, wtedy nowy wynalazek w Japonii. W gazetach wykorzystano go bodajże pierwszy raz w 1888 roku do udokumentowania wybuchu wulkanu Bandai w prefekturze Fukushima. Wybuch był tak potężny, że oderwał czubek góry. Wcześniej Bandai porównywano z Fudzi. Dziś to tylko złamana góra.

Zdjęcia po tsunami z 1896 roku pokazują łodzie leżące bokiem na łące, otulonych kocami ludzi stojących nad szczątkami swoich domów, rozbite w drzazgi ściany, mężczyźni przerzucających drewniane belki w poszukiwaniu ciał. Od zdjęć z 2011 roku różnią je ubrania, słupy telegraficzne, samochody i drewniane ściany zamiast betonowych.

I to, że tsunami z 2011 roku na żywo oglądał cały świat.

Prababcia pana Satō, w 1896 roku kilkuletnia dziewczynka, straciła całą rodzinę. Od małego powtarzała mu, z silnym północnym akcentem: kiedy trzęsie się ziemia, uciekaj na wzgórze. I jeszcze: *tsunami tendenko*. Na wschodnim wybrzeżu wszyscy to rozumieją, ale jak to przetłumaczyć? Kiedy zbliża się tsunami, ratuj się sam, nie patrz

na innych. Biegnij, ile sił w nogach, zostaw rodziców, zostaw dzieci. Ono nadejdzie szybciej, niż myślisz. Zanim zaczniesz pomagać innym, musisz pomóc sobie.

Akt egoizmu, bez którego nie przeżyłby nikt, żeby następnym pokoleniom opowiadać o tsunami. I ostrzegać: *tsunami tendenko*.

Drugie utwierdziło pana Satō w przekonaniu, że życie jest nieprzewidywalne. O tym tsunami opowiedział mu ojciec. 3 marca 1933 roku. Epoka Shōwa, Japonia podnosiła się po czteroletnim kryzysie ekonomicznym, w trakcie którego przez kraj przetoczyła się fala protestów. Ze stogów siana (usypanych jako podium do wygłaszania płomiennych mów) protestowali chłopci dzierżawiący ziemię, którą właściciele chcieli im odebrać, by zwiększyć własne dochody. Protestowali robotnicy, a wśród nich muśliniarki, które nocą przechodziły przez miasta i kamieniami wybijały szyby w oknach fabryk włókienniczych.

Ale w 1933 już od roku trwał cud gospodarczy oparty na eksporcie bawełny i na zbrojeniach. Nacjonalistyczni oficerowie organizowali zamachy, w których ginęli politycy i biznesmeni. W efekcie armia obsadziła ponad połowę rządowych stanowisk. Japonia szykowała się na wojnę, o której propaganda krzyczała, że to wojna z zachodnim imperializmem. Zaczęła się od inwazji na Mandżurię w 1931 roku i utworzenia tam w rok później marionetkowego państwa Mandżukuo.

W tym czasie w Tōhoku panował głód. Nie dość, że do rodzinnego domu wracali robotnicy, którzy stracili pracę w miastach, to w 1931 roku deszcze zniszczyły dwadzieścia procent zasiewów. Bieda zmuszała ojców do sprzedawania córek do burdeli w Tokio. Młodzi zaciągali się do wojska. Północ wciąż dostarczała stolicy mężczyzn do armii i kobiet do prostytucji.

To był zwykły marcowy dzień. Szare niebo, szare morze. Zimno, wieczorem spadł śnieg. Kto mógł, okrywał się do snu dodatkowym kocem. O 2.31, w środku nocy, ludzi obudziło silne trzęsienie. Sum machnął wściekle ogonem, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Zaspani wygrzebywali się spod kołder, odruchowo wychodzili na zewnątrz. Jak się trzęsie ziemia, wyjdź z domu. Nie chcesz, żeby dach zawalił ci się na głowę.

Trzęsienie miało prawie taką samą magnitudę jak to z 1896 roku – 8,4. Epicentrum też znajdowało się prawie w tym samym miejscu – tylko odrobinę dalej od wybrzeża. Choć geologiczne przyczyny były inne, nie miało to znaczenia – tsunami, które uderzyło w brzeg trzydzieści minut później, miało taką samą wysokość i siłę jak to z 1896 roku.

Ale ludzie pamiętali historie rodziców i kiedy napuchnięty ocean rozlał się na miasta, większość z nich stała już na pokrytych śniegiem wzgórzach. Tak jak pani

Tabata, wtedy ośmioletnia dziewczynka, której dziadek zawsze powtarzał: musisz uciekać na wzgórze, nawet jeśli uciekasz sama. Uciekała, nie oglądając się na rodziców. Nie widziała, jak tsunami porwało jej matkę. Znalaziono ją obitą i połamaną. Umarła kilka dni później.

W 1933 roku zginęło trzy tysiące osób. Ponad tysiąc było rannych.

Tsunami zmyło około pięciu tysięcy budynków i zniszczyło kolejne siedem tysięcy. W wiosce Hongō, na wybrzeżu prefektury Iwate, ze stu dwóch domów ocalał jeden.

To po tym tsunami niektóre miasta zaczęły budować wały ochronne, a pojedyncze wioski, w których mieszkało więcej rolników niż rybaków, w całości przeniosły się na wyższe tereny.

Ojciec pana Satō przeżył dzięki swojej babci, prababci pana Satō. Po tsunami z 1896 roku wybudowała nowy dom. Piękny, drewniany, kryty gontem. Zbudowany tradycyjnymi metodami bez gwoździ – deski łączono, wpasowując jedną w drugą bolcami. Dzięki temu, kiedy przychodzi trzęsienie ziemi, dom trzeszczy i się wygina, ale nie pęka. Domy z gwoździami trzęsienie rozsadza od środka. Ale główną zaletą domu pana Satō jest jego położenie. Co najmniej kilometr w głąb lądu, jakieś 12 metrów nad poziomem morza. Pan Satō też w nim mieszka. W pokoju z widokiem na ocean słuchał opowieści prababci o tsunami, które przyszło z morza w Dzień Chłopców, kiedy nad całym miastem powiewały latawce w kształcie karpia. I opowieści ojca o tsunami, które pojawiło się w zimną marcową noc.

Trzecie dotknęło go bezpośrednio. Był 23 maja 1960 roku, ta sama epoka – epoka Shōwa. Od dekady Japonia przeżywała kolejny cud gospodarczy. Nieustanny wzrost w kraju, w którym po wojnie żywiono się szarańczą zbieraną z pól. Blask hut i hałas stoczni. Właśnie rozpoczęto konstrukcję najszybszej kolei na świecie, która podróż z Tokio do Osaki miała skrócić z ośmiu do trzech godzin. W tym czasie Tōhoku dostarczało stolicy ryżu, robotników i elektryczności.

Pan Satō bardzo dobrze pamięta tamto trzęsienie, choć nawet go nie poczuł. Może mógłby się lepiej na nie przygotować, gdyby miał telewizor. 22 maja światowe stacje mówiły o katastrofie w Chile. Najpotężniejsze z kiedykolwiek zarejestrowanych trzęsień ziemi, o magnitudzie 9,5. Trwało dziesięć minut. Tym razem nie złościł się sum, tylko człekokształtny Cherufe zbudowany ze skał i rozgrzanej do czerwoności lawy, siedzący w magmie głęboko pod ziemią. Jeśli nie złoży mu się ofiary, będzie rzucać się z wściekłości – powodując wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi.

Piętnaście minut po tym, gdy ziemia przestała drżeć, dwudziestopięciometrowe fale uderzyły w chilijski brzeg. Dwa miliony ludzi zostały bez dachu nad głową. Nikt nie wie, ile dokładnie zginęło osób. Jedni mówią o tysiącu zabitych. Inni o sześciu

tysiącach. Ale pan Satō o tym nie wiedział. W Japonii, siedemnaście tysięcy kilometrów po drugiej stronie Pacyfiku, ziemia nawet nie drgnęła. Położył się spać. Rano miał wypłynąć z przyjaciółmi na ryby.

To rybacy zobaczyli, że dzieje się coś dziwnego. 23 maja nad samym ranem szykowali się do połowu, kiedy w oceanie cofnęła się woda. Podnieśli alarm. Pana Satō obudziła matka: „Tsunami”. Pobiegli na wzgórza za domem.

Dwadzieścia dwie godziny – tyle potrzebowało tsunami, żeby przebyć cały Pacyfik. Chwilę przed piątą nad ranem fala wdarła się do miasta. Osiem metrów wody. W sąsiednim mieście zginęły 52 osoby. W całej Japonii tsunami zabiło 200 osób i zniszczyło 1600 domów. Pan Satō dobrze pamięta to, co zobaczył po wschodzie słońca. Człowiek kładzie się spać, planując kolejny dzień, a budzi się w ubłoconym mieście.

To nie było pierwsze tsunami w życiu pana Satō. Ocean w tym miejscu ma szczególną relację z lądem – przyciągają się i odpychają jak kochankowie. Słona woda zalewała wybrzeże – pan Satō sam już nie wie, ile razy. Takich tsunami do pół łydki przeżył pewnie z pięćdziesiąt. Ale dopiero to z Chile zrobiło na nim wrażenie.

To wtedy miasta na wschodnim wybrzeżu Tōhoku rozpoczęły budowę wałów ochronnych na wielką skalę. Rząd uznał, że skoro tsunami może zaskoczyć w każdej sekundzie, to się na nie przygotowuje. Zatoki zostały odcięte od morza. Ludzie odgradzili się od wody betonem. Wały ochronne trafiły do Księgi rekordów Guinnessa. Najdłuższe. Najpotężniejsze. Najszersze. Najdroższe.

Ale i tak nic nie przygotowało mieszkańców wybrzeża na czwarte tsunami pana Satō. 11 marca 2011 roku. Epoka Heisei, Japonia pogrążona w stagnacji, skończyła się słynna *bubble economy*, mówiono już nie o jednej straconej dekadzie, ale o dwóch.

Z Tōhoku coraz więcej młodych wyjeżdżało do dużych miast. Dość mieli życia na uboczu. To, że Japonia się starzeje, że w państwie jest więcej psów i kotów niż noworodków, najlepiej widać właśnie tutaj. Główne ulice nabrzeżnych miast świeciły pustkami. *Shatto dōri* – ulice zatrzaśniętych drzwi.

Czwarte tsunami było najstraszniejsze. Choć kiedy trwało, to się nie bał. Dopiero teraz, kiedy je sobie przypomina, pocą mu się dłonie. Zmieniło wszystko w jego życiu, choć w wieku 60 lat myślał, że już wiele zmienić się nie da. Najpierw łupnęło tak, że cała ziemia zmieniła kąt nachylenia. Jakby sum gwałtownie podskoczył do góry. Nie było lekkie. Żadnego *nuru nuru*. Tylko zwykłe *don don, don don* – głośne łupnięcia. A potem przyszła woda. Większa, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Kiedy usłyszeli ostrzeżenia, ludzie pobiegli do szkół i szpitali wyznaczonych jako miejsca ewakuacji. Zza murów nie widzieli oceanu. A kiedy woda przelała się przez

wały ochronne, było dla nich za późno. Tsunami zalało ponad połowę z 68 centrów ewakuacji, w których schronili się mieszkańcy. Gdyby widzieli morze – jak się cofa i nadyma – może zdążyliby uciec na wzgórza za ich plecami.

Nie wszystkie falochrony okazały się bezużyteczne. W wiosce Fudai burmistrz Wamura dla niecałych trzech tysięcy mieszkańców przez 12 lat budował wysoką na piętnaście i pół metra śluzę. Skończył w 1984 roku. Ludzie byli oburzeni tym, ile wydał pieniędzy. Trzydzieści milionów dolarów! I choć tsunami było wyższe – w tym miejscu sięgnęło 20 metrów – to śluza zmniejszyła jego siłę. Zginęła jedna osoba – rybak, który poszedł nad morze zabezpieczyć łódź. Na grobie burmistrza Wamury, który zmarł w 1997 roku, mieszkańcy do dzisiaj kładą świeże kwiaty.

Ale w innych miejscach, chociażby w Tarō, gdzie mury ciągnęły się przez prawie dwa i pół kilometra, woda połamała falochrony na betonowe kawałki i rozrzuciła je po zatoce. A tam, gdzie nie zniszczyła murów, wracając do oceanu, odbijała się od nich i znowu szła na miasto.

Nawet prababcia pana Satō nie przewidziała takiego tsunami. Zalało parter studwudziestoletniego domu, kilometr w głąb lądu, jakieś 12 metrów nad poziomem morza. Akurat na parterze pan Satō ma sypialnię. Gdyby przyszło w nocy, tak jak to z Chile, może by już nie żył?

Dopiero czwarte tsunami pomogło mu zrozumieć, o co tak naprawdę chodziło prababci i ojcu, kiedy mówili *tsunami tendenko*.

Kiedy przychodzi tsunami, jedyną zasadą jest ucieczka. Ratujesz siebie bez oglądania się na innych.

Więc uciekał. Jego rodzice za nim. Matka stała w wodzie po kolana. Ojca porwała fala. Przeżył, bo złapał się słupa. Nie wie, ile czasu tak wisiał. Może trzydzieści minut. A może godzinę.

Czwarte tsunami zabrało stację benzynową pana Satō. Brzeg, na którym stała stacja, też zabrało. I łódź pana Satō. Znaleźli ją pod Tokio, 200 kilometrów na południe. Po co sprowadzać zniszczoną łódź do domu? – Zezłomujcie ją – powiedział. Już nie wypływa z przyjaciółmi na ryby.

Wolontariusze pomogli panu Satō odbudować parter domu. W błocie znalazł dwie porcelanowe miseczki. Trzyma je na pamiątkę.

Ci, którzy posłuchali wezwania *tsunami tendenko*, czują, że muszą coś zrobić. Nie da się tak po prostu wrócić do tego, co było. Pan Satō, zamiast odbudować stację benzynową, dołączył do wolontariuszy. Oni pomogli jemu, on pomaga im. Spotyka się z turystami, którzy przyjechali tu na dzień lub dwa. Zostają wolontariuszami. Kiedy

w wielkich kadziach gotują świeże wodorosty, zbierają jabłka albo sadzą ryż, on opowiada:

– Jeśli uciekasz z biura, używaj schodów. Uwięzione w windzie ciała znaleźliśmy pod wodą dopiero po dwóch latach.

Nie chowaj się na najwyższym piętrze. Ani na dachu. Możesz myśleć, że skoro jesteś na czwartym piętrze, to jesteś bezpieczny. Ale jesteś bezpieczny tylko wtedy, kiedy ciągle możesz uciekać wyżej.

Nie uciekaj samochodem. Kiedy już porwie cię nurt, trudniej otworzyć drzwi.

Pan Satō nie przestaje mówić, choć sam wie, że żadne zasady nie pomogą. W przyszłości ludzie usłyszą syreny, ale nie uciekną. Tak jak 11 marca 2011 roku w niektórych miastach ludzie uznali, że to fałszywy alarm. Dwa dni wcześniej też trzęsła się ziemia, też wyły syreny, a wody nie było nawet centymetra.

System ostrzegania istnieje od wieków. Tam, dokąd dotarła woda, stawiano głazy z wyrytym ostrzeżeniem: „Dotąd doszło tsunami, nie buduj poniżej tego kamienia.” W innych miejscach na linii zniszczeń wznoszono świątynie – żeby zaznaczyć poziom wody.

I co?

Głazy zarastały krzakami, a w świątyniach zapominano, dlaczego je wybudowano. Kto by o tym myślał czterysta lat później? Ludzie wracali bliżej morza, bo tak było im wygodniej. W niektórych wioskach dopiero po 2011 roku podczas prac porządkowych odkrywali kamienie z ostrzeżeniami.

Dlatego teraz ludzie też wrócą. Rząd może planować odbudowę na wyższym gruncie, może rysować na mapie linię, od której zaczynają się budynki mieszkalne. To nie są nowe pomysły, to się sprawdziło już wcześniej. Tak jak w Yoshihamie, wiosce, w której po pierwszym tsunami pana Satō wszystkie domy przeniesiono wyżej. Czwarte tsunami pana Satō zalało tam tylko pola uprawne.

– Ale za 30 lat znowu będziemy mieszkać nad morzem – bliżej portów, bliżej pól ryżowych, bliżej grobów naszych przodków – mówi pan Satō.

Tak jest po prostu wygodniej.

GDYBY LUDZIE BYLI SMOKAMI

Każdego dnia strona Earthquake Track donosi:

Dzisiaj w Japonii miało miejsce jedno trzęsienie ziemi.

Sześć trzęsień w ciągu ostatniego tygodnia.

Dwadzieścia dziewięć w ciągu ostatniego miesiąca.

Siedemset dziewięćdziesiąt pięć w ciągu ostatniego roku.

Ziemia trzęsie się tu kilka razy dziennie. Na te słabsze wstrząsy nikt nie zwraca uwagi. Może dlatego trzęsienia pojawiają się w japońskiej literaturze rzadziej, niż można by się tego spodziewać. Częściej opisywane są wirujące płatki wiśni i gęsta zieleń lasów sosnowych. Trzęsieniom artyści poświęcają niewiele uwagi.

Pierwszy raz o trzęsieniu wspomina się w „Kronikach japońskich” z 720 roku. Kronikarz opisuje, jak po tym, gdy w lecie siódmego roku panowania cesarzowej Suiko (w zachodnim kalendarzu to 28 maja 599 roku) cesarzowa zarządziła modły. Japończycy palili kadzidła dla bezimiennego kami, które sprawiało, że ziemia drży. Z czasem kami przybrało postać wielkiego suma Namazu żyjącego w błocie pod japońskimi wyspami. Tylko jeden bóg z japońskiego panteonu może go powstrzymać: Takemikazuchi, groźny wojownik, bóg grzmotu i miecza, nazywany również Kashimą. Przygważdża on kamiennym słupem głowę Namazu. Jeśli Kashima nie upilnuje suma, ten ruchami ogona i wąsów wzburza ziemię.

Najlepszy opis zawarł w swoich *Zapiskach z pustelni* Kamo no Chōmei, który opisywał serię nieszczęśliwych zdarzeń nawiedzających Japonię pod koniec XII wieku. Najpierw wielkie pożary. Potem wielki głód. A na koniec wielkie trzęsienie ziemi z 1185 roku, które uderzyło w Kioto – boskie miasto szczytujące się tym, że położone jest najbezpieczniej w całej Japonii.

„W tym samym czasie wydarzyło się potężne trzęsienie ziemi. Jego przebieg też był niezwykajny. Walące się góry zasypywały koryta rzek, a morze wdzierało się pod górę, na ląd. Ziemia rozstępowała się, ze szczelin tryskała woda, popękane skały zaś staczały się w doliny. Statki płynące blisko brzegu były znoszone przez fale, a konie na drogach niepewnie szukały oparcia dla kopyt. Wokół stolicy, jak okiem sięgnąć, nie pozostała w całości ani jedna świątynia czy pagoda. Jedne się rozsypały, inne przewrócone legły na ziemi. Kurz i pył wzbijał się w górę jak kłęby dymu. Łoskot towarzyszący poruszeniom ziemi i huk walących się domów brzmiały zupełnie jak

grzmoty podczas burzy. Jeśli ktoś był w domu, groziło mu, że będzie przygnieciony. Gdy ktoś próbował uciekać, ziemia rozstępowała mu się pod stopami. Ludzie, nie mając skrzydeł, nie mogli wzlecieć do nieba. Gdybyż tak być smokiem, można by wspiąć się w chmury... Zdawało się wtedy, że wśród wielu rzeczy strasznych właśnie owo trzęsienie ziemi było najstraszniejsze.

Takie silne wstrząsy trwały przez jakiś czas, aż ustały, ale wstrząsy wtórne jeszcze się ciągnęły. Początkowo nie było dnia bez dwudziestu, trzydziestu wstrząsów, z których każdy sam w sobie wystarczająco był straszny. Dopiero kiedy minęło dziesięć, dwadzieścia dni, przerwy zaczęły się wydłużać, trzęsło cztery, pięć razy dziennie, potem dwa, trzy razy, potem co drugi dzień, co dwa, trzy dni – i takie wstrząsy powracały jeszcze przez parę miesięcy”^[3].

I pisze dalej Kamo no Chōmei: „Spośród czterech żywiołów woda, ogień i wiatr zawsze wyrządzają szkody, ale ze strony ziemi nic szczególnego zwykle nie zagraża. Dawno temu, ponoć w erze Saikō, było wielkie trzęsienie ziemi i wydarzyło się wiele strasznych rzeczy, jak ta, że w świątyni Tōdaiji w Nara spadła głowa Wielkiego Buddy, ale nawet wtedy nie było tak strasznie jak teraz. Ludzie zaczęli więc mówić o marności i nietrwałości i zdawało się, że pył niewiedzy pokrywający ich serca nieco opadł, ale kiedy minęły dni, potem miesiące i lata, nikt już nawet nie wspominał o trzęsieniu ziemi”^[4].

Gdyby ludzie byli smokami, mogliby wzbijać się w przestworza i niestraszne byłyby im żadne kataklizmy. Gdyby byli smokami, może mieliby też lepszą pamięć. Jak Ryūjin, pan oceanów, dziadek pierwszego cesarza Japonii żyjący w podwodnym pałacu zbudowanym z białych i czerwonych koralowców. Potężny smok, ze srebrzystym cielskiem pokrytym łuską, z cienkimi wąsami i podłużnymi rogami, który włada przypływami i odpływami oceanu. Jego pamięć sięga daleko, potrafi wymienić wszystkie trzęsienia uderzające w japońskie wyspy.

9 lipca 869 roku. Wybrzeże Sanriku na północy Japonii. Ponad tysiąc zabitych. Tsunami zalewa całą równinę Sendai.

20 maja 1293 roku. Kamakura (wojskowa stolica Japonii w tamtym okresie). Dwadzieścia trzy tysiące zabitych.

11 września 1498 roku. Wzdłuż uskoku Nankai. Trzydzieści jeden tysięcy zabitych. Duże tsunami.

31 grudnia 1703 roku. Edo. Ponad pięć tysięcy zabitych. Tsunami rani ponad sto tysięcy osób.

8 maja 1847 roku. Słynna świątynia Zenkōji w Nagano, w której podobno przechowywana jest pierwsza figura Buddy przywieziona do Japonii przez

Koreańczyków. Prawie dziewięć tysięcy zabitych. Pożary, lawiny, powodzie. Prawie siedemdziesiąt tysięcy zniszczonych budynków.

1 września 1923 roku. Tokio. Ponad sto czterdzieści tysięcy zabitych. Pożary.

17 stycznia 1995 roku. Kobe. Sześć tysięcy czterysta trzydzieści czworo zabitych. Pożary.

11 marca 2011 roku. Wybrzeże Sanriku. Ponad osiemnaście tysięcy zabitych. Duże tsunami.

Ryūjin, pan morza, dziadek pierwszego cesarza, mieszkaniec koralowego pałacu, smok, który włada przypływami i odpływami, ma świetną pamięć. Mógłby jeszcze długo wymieniać kolejne trzęsienia, aż do tych najmniejszych, przecież rocznie jest ich tu koło ośmiuset. Przynajmniej dwa dziennie.

Ale ludzie smokami nie są i nie mają smoczej pamięci. Kamo no Chōmei porównuje ich do piany wzbierającej w zakolach rzek tylko po to, by po chwili zniknąć.

PAN ŻABA OSTRZEGA

Wchodzi do baru i zanim zamówi piwo, jeszcze stojąc w drzwiach, sprawdza, czy półki dobrze przypięte, ile jest miejsca pod stołem, czy szklanki nie zwałą się na głowę i którędy biegnie droga ewakuacji. Taki już ma odruch. Identyfikuje miejsce zielone (bezpieczne) i miejsce czerwone (potencjalne zagrożenie). W czerwonym nigdy nie usiądzie, prędzej zmieni bar.

Pan Żaba jest specem od trzęsień ziemi.

Naprawdę nie nazywa się Żaba, ale za każdym razem, kiedy na niego patrzę, widzę żabę z szerokimi ustami. Płaska twarz, włosy za ucho, grube szkła okularów i te usta – cienkie, podłużne, ruchliwe. Całe życie zajmuje się trzęsieniami i teraz mi o nich opowiada.

Nie da się ich przewidzieć, obwieszcza pan Żaba. Ale kiedy już się pojawią, można przed nimi ostrzec. Specjalny system wczesnego ostrzegania przed trzęsieniami ziemi korzysta z tysiąca sejsmografów rozstawionych wzdłuż japońskiego wybrzeża. Kiedy płyty tektoniczne zetną się ze sobą, uwalniają energię w postaci fal. Pierwsza idzie fala podłużna, nazywana falą P (od angielskiego *primary*). Druga idzie fala poprzeczna, czyli S (*secondary*). To wiedzą wszystkie japońskie dzieci. Uczą się o tym w szkole. P jest szybsze od S i w dodatku bardzo łagodne. Nie powoduje żadnych zniszczeń, przynosi tylko informację o tym, że zbliża się S – czysta energia, która burzy wszystko na swojej drodze. S pojawia się kilka, a czasem nawet kilkadziesiąt sekund po P.

To sekundy, które uratują ci życie, twierdzi pan Żaba.

Zdążysz schować się pod stół. Albo przykryć głowę poduszką.

Wyłączysz palnik w kuchence.

Odsuniesz się od latarni, szklanych witryn i automatów z napojami.

Zjedziesz na pobocze i zatrzymasz samochód. Wsiądziesz z windy.

Dentysta zatrzyma wiertło. Chirurg przerwie operację. W zakładach chemicznych zakręcą butelki ze żrącymi substancjami. Włączą się automatyczne hamulce pociągów jadących 300 kilometrów na godzinę.

W gazowni odetną rurociągi, a w elektrowni jądrowej uruchomi się awaryjny system wyłączania reaktorów.

Na co dzień pan Żaba szuka granicy, która dzieli życie od śmierci.

Pytania, na które próbuje sobie odpowiedzieć, brzmią:

Jak wzmacniać budynki dwupiętrowe?

Jak te siedmiopiętrowe?

Jak wzmacniać nie tylko fragmenty struktury zewnętrznej – ściany i fundamenty, lecz także wewnątrz – sufity, szafy, stoły?

Pan Żaba, inżynier, spec od trzęsień ziemi, wie o nich wszystko. Zarządza programami ewakuacji dla szkół, udoskonała drogi ucieczki i systemy ostrzegania. To dlatego, kiedy wchodzi do baru, jeszcze zanim zamówi piwo, upewnia się, które miejsce jest zielone i którędy prowadzi droga ewakuacji.

Bo samo trzęsienie nie jest specjalnie niebezpieczne, zwłaszcza przy zaawansowanej technologii wzmocnień i zabezpieczeń. Zagrożeniem stają się ogień i woda. I jeszcze zawałające się budynki, spadające przedmioty i osuwiska ziemne.

Najważniejsze to wiedzieć, jak się zachować, mówi pan Żaba. Bo jedno to te dziesięć sekund, które dostajemy dzięki technologii. A drugie to wyćwiczone, automatyczne zachowanie.

Ważna jest też wyobraźnia. Przejdź to w myślach krok po kroku. Co zrobisz, jeśli ziemia zatrzęsie się, kiedy będziesz w sklepie i ze sklepowych półek będą na ciebie leciały butelki i puszki? A co zrobisz, kiedy będziesz w biurze i zaczną spadać segregatory z dokumentami, a drukarki ustawione na szafkach z kółkami będą jeździć po pokoju? Jak się zachowasz w kinie? Na zakupach pod szklanymi arkadami? W samochodzie w tunelu? Albo na moście? W metrze? W górach? W windzie? A jeśli zatrzęsie nocą, a ty będziesz tylko w piżamie? Co, jeśli będziesz pod prysznicem? Albo w toalecie?

Użyj wyobraźni.

A potem zacznij przygotowania.

Przed trzęsieniem przyczepiasz regały do ścian. Na każdej półce montujesz łańcuchy zabezpieczające książki. Ciężkie rzeczy ustawiasz na dole – nie chcesz, żeby wylądowały ci na głowie. Kupujesz kapcie na grubej podeszwie, której nie przebija odłamki szkła. Do tego radio na baterie i latarkę, które położysz obok łóżka. I jeszcze gaśnicę. Oczywiście apteczkę. Upewniaasz się, gdzie są najbliższe bezpieczne (zielone) miejsca. Omawiasz z rodziną, jak będziecie się komunikować i gdzie się spotkacie. Szykujesz ewakuacyjny plecak, w którym masz kopie dokumentów, gotówkę, skarpetki i majtki, rękawiczki, pelerynę, jeszcze jedną latarkę i jeszcze jedno radio, dodatkową apteczkę, zapalniczkę, kilka plastikowych torebek, jedzenie instant, lekarstwa i soczewki. Plecak stawiasz przy drzwiach. Żebyś mógł go schwycić, kiedy będziesz wychodzić z domu. Nigdy nie wybiegaj. Panika nie jest wskazana. Panika mąci w głowie, łatwiej wtedy popełnić błędy.

W domu miej zawsze zapas wody i jedzenia w puszkach. Na co najmniej 72 godziny.

Kiedy usłyszysz ostrzeżenie przed trzęsieniem ziemi, najpierw otwórz drzwi, bo podczas wstrząsów framugi mogą się wypaczyć i nie będziesz miał jak wyjść na zewnątrz. Jeśli zdążysz – zakręć gaz. Schowaj się pod stół. A jeśli nie ma stołu, przykryj czymś głowę – poduszką, kołdrą, torebką. Albo stań w drzwiach. I czekaj.

Kiedy trzęsienie się skończy, zgaś ewentualne pożary, wyłącz korki, wyłącz krany, zamknij okna, na drzwiach zostaw karteczkę dla rodziny i pójdz do centrum ewakuacji.

11 marca 2011 roku płyty starły się o 14:46.45. O 14:46.53 informacja o trzęsieniu z Japońskiej Agencji Meteorologicznej dotarła do prefektur na północnym wybrzeżu Japonii (Iwate, Miyagi, Fukushima). Włączył się automatyczny alarm – w szkołach, w fabrykach, w siedzibie telewizji, w stacjach radiowych i w telefonach komórkowych.

Zbliża się trzęsienie ziemi. Macie 32 sekundy.

Trzęsienie było tak silne, że zmieniło kąt nachylenia Ziemi, przesunęło wybrzeże o pięć metrów na południowy zachód i obniżyło je o cały metr w dół. W tym czasie pan Żaba prowadził w gabinecie wykład dla studentów. Schowali się pod biurka. Z regałów spadły wszystkie książki, prawdziwa fala książek, śmieje się pan Żaba. Zablokowały drzwi, 20 minut zajęło im przekopanie się do wyjścia. Co by było, gdyby w tym czasie wybuchł pożar? Albo gdyby przyszło tsunami? No tak, śmieje się pan Żaba, człowiek zawsze uczy się na błędach. Ale tsunami by tu nie doszło. Za daleko. I za wysoko.

Dzięki wzmocnieniom domów (które reguluje prawo z 1985 roku, wprowadzone po trzęsieniu w Sendai z 1978 roku, kiedy w samym mieście zawaliło się ponad 6700 budynków) i powtarzanym ćwiczeniom z ewakuacji, w 2011 roku w trzęsieniu zginęło dziewięćdziesiąt osób.

Tsunami zabiło osiemnaście tysięcy.

Jeśli chodzi o tsunami, to pan Żaba ma tylko jedno zalecenie.

Uciekaj wyżej.

No dobrze, pytam pana Żabę. Siedzimy od półtorej godziny u pana w gabinecie, pełno tu regałów z książkami, tylko jedno biurko. Widzę, że regały są przyćepione do ścian, ale nie ma na nich łańcuchów. Jeśli za minutę zacznie trząść się ziemia, zmieścimy się razem pod biurkiem? I czy nie zaleje nas fala książek?

Pan Żaba mówi, że się zmieścimy. I że zaleje. Łańcuchy na półkach są może i przydatne, ale nie do końca praktyczne, jak się co chwilę sięga po jakąś książkę. Dlatego ustawił regał daleko od drzwi, żeby fala książek nie zablokowała drogi ewakuacji. Jak już się wygrzebiemy spod biurka i książek, możemy uciekać. Byleby

schodami, a nie windą.

Zawsze wiem, gdzie jest bezpiecznie, mówi mi pan Żaba na do widzenia.

Pewnie ma rację. Bo czy to nie żaby wyczuwają nadchodzącą katastrofę? Podobno już na kilka dni przed trzęsieniem ziemi opuszczają zagrożone tereny.

PÓŁNOC

W 1689 roku Matsuo Bashō, słynny poeta haiku, sprzedał dom, do plecaka zapakował przybory do pisania i papierowy płaszcz, żeby ogrzewał go nocą. Pożegnał wszystkich przyjaciół i ruszył w podróż. Nie sądził, że z niej wróci. Mówiono, że kto rusza na północ, żegna się z życiem.

Zaraz po tym, gdy na początku XVII wieku szogunowie z rodu Tokugawa zjednoczyli rozbitą na kilkaset niewielkich księstw Japonię, wytyczyli pięć głównych dróg łączących nową stolicę Edo z najważniejszymi miastami kraju. Istniały też pomniejsze oficjalne drogi i wiele nieoficjalnych, ale te pięć tras wyznaczało granice cywilizowanej Japonii. To, co było poza nimi, to peryferie.

Z pięciu dróg najważniejsze były Tōkaidō i Nakasendō, które prowadziły z Edo do Kioto. Pierwsza biegła nad brzegiem Pacyfiku, druga przez góry. Trzecia z głównych dróg, Kōshū Kaidō, prowadziła w stronę Nagano przez łańcuch górski, który później Europejczycy nazwali Alpami Japońskimi. Do dawnej stolicy Japonii, Nikkō, wyznaczono Nikkō Kaidō, a na północ prowadziła Ōshū Kaidō, która kończyła się w mieście Shirakawa. Dalej była już tylko dzika północ.

Tokugawowie zadbali o komfort podróżujących. Szerokie na jedenaście metrów trakty wyłożono kamieniami i posadzono wzdłuż nich drzewa, które osłaniały od słońca i wiatru. Jeśli koń samuraja potknął się o wystający kamień i zrzucił pana w błoto, karę za to ponosili mieszkańcy okolicznych wiosek.

Nieliczni Europejczycy, którym w tamtych czasach pozwalano podróżować po Japonii, ze zdumieniem pisali o drogach zatłoczonych niczym ulice Paryża. Wędrowali po nich kupcy, mnisi, drobni handlarze, urzędnicy, bezpieczni samurajowie i posłańcy. Ale przede wszystkim podróżowali *daimyō*, władcy dawnych księstw – feudalni panowie, z orszakami. *Daimyō* z rozkazu Tokugawów musieli co drugi rok spędzać w Edo, a kiedy wracali do swoich zamków (czas i trasy ich powrotów ściśle kontrolowano, tak żeby nie mogli się ze sobą spotykać i spiskować), na dworze szogunów zostawiali rodzinę. Ich przemarsze po głównych traktach Japonii to pokaz siły i bogactwa: lektyki, wierzchowce, samurajska świta, setki służących.

Wzdłuż tras Tokugawowie wyznaczyli punkty kontrolne, w których wędrowcy musieli okazać papiery wydawane przez lokalne władze albo świątynie zaświadczające o celu podróży. Oprócz punktów kontrolnych ustanowiono również oficjalne miasta pocztowe, *shukuba*, w których podróżni zatrzymywali się na noc. Mogli dać odpocząć

koniom, dobrze zjeść, pić sake i skorzystać z usług panien, *meshimori onna*, które po rozłożeniu na noc futonów kładły się obok zmęczonych podróżą wędrowców (prawo zezwalało, żeby w jednym zajeździe przebywały maksymalnie dwie *meshimori onna* – oficjalnie nazywane kobietami usługującymi przy posiłkach).

Daimyō, arystokraci i wysocy rangą urzędnicy zatrzymywali się w *honjin*, eleganckim budynku z przesuwanymi drzwiami, widokiem na wewnętrzny ogród i rzeźbionymi przepierzeniami. Na mniej zamożnych podróżnych czekały sienniki i pchły.

Oprócz noclegowni każda stacja miała herbaciarnie, stajnie, pijalnie sake, sklepiki z lokalnymi towarami. I oczywiście biuro administracyjne, które zarządzało tablicą z ogłoszeniami – wywieszano na niej drewniane deseczki z rozporządzeniami ze stolicy.

Pięć głównych dróg Japonii wyznaczało granice oswojonego świata. Ale Bashō, który przez kilka lat wędrował po południowych traktach, tym razem postanowił przekroczyć te granice. Północ – ze swoimi bogami i szamanami – rozpałała nie tylko jego wyobraźnię. Niezrozumiała dla mieszkańców Edo i Kioto. Wielokrotnie podbijana, ale nigdy nie ujarzmiona.

27 marca 1689 roku Bashō był gotowy do drogi. Opuścił Edo bardzo wcześnie, kiedy na niebie jeszcze widać było księżyc, a z zakamarków ulic uciekał mrok rozświetlany pierwszymi promieniami słońca. W oddali widział cień góry Fudzi. W parku Ueno zatrzymał się pod kwitnącymi drzewami wiśni. Przez pierwsze kilometry towarzyszyli mu przyjaciele. Potem został sam z jednym tylko towarzyszem podróży.

Po wielu dniach pieszej wędrówki dotarł do bramy Shirokawy, ostatniego miasta na północnej drodze Ōshū Kaidō, wyznaczonej przez Tokugawów. Dalej zaczynało się Tōhoku. Dopiero od tego momentu myśli Bashō – jak sam pisze – stały się czyste i precyzyjne.

Bashō wrócił z północnych krain i wydał *Po ścieżkach Północy* – pierwszą japońską książkę o podróżach, która literacki opis łączy z haiku. Opisuje porośnięte mchem kamienne posągi, które stoją od tysiąca lat, choć w tym kraju nic nie jest trwałe. I lasy tak gęste, że słońce nigdy nie dociera do ziemi. Gałęzie sosen tak obficie okrasza tam rosa, że lepiej nie zapuszczać się do środka bez parasola. Bashō pisze o zgiętych w pół rolnikach, którzy sadzą ryż na polach ukrytych w dolinach. O prostocie nazbyt głośnych pieśni. I o strachu, który widać na twarzach rybaków, kiedy o poranku szykują łodzie do połowu. Poeta zapuszcza się na górskie przełęcze, po których lepiej nie chodzić bez przewodnika z mieczem przytroczonego do pasa. Odwiedza pustelnie,

których ściany mnisi zapisują węglem, tworząc ulotne poematy. Odpoczywa w cieniu wierzby przy krystalicznie czystym strumieniu.

Pisze o zapachu świeżej trawy w poduszkach. O pchłach w podłych zajazdach wybudowanych nad gorącymi źródłami. I o pięknie wysp rozsypanych w zatoce Matsushima, porośniętych sosnami, którym słony wiatr powykręcał gałęzie. Bashō spędził bezsenną noc, słuchając wiatru, patrząc na chmury przemykające po niebie i czytając to, co o wyspach napisali inni. O ich ujrzeniu marzył jeszcze przed opuszczeniem Edo, ale sam nie napisał o nich żadnego wiersza.

Dzisiaj Tōhoku to sześć północnych prowincji: Fukushima, Miyagi, Iwate, Aomori, Akita, Yamagata. Ludzie tutaj mają grubo ciosane rysy, skórę ciemną od słońca, popękane dłonie. Rybacy i rolnicy. Silni mężczyźni, silne kobiety. Niezrozumiały dla południa akcent: twardy i szorstki. I kultura budowana wokół zasiewów, żniw, połowów i polowań. Niewidome szamanki, wiejskie znachorki. Zasuszone węże – bogowie zawieszeni u powały domów. Mroźne zimy, wietrzne lato, świątynie ukryte wysoko w górach, rytualne tańce do rytmu bębnów.

Miasta są tu nie za duże, otoczone polami ryżowymi i wzgórzami. Gdziekolwiek spojrzysz, tam zieleń drzew albo błękit wody. Restauracje ze świeżym sushi z makreli i tuńczyka. Niewielkie domki – każdy z własnym ogrodem, wypielęgnowanymi żywopłotami, równo przyciętymi cedrami, których długie gałęzie podpierają bambusowe patyki – żeby się nie złamały. Późną zimą kwitną drzewa śliwy – mają głęboki purpurowy odcień. Na wiosnę pojawiają się blad różowe kwiaty wiśni, wyrastają na czarnych, bezlistnych gałęziach. Żonkile, zasadzone pod ścianą domu, żółcą się w kwietniu, irysy w maju, w czerwcu i lipcu kwitną wielkie główki hortensji – klomby mieniają się wtedy wszystkimi odcieniami niebieskiego: modry, szafirowy, kobaltowy, cyjanowy, lazurowy, granatowy. Jesienią góry płoną czerwonym kolorem drobnych listków klonu. Choć nadal dominuje tu ciemna zieleń sosen i cedrów. A potem przychodzi zima. Ostra i sroga. Cały północny świat zamienia się w krainę bieli. Nic dziwnego, że tyle powstało tu legend o śnieżnych pannach zabijających mroźnym oddechem i górskich stworach karmiących się ciepłą ludzką krwią.

Trudno opisać to miejsce, słowa nie oddają tych widoków, ogromu przestrzeni, poskręcanych wiatrem gałęzi, głębokich dolin, łagodnych zboczy, leśnych drózek, poszarpanej linii brzegowej, bambusowych zagajników, pól ryżowych w odcieniach neonowej zieleni, ukrytych między drzewami kamiennych bram *torii*, które prowadzą do świątyni szinto zamieszkałych przez kami. Kami to esencje bogów, ludzi, zwierząt, roślin, naturalnych zjawisk i rzeczy, które nas otaczają. Można nazwać je duchami, ale po co nazywać coś, co nie do końca można pojąć? Kami na co dzień są łagodne, ale

potrafią stać się porywcze i gwałtowne. Dlatego lepiej je szanować i mieć w nich sprzymierzeńców, a nie wrogów.

O tym w Tōhoku ciągle bardzo dobrze wiedzą.

SŁOWNIK SŁÓW ZAKAZANYCH

Corpse (trup). Piętnaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt cztery *corpses* w całym Tōhoku. Do tego dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt dwie zaginione osoby. Tysiąc sześćset pięćdziesiąt sześć *corpses* w Rikuzentakacie.

Coffin (trumna). W najlepszym razie sklejona z dykty. A kiedy dykty brakowało, *corpse* kładło się na kawałku tektury i przykrywało drugim kawałkiem. *Home-made coffin*.

Crows (kruki). Pojawiły się w kwietniu. Dużo. Bardzo dużo. Podobno niektórym *corpses* brakowało fragmentów twarzy.

Flies (muchy). Pojawiały się w lecie. Tłuste i ospałe.

Stench (smród). *Stench* rozkładających się ciał, *stench* wilgoci i *stench* gnijącej soli morskiej. Zapach lata w Rikuzentakacie.

Pan Teiichi siedzi za biurkiem w swoim sklepie. Kiedyś to było centrum Rikuzentakaty. Dziś wokół plac budowy: dźwigi, koparki, ciężarówki. Nasiona Pana Teiichi, buda z dobudówką z niepasujących do siebie kawałków drewna, to jedyny sklep w okolicy. Trzeba naprawdę mieć powód, żeby tu przyjechać. Poza dziennikarzami prawie nikt się nie pojawia. Okulary w kwadratowych oprawkach zsuwają się panu Teiichiemu na nos. Skoro klienci i tak nie przyjeżdżają, równie dobrze może pisać. Wolno mu idzie. Uważnie dobiera słowa. Każde sprawdza w słowniku. Potwierdza jeszcze w internecie i dopiero wtedy gotowe zdania przepisuje z zeszytu do komputera.

Pisze po angielsku. W japońskim są takie słowa, o których pan Teiichi nie chce nawet myśleć, a co dopiero je zapisywać.

Angielski jest bezpieczny. Angielskiego pan Teiichi nie rozumie.

Monster (potwór). Wysoka na piętnaście metrów fala morska wzbijająca w powietrze szarą chmurę. Szalejąc, *monster* zniszczył cztery tysiące czterdzieści pięć budynków. Całe centrum Rikuzentakaty.

Snakes (wężę). Wygląd fal wybijających okna w budynkach i pełzających w głąb lądu.

Killer (zabójca). Zabitych przez niego ludzi znajdowano dziesięć kilometrów od brzegu.

Thief (złodziej). Zabrał dom, sklep i szklarnię pana Teiichiego. Tylko dług zostawił.

W pisaniu pomagają mu wolontariusze z Let's Talk Foundation z Tokio. Pojawili się w Rikuzentakacie w listopadzie 2011 roku, by uczyć miejscowych angielskiego. Przyjeżdżają raz w miesiącu, sprawdzają postępy, zostawiają materiały do dalszej nauki. Pan Teiichi poszedł na jedno zajęcia. Angielskiego uczył się kiedyś w szkole, jak każdy w Japonii. Ale nie był dobrym uczniem. Wolontariusze zachęcili go do spisania przeżyć. Chciał zapisać jedną stronę. Krótkie świadectwo tego, co się stało. Składał słowa w zdania, zdania w akapity. Zamiast jednej strony napisał pięćdziesiąt.

Nie może przestać pisać o tsunami. Choć tsunami nie widział.

Providence (opatrność). Dom matki pana Teiichiego stojący trzynaście kilometrów od morza. Pojechał tam od razu po trzęsieniu ziemi sprawdzić, czy matce nic się nie stało. Nie wiedział, że pół kilometra za nim idzie *monster, killer* i *thief*.

Seedlings (sadzonki). Rośliny, które hodował pan Teiichi i do których chciał zawrócić z drogi do domu matki (patrz: *providence*), żeby okryć je przed śniegiem. Żona zrobiła mu awanturę. Na co dzień cicha myszka, a tego dnia nie pozwoliła mu wrócić się do domu.

Blackout (brak prądu). Uniemożliwił skorzystanie ze stacji benzynowej w drodze do domu matki. Trzy minuty później stację zalało tsunami.

To mope (pogrążyć się w czarnych myślach). Czynność wykonywana w nocy, kiedy nie działał prąd, a pan Teiichi nie miał żadnych wiadomości o tym, co stało się w centrum. Pan Teiichi *moped* o sąsiadach, domu, sklepie i *seedlings*.

Pan Teiichi nie chce wymawiać po japońsku słów takich jak: trup, szczątki, pobojuwisko, trumna. Ale przed słowami nie da się uciec, powtarza je bezwiednie, jak mantrę. Jeśli nie na głos, to po cichu w głowie. Trzeba je zapisać, bo inaczej się zwariuje. A w obcym języku słowa też są obce. Ciąg nic nieznaczących liter. Można udawać, że mniej bołą.

To prostrate with shock (być zdruzgotanym). Uczucie, które wypełniło pan Teiichiego, kiedy ze wzgórza zobaczył zniszczoną Rikuzentakatę.

Habit (nawyk). Coś, co każe panu Teiichiemu nasłuchiwać gwizdania pociągu, choć wie, że tsunami wygięło tory, i martwić się o komputer, choć wie, że zabrała go fala. Tak jakby mózg pana Teiichiego nie rozumiał, co się stało.

Identity (tożsamość). Coś, co pan Teiichi stracił razem z domem, sklepem, certyfikatami, szklarnią i ze swoimi *seedlings*, które sam hodował tak, żeby z jednego korzenia wyrastały dwie różne odmiany pomidorów i bakłażana.

Pan Teiichi nie przestaje się zastanawiać, czy katastrofy można było uniknąć. Bada historię miasta, w archiwach szuka opisów tsunami z przeszłości. Mierzy też pnie drzew i oblicza ich wiek. Słona woda uśmierca korzenie. Jeśli drzewo jest starsze niż historie o tsunami, to według pana Teiichiego znak, że to miejsce jest bezpieczne.

Harbinger (zwiastun). Na pewno był. Tylko ludzie nie potrafili go dostrzec. Choć na początku marca rybacy mówili, że dzieją się dziwne rzeczy. Ryby zniknęły z rzeki. A nad domami przelatowały stada *crows*, kracząc złowrogo.

Warning (ostrzeżenie). Trzęsienie ziemi z 9 marca, po którym zabrzmiał alarm przed tsunami. Woda na oceanie podniosła się o pięćdziesiąt centymetrów, fala była zbyt słaba, żeby zalać las siedemdziesięciu tysięcy sosen na wybrzeżu.

Pipes (rury). Tuż po trzęsieniu 11 marca z *pipes* tryskały fontanny wody. Wszyscy myśleli, że uszkodziły je wstrząsy. Ale to był *harbinger* nadchodzącej katastrofy.

W 2012 roku, w marcu, pan Teiichi wydał na własny koszt pierwszą wersję napisanej po angielsku książki *The Seed of Hope in the Heart*. Sklejone strony A4, w cienkiej okładce ze zdjęciem cudownej sosny – jedynej ocalałej z nadmorskiego lasu, w którym rośło siedemdziesiąt tysięcy drzew.

Książkę można kupić w sklepie Nasiona Pana Teiichiego. Sklep stoi w tym samym miejscu co przed tsunami. Pan Teiichi odbudował go własnymi rękami. Zawsze jest w środku. Dogląda sadzonek w szklarniach, sprawdza znaczenie słów w słowniku albo gapi się przez okno na ogromny plac budowy: dźwigi, koparki, ciężarówki.

Planks (deski). Fragmenty czyjegoś domu, z których można sklecić tablicę i wbić ją w miejscu, w którym kiedyś miało się sklep, z wypisaną wiadomością: „To ja, sprzedawca nasion. Żyję”

Rubble (gruzowisko). Miejsce, z którego wyciąga się połamane *planks* i gwoździe, które posłużą do odbudowania sklepu. Przed wykorzystaniem fragmentów cudzych domów należy się pomodlić, prosząc zmarłych właścicieli o zgodę.

Wig (peruka). Czarne włosy znalezione podczas przeszukiwania *rubble*. A obok kawałek mięsa. Kiedy znajdzie się *wig*, lepiej zasłonić oczy, wrócić do centrum ewakuacji i zadzwonić na policję. Policja kazała panu Teiichiemu wskazać miejsce. Zapytał, czy to *wig*. Odpowiedzieli, że nie.

Ladle (chochla). Narzędzie kuchenne, które po połączeniu z bambusem służy jako łopata do wykopania studni głębokiej na pięć metrów. Słodka woda potrzebna jest do nowych *seedlings*. Pan Teiichi chciał, żeby do jałowej pustki wróciła zielen.

Pan Teiichi co roku wydaje nową wersję książki. Czwarta, wzbogacona o historię miasta, ma 137 stron. Właśnie powstaje piąta.

Czekając na klientów, pan Teiichi zaczął łączyć w zdania chińskie znaki. Wersję książki po mandaryńsku wydał w 2014 roku. Niedawno odwiedził swoich czytelników na Tajwanie. Kiedy się spotkaliśmy, obiecał, że spróbuje też pisać po polsku. Przetłumaczył wstęp do książki i uznał, że to jednak zbyt trudny język.

Teraz sprawdza, czy słowa zapisywane po hiszpańsku bolą mniej.

Cadáver (trup). Piętnaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt cztery *cadáveres* w całym Tōhoku. Do tego dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt dwie zaginione osoby. Tysiąc sześćset pięćdziesiąt sześć *cadáveres* w Rikuzentakacie.

Ataúd (trumna). W najlepszym razie sklejona z dykty. A kiedy dykty brakowało, *cadáver* kładło się na kawałku tektury i przykrywało drugim kawałkiem. *Home-made ataúd*.

Cuervos (kruki). Pojawiły się w kwietniu. Dużo. Bardzo dużo. Podobno niektórym *cadáveres* brakowało fragmentów twarzy.

Moscas (muchy). Pojawiały się w lecie. Tłuste i ospałe.

Hedor (smród). *Hedor* rozkładających się ciał, *hedor* wilgoci i *hedor* gnijącej soli morskiej. Zapach lata w Rikuzentakacie.

KREMACJE

Ubrani na czarno żałobnicy długimi pałeczkami wybierają kości z popiołu. Jedną po drugiej przekładają je do urny. Zaczynają od kosteczek śródstopia, kończą na czaszce. Zmarły nie powinien ruszać w zaświaty do góry nogami.

Kiedy umiera Japończyk, najbliżsi skraplają mu usta wodą. Domownicy białym papierem zasłaniają domowy ołtarz z bogami szinto, żeby nieczysty duch nie wdarł się do środka. Ustalają datę pogrzebu. Tu potrzeba wielkiej ostrożności, niektórych dni lepiej unikać. Ich brzmienie jest złowieszcze. Chociażby drugi dzień sześciodniowego księżycowego cyklu – *tomobiki* – można odczytywać jako „ciągnący przyjaciół”. Nikt nie chce, by zmarły pociągnął go w zaświaty.

Przed ceremonią pogrzebową w domu zmarłego odbywa się czuwanie. Zebrani odmawiają buddyjskie sutry i palą kadzidła. Podczas ceremonii pogrzebowej (91 procent Japończyków urządza ją w buddyjskim obrzędzie) zmarły dostaje nowe imię – *kaimyō*. Od teraz rodzina może spokojnie wymawiać jego ziemskie imię, pod którym znała go za życia. Duch nie poczuje się wezwany do powrotu.

Po pożegnaniu trumnę przewozi się do krematorium. W Japonii spala się 99,4 procent ciał zmarłych – najwięcej na świecie.

Kremacja dorosłej osoby zajmuje około dwóch godzin, potrzeba do niej prawie 40 litrów nafty. Rodzina i przyjaciele patrzą, jak trumna ze zmarłym ubranym w białe kimono, z jego ulubionymi papierosami albo cukierkami pod ręką, z kwiatami ułożonymi wokół głowy i ramion oraz sześcioma monetami potrzebnymi do przekroczenia rzeki Sanzu – nazywanej również Rzeką Trzech Rozdroży – wjeżdża do pieca.

Mąż, ojciec albo najstarszy syn dostają klucz. Po dwóch godzinach otworzą nim pokój, w którym na metalowych tacach zobaczą popiół i kości. Przez ten czas czekają na kanapach w sali obok, czasem obsługa krematorium szykuje dla nich lekki posiłek, a czasem po prostu idą na spacer po okolicy. Jeśli mieszkają niedaleko i chcą wrócić do domu, muszą uważać. Lepiej, żeby wybrali okrężną drogę i w ten sposób zmylili ducha, który mógłby podążać za nimi.

Kiedy rodzina staje nad spopielonymi szczątkami, każda para żałobników dostaje do ręki długie ceremonialne pałeczki. Razem oglądają kości zmarłego i przekładają je do urny. Mistrz ceremonii, który na głos opisuje i podziwia kości, pałeczkami uderza

w czaszkę, żeby rozbić ją na mniejsze części. Na wierzchu urny głowa rodziny kładzie kość gnykową z jabłka Adama. To najważniejsza kość w ciele człowieka. Mnisi mówią, że przypomina Buddę podczas medytacji.

Czasem urny są dwie, a nawet trzy – jedna zostanie schowana w rodzinnym grobie, druga w świątyni, a trzecią wyślą do grobu dla pracowników firmy, w której pracował zmarły.

Kremacje na tak wielką skalę zaczęły się w Japonii dopiero po II wojnie światowej. Wcześniej ciała chowano w grobach. Na spalenie, które oczyszcza duszę z nieczystości i zamienia ją w opiekuńczego ducha przodka – potężnego sprzymierzeńca rodu – mogła sobie pozwolić tylko arystokracja. Ale w latach pięćdziesiątych uznano, że chowanie ciał w ziemi jest niehigieniczne i zajmuje za dużo miejsca, którego w Japonii od zawsze brakowało. Tutaj umiera ponad milion osób rocznie. Niektóre miasta całkowicie zabroniły pochówku w ziemi, zezwalają tylko na kremację.

Zanim rodzina przeniesie urnę do grobu, trzyma ją na buddyjskim ołtarzu (w wielu domach ciągle stoją i buddyjskie, i szintoistyczne ołtarze – a obydwie religie przenikają się ze sobą). Przez całą dobę palą przed nią kadzidła. Zależnie od regionu i rodzinnych tradycji po kilkudziesięciu dniach prochy składa się w grobie (zazwyczaj trzydziestego piątego lub czterdziestego dziewiątego dnia). Rodzina raz do roku, podczas sierpniowego święta zmarłych – Obon – odwiedza grób przodków. Cały kraj jest wtedy w ruchu, zdarzało się, że korki ciągnęły się przez 200 kilometrów.

Na buddyjskim ołtarzu zostaje *ihai* – tabliczka z imieniem zmarłego. To jeden z najważniejszych przedmiotów w japońskim domu. Właściwie to nie przedmiot, bo po odpowiedniej ceremonii w polakowanych deseczkach zamieszkuje dusza dziadka albo babci. *Ihai* stoją w domowym ołtarzu według ściśle ustalonej hierarchii. Rodzina stawia przy nich miskę ryżu i pali kadzidła. Zwłaszcza tam, gdzie tradycja jest ciągle żywa – tak jak w Tōhoku. Ze zmarłymi rozmawia się jak z domownikami – opowiada o planach na przyszłość, prosi o wsparcie. Ciągle uczestniczą w życiu rodziny.

Dwoistość japońskich wierzeń oznacza, że choć zmarły pozostaje z rodziną jako duch przodka, to jednocześnie jego dusza musi sobie radzić sama w zaświatach, zanim – w nowym wcieleniu – powróci na ziemię.

Siedem dni po ceremonialnym pogrzebie zmarły staje na brzegu rzeki Sanzu. Czekają tam na niego dwa demony: Datsueba i Ken'eō. Datsueba, stara kobieta z gołymi, wyschniętymi piersiami, spróchniałymi zębami i szponiastymi palcami zdiera ze zmarłego ubranie. Jeśli jest nagi – obedrze go ze skóry. Ubranie podaje Ken'eō, starcowi z drewnianym kosturem, który zawiesza szmaty na gałęzi wielkiego drzewa z popękana korą. Zależnie od wagi popełnionych grzechów gałąź wskaże jedno z trzech przejść przez rzekę Sanzu – most, bród bądź wartki nurt, który trzeba przepłynąć

wpław.

Za rzeką czekają na zmarłego kolejni sędziowie, z których najważniejszy to Emma, władca piekieł z wybałuszonymi oczami i długą, potarganą brodą. To on, słuchając opinii poprzednich sędziów, ostatecznie decyduje o losie człowieka. Dusza może trafić do jednego z dziewiętnastu piekieł (osiem płonących, osiem zamarzniętych i trzy odizolowane) albo wrócić do świata ludzi. Jeśli Emma będzie łaskawy i wybierze tę ostatnią opcję, kolejni sędziowie rozważą, w jakiej postaci dusza powróci na ziemię. Czy będzie bogata, czy biedna? Piękna, brzydka, charyzmatyczna, tchórzliwa? Zostanie mężczyzną czy kobietą? Umrze szybko czy będzie cieszyła się długim życiem? Będą nękać ją choroby czy też bogowie obdarzą ją dobrym zdrowiem?

Czterdziestego dziewiątego dnia po pogrzebie zmarły poznaje decyzję co do swojej przyszłości. Pięćdziesiątego dnia zaczyna nowe życie.

No, chyba że trzydziestego piątego dnia decyzją Emmy trafił do jednego z piekieł, gdzie tortury nadzorują włochate ogry *oni*. Ich skóra jest niebieska, czerwona, brązowa. Pokryta strupami. Mają po pięćoro oczu, z których każde nabrzmięte jest krwią. Sine guzy na czole, skołtunione włosy, nieświeży oddech, ostre szpony i czarne rogi. W wykrzywionych łapskach trzymają nabite kolcami maczugi. Wbijają na pale, zrzucają z osiemdziesięciokilometrowych przepaści, pożerają żywcem, przypiekają ogniem, wpychają do rzeki wrzącego żaru, przez pół wieczności rąbią ciała na kawałki płonącymi toporami.

Z piekła mogą uratować zmarłego modlitwy odprawione przez rodzinę sto dni po pogrzebie. A także w pierwszą i drugą rocznicę śmierci – w tych dniach ostatni piekielni sędziowie wydają swoje wyroki nad udręczoną duszą.

Już nic więcej rodzina zmarłego nie może dla niego zrobić. Jest zdany na siebie.

NIEPAMIĘĆ

Może to był jedenasty, może dwunasty, a może trzynasty marca, te wszystkie dni wydają się jednakowe, nic z nich nie pamiętam. Jedno tylko wiedziałam. Że jeśli sprawdzę kolejne centrum ewakuacji, to z pewnością się znajdą. Co chwilę chwyciłam telefon i wykręcałam ich numery. Czasem czułam, że są w domu, muszę tylko jak najszybciej tam wrócić, czekają zmartwieni tym, gdzie się podziewałam.

Ale ich cały czas nie było.

Nie pamiętam, ile chodziliśmy po rumowisku. Zimno, ciemno, padał śnieg, potykaliśmy się o złamane belki, wpadaliśmy w ogromne kałuże słonej wody, deptaliśmy po wybebeszonych budynkach, nie wiadomo, gdzie dół, a gdzie góra.

Nie pamiętam, ile jeszcze razy trzęsa się ziemia – kilkadziesiąt? Kilkaset? I ile słyszeliśmy ostrzeżeń przed tsunami. Za każdym razem zostawialiśmy wszystko i biegliśmy w stronę wzgórz. Wracaliśmy po godzinie szukać dalej.

Pamiętam, że zgłosiliśmy zaginięcie, akurat biuro się zamknęło z powodu jakiegoś wybuchu. Biuro, czyli dwa stoły, za nimi ludzie znani z widzenia z ulic miasta, wszystkie oficjalne rejestry zabrało tsunami, więc na kartkach przy jednym stole zapisywali zaginionych, a przy drugim stole zmarłych. Dopiero później usłyszałam o Fukushima, ale co mnie to obchodziło, skoro ja walczyłam o ich życie, sprawdzałam, dzwoniłam, podjeżdżałam.

A ich cały czas nie było.

Nie pamiętam, kiedy spojrzałam z góry na równinę, na której kiedyś stało moje miasto. Pamiętam tylko brzęczącą w uszach ciszę.

Gdzieś pod tym rumowiskiem leżały moje dzieci.

Zacząłam szukać w kostnicach.

Nie pamiętam, jak szybko pojawili się chłopcy z sił samoobrony, ale byli tutaj, wspinali się na przewrócone domy, piłami elektrycznymi rozcinali ściany, wsuwali się do środka i szukali zaginionych. Brodzili po kolana w błocie i długimi kijami dźgali ziemię. Chyba już po tygodniu w tej masie szczątków zrobili przejście. Pomiedzy górami tego, co kiedyś było naszym życiem, można było iść niczym przez ocean. Z trudem rozpoznawaliśmy miejsca, w których kiedyś mieszkaliśmy – to powinno być gdzieś tutaj, może bardziej w lewo, a może bardziej w prawo? Aż dostrzegaliśmy kawałek firanki, obicie fotela, garnek, którego codziennie używaliśmy. Tam zaczęliśmy kopać, dogrzebywać się do wspomnień. Może chociaż nasze zdjęcia?

Może nasze dokumenty? Może nasza pamiątka ze ślubu, obrączka, kartka świąteczna od naszego dziecka?

Obok chłopcy z sił samoobrony z przepołowionych domów wyciągali trupy naszych bliskich. Trzymali je w szkołach, w kręgielniach, w centrach sportowych. Wyłożone niebieskim brezentem sale, a na nich ciała, w rzędach, zasłonięte plastikowymi workami, tylko twarze widać, idziesz i patrzysz w każdą twarz, licząc na to, że nie będziesz jej znać. To akurat dobrze pamiętam.

Mojego syna znaleźli 21 marca, fala zabrała go z lasu, pojechał z leśnikami zaznaczać drzewa do wycinki. Gdyby został w ratuszu, gdyby nie umówił tego spotkania, uratowałby się razem ze 126 osobami na dachu. Patrzyli, jak woda podchodzi coraz wyżej i wyżej. Dwa metry więcej i ich też by zalało.

Ciało trzymaliśmy dziesięć dni w domu. Krematoria nie wyrabiały się z pracą, brakowało drewna na trumny. Ludzie palili ciała bliskich ułożone na deskach, przykryte kartonem. Ponad tysiąc pięćset ciał, a w ciągu dnia mogą skremować siedem osób. W innych miastach władze podjęły decyzję: łopatami wykopujemy tymczasowe groby, które potem rozgrzebiemy. Jak sytuacja zostanie opanowana, spalimy ciała. Rodziny będą mogły pałeczkami przełożyć kości zmarłych do urn. Ale w Rikuznetakacie burmistrz powiedział „nie”. Brakowało i trumien, i paliwa, ale nikt nie chciał zakopywać w ziemi ciał najbliższych. Zaczęliśmy jeździć do innych miast, burmistrz pomagał i prosił: „Udostępnicie nam wasze krematoria”. Ja chciałam skremować syna w trumnie, więc zabrałam go do Morioki, największego miasta naszej prefektury Iwate. Tam chodził na studia, tam miał swój zespół, tam miał dziewczynę. Żegnało go ponad sześćdziesiąt osób. Nie płakałam, kiedy wybierałam z popiołu jego ciepłe kości. Wiedziałam, że czeka na mnie w domu.

Dzień po pogrzebie syna dostałam informację z urzędu, że o trzeciej po południu znaleźli moją córkę, zgniecioną przez szczątki domów. Sami zrobiliśmy dla niej trumnę. Trzy dni leżała w domu, aż udało nam się załatwić kremację w sąsiednim mieście. Tam ją pochowaliśmy.

Naszych rodzinnych grobów już nie ma. Je też zabrało tsunami.

SURVIVAL KIT

W 2011 roku w Tōhoku dwa miliony mieszkań zostały bez prądu, prawie półtora miliona bez wody bieżącej.

Kilkaset tysięcy ludzi mieszkało w salach gimnastycznych, halach sportowych, na piętrach ratusza albo szpitala, w których na ziemi rozłożono koce, a ściany zrobiono z kartonów. Ale ściana to był luksus – przez pierwsze dni niektórzy spali na gołej podłodze w ubraniu, w którym uciekli przed tsunami. Nocą temperatura spadała do minus pięciu stopni. Choć rząd w ciągu dwóch dni wysłał ciężarówki z wodą, rozdał 120 tysięcy koców, tyle samo butelek z wodą i 29 tysięcy ton benzyny, to do wielu i tak przez ponad tydzień nie docierały żadne transporty. Tsunami zniszczyło dwadzieścia dziewięć mostów. Drogi były zablokowane. W niektórych miejscach zesły lawiny błotne. W Ishinomaki na dojazdówce leżała łódź do połowów tuńczyka, która ważyła 400 ton.

Nie było prądu, nie było ogrzewania, nie było ciepłej wody, nie było w ogóle wody bieżącej, toaleta to las na tyłach hali, a jeśli ci za zimno, żeby chodzić do lasu, to za przepierzeniem z kartonów możesz nasikać do plastikowej torebki. Śmierdzi. Pysznicza nikt tutaj nie brał od tygodnia.

Przez pierwsze dni ludzie dostawali jedną ryżową kulkę – *onigiri* – na dzień. Wszyscy byli tak samo głodni. Nie było gazu – nie było ogrzewania. Nie było benzyny – nie było grzejników. Nie było prądu – nie było światła. Chyba że ktoś znalazł świece. I zapałki.

Brakowało wszystkiego.

Ale z niczego można zrobić coś. Dlatego powstała OLIVE. Strona internetowa, na której każdy może doradzić, jak po trzęsieniu ziemi zostać MacGyverem.

TOALETA BEZ WODY

Materiały:

- kubeł,
- dwie plastikowe torebki,
- gazeta,
- płyn dezynfekujący.

Sposób przygotowania:

Wyłóż wiadro plastikowymi torebkami schowanymi jedna w drugą. Do środka wrzuć kulki z gazet – będą wchłaniać wodę. Po użyciu spryskaj płynem dezynfekującym i przykryj wieczkiem.

Zmieniaj plastikowe torebki, kiedy zajdzie taka potrzeba.

PODUSZKA Z PIŁKI DO SIATKÓWKI

Materiały:

– napompowana piłka do siatkówki.

Sposób przygotowania:

Wypuść z piłki tyle powietrza, ile potrzeba, żeby osiągnąć wygodną do spania wysokość.

PUŁAPKA NA MUCHY

Materiały:

- butelka,
- sake,
- cukier,
- ocet,
- nożyczki,
- sznurek.

Sposób przygotowania:

Zmieszaj 100 gramów cukru z 70 mililitrami sake i 50 mililitrami octu. Zamknij butelkę i potrząśnij. W górnej części butelki wytnij otwór o średnicy trzech centymetrów. Zawieś butelkę na sznurku.

KUCHENKA POLOWA Z PUSZEK I OLIWY

Materiały:

- trzy puszki,
- aluminiowa folia,
- nożyczki,
- wykałaczki,
- chusteczki do nosa,
- olej albo oliwa.

Sposób przygotowania:

Zroluj chusteczki. Złóż aluminiową folię na cztery, a potem na pół. Przekłuj ją

w sześciu miejscach wykałaczkami i przez dziurki przeciągnij zrolowane chusteczki (możesz też użyć sznurka). Masz już knoty.

Obetnij puszki trzy centymetry od dołu. Do jednej włóż knoty, nalej łyżkę oleju. Naokoło ustaw trzy górne części puszek, powstanie trójnóg. Umieść na nim garnek z wodą. Podpal knoty. Woda zagotuje się w dziesięć minut.

TALERZ

Materiały:

- butelka,
- nożyczki.

Sposób przygotowania:

Obetnij czubek butelki. Przetnij butelkę wzdłuż. Otrzymasz dwa plastikowe talerze.

MYCIE ZĘBÓW

Materiały:

- sól,
- woda,
- kubek.

Sposób przygotowania:

Do kubka nalej wody, dodaj soli. Płucz usta przez minutę. Wypluj. Nie pij słonej wody, bo możesz się rozchorować.

NOSZE

Materiały:

- dwa T-shirty,
- dwa patyki.

Sposób przygotowania:

Przeciągnij patyki przez rękawy T-shirtów.

Zanim położysz na nich chorego, sprawdź, czy nosze są wytrzymałe.

BANANOWE MLECZKO DO CIAŁA

Materiały:

- bardzo dojrzały banan – tak dojrzały, że aż czarny,
- tanie *shōchū* (japońska wódka),
- aluminiowa folia,

– pojemnik.

Sposób przygotowania:

Umyj banana razem ze skórką. Zrób siedem nacięć. Banana zawiń w folię, opiekaj (na kuchence polowej z puszek), aż pojawi się przezroczysty płyn. Zbierz płyn do pojemnika. Kiedy ostygnie, zmieszaj z *shōchū* w proporcji 1:1.

Mleczko wklepuj w twarz, a jeśli trzeba – w całe ciało. Możesz trzymać je nawet przez miesiąc. Ma silne właściwości nawilżające. I silny zapach.

JAK ZMIENIĆ ROZMIAR BATERII Z AA NA D

Materiały:

- baterie paluszki,
- osiem monet jednojennych lub dziesięciojennych,
- papier,
- taśma klejąca.

Sposób przygotowania:

Umieść monety pod baterią AA. Owiń całość papierem i przyklep taśmą klejącą.

Ważne: nie mieszaj monet jednojennych z dziesięciojennymi! Może dojść do zwarcia.

JAK SIĘ OCIEPLIĆ

- Wepchnij gazety pod ubranie.
- Zakładaj rzeczy w ciepłych kolorach. Naukowcy udowodnili, że podnoszą temperaturę ciała.
- Pod pachami trzymaj plastikowe butelki z gorącą wodą.
- Wokół szyi zawiąż ręcznik albo szalik.

Na stronie internetowej ludzie doradzają również, jak zrobić gumki do włosów z dętki od roweru, kubek z torebki plastikowej, łyżkę z kartonu po mleku, kimono z koca, lalkę z rolki po papierze toaletowym, pieluszki z plastikowych torebek, podpaski z rękawów bawełnianej koszuli połączonych z taśmą wodoodporną i nosidełko dla dzieci ze spodni. A także, jak uwędzić jedzenie w dymie, żeby się nie psuło, i zagotować wodę do kąpieli w elektrycznym garnku do ryżu – kiedy już pojawi się prąd.

BABCIA ABE

Babcia Abe częstuje mnie kawą – tak gęstą i mocną, że aż stoi w kubku. To kawa dla rybaków zaprawionych przez morze. Mocni faceci potrzebują mocnej kawy. Siedzimy w blaszaku z betonową podłogą – tymczasowy rybny targ w Onagawie, Marine Pal Onagawa. Ocean jest po drugiej stronie drogi.

Nawet na targu i w kaloszach babcia Abe jest elegancka. Idealnie skręcone włosy, czarna koszula, czarne spodnie, kaszkiet na głowie. Kaszkietów ma całą kolekcję: wełniane, w paski, pluszowe, w panterkę. Dzisiaj wybrała beżowy. Podsuwa mi do spróbowania rybki nie większe niż brzeg paznokcia.

– To *shirasu*, narybek sardynek. Sama marynowałam – nakłada mi porcję na ryż w miseczce.

Niewiele tu się dzieje. Sprzedawcy czekają na klientów. Na kruszonym lodzie ułożyli srebrzyste sajry – niewielkie ryby o wydłużonym kształcie. Duma miasta, tu łowi się ich najwięcej na całej wyspie Honsiu. W styropianowych pojemnikach wiercą się kraby z mocno związanymi szczypcami. Na ladach leżą ośmiornice. Są już pierwsze przegrzebki i jeszcze maleńkie (sezon zaczyna się dopiero za miesiąc) *hoya*, czerwone żyjątko, których osłonka wygląda jak kopytko. Japończycy nazywają je morskim ananasem.

Babcia Abe podsuwa mi surową *hoya* do spróbowania: – Czasem ją marynuję albo wędzę, ale surowa to mieszanka słodkiego, słonego, gorzkiego i kwaśnego – idealna do sake. Szkoda, że nie przyjechałaś kilka tygodni wcześniej, dopiero co przestaliśmy zbierać wodorosty *wakame*, a u nas są najlepsze na świecie. Pacyfik jest tu zimny, prądy silne, wodorosty rosną soczyste i mięsiste. Za kilogram w Tokio płaci się krocie. Ale one nigdy nie będą tak świeże jak te zjedzone tuż po połowie. Maczamy je we wrzątku, tylko szybki ruch pałeczkami z lewa na prawo. *Shabu shabu* – tak nazywamy ten dźwięk. Zmieniają kolor z brązowego na zielony. Polewamy je sosem *ponzu* – to sos na bazie sosu sojowego i cytrusów, ma słodko-kwaśny smak. Niebo w gębie, musisz przyjechać za rok, bo sezon kończymy na początku kwietnia. To ściste regulacje lokalnego samorządu, żeby zagwarantować jakość naszych wodorostów. Po *wakame* zaczyna się sezon na przegrzebki. Wystarczy popłynąć dziesięć minut łodzią i już można wyciągać liny pełne płaskich kremowych muszli. Najlepsze idą na sprzedaż. Ale czasem zje się na łodzi lunch – surowe przegrzebki pokrojone w plasterki z odrobiną sosu sojowego, najświeższe *sashimi*. Nie, ten smak nigdy się

nie nudzi. Potem jest *hoya*, już jej próbowałam, chcesz jeszcze? We wrześniu zbieramy jeżowce, sezon trwa przez całą jesień i zimą, ale ich smak się zmienia. Najlepsze są te wrześniowe: lekko maślane, słodkie, nie rozpadają się na kawałki. Te późniejsze są zbyt gorzkie, bez smaku. Sezon kończymy ostrygami. Zimą nie łowimy. Czyścimy liny, sadzimy na nich nasiona wodorostów. I tak w kółko – babcia Abe pałeczkami sięga po *shirasu* i dokłada mi do miski.

– Masz, spróbuj jeszcze tego, to *kombu maki*, sama wymyśliłam ten przepis. Marynowana sajra zawinięta w marynowane wodorosty. Prawie jak sushi, tyle że *kombu maki* wytrzymają miesiące. Pochodzę z Kesennumy, dużego portu na północ stąd. Rybacy z Kesennumy wypływali na połowy tuńczyka na całe miesiące. Kobiety szykowały jedzenie, które się nie psuło i smakowało domem. Na tym się wzorowałam. Przepis wymyślałam przez rok. Zmieniałam proporcje, czas gotowania, rodzaje sosów. Aż w końcu nie miałam żadnych zastrzeżeń. Wiesz, że minister dał mi nagrodę? To było w '89. Spróbuj, to jest słodsze, a to trochę bardziej wytrawne, ludzie kupują, żeby położyć je na ryż, ale niektórzy kroją na kawałki i jedzą jak przekąskę.

– Cały proces to dwadzieścia siedem kroków, no przecież nie zdradzę ci wszystkich. No więc tak, sajrze odcina się głowę i ogon, patroszy, pozbawia ości, myje, gotuje, smaży, czyści, marynuje w sosie, smaży jeszcze raz, a potem zawija się ręcznie w wodorosty, które wcześniej też zostały zamarynowane w sosie sojowym z dodatkiem cukru. Pakuje się, wyparza, suszy, czyści i chowa do tekturowych opakowań. Wszystko robimy ręcznie. Oprócz garnków, patelni i palnika nie potrzeba nic więcej. Odbudowałam się szybciej niż rząd. Moja fabryka była jednym z pierwszych budynków, który stanął w Onagawie.

– O tsunami nie będę ci mówić. Nie ma nic do powiedzenia. Masz, spróbuj jeszcze tego, to sfermentowane wnętrzności kałamarnicy, typowo japońskie. A to jeszcze jest smaczne, sama marynowana makrela. Chcesz więcej ryżu? Zaraz ci odgrzeję. Gdybyśmy spotkały się u mnie w domu, tobym dała ci jeszcze piklowane ogórki i kapustę, a tu, na tym targu... Czekaj, nie jest ci zimno? Przecież to wielka chłodnia. Nie, ja nigdy nie marznę.

– Pamiętam doskonale, jak pojawili się wolontariusze, szybko przyjechali, chyba byli tutaj już po tygodniu. Spytałi, czego potrzebuję, a ja potrzebowałam tylko roweru. Dwa dni później pojechałam na nowym rowerze 40 kilometrów w głąb lądu. Inny świat. Normalne ulice, normalne domy. Supermarkety z pełnymi półkami. W jedną stronę pedałowałam z *kombu maki*, w drugą wracałam z produktami. Trzy miesiące po tsunami rozkręciłam biznes. Co innego było robić?

– Ludzie nie lubią tu siedzieć beczynnie. Niedawno tam, na wzgórzu, w starej

szopie z widokiem na zatokę, otworzył się Dom Marzeń. Kobiety założyły. Czternaście matek, niewielka restauracyjka, przyjemne miejsce. W poniedziałki gotują najmłodsze – sześćdziesięciolatki, we wtorki siedemdziesięciolatki, a w środy osiemdziesięciolatki i tak w kółko. Grillowane ryby, zupa *miso* z lokalnymi wodorostami, ryż z kwaśną śliwką *umeboshi*, a na deser figi, które jemy ze skórką. Figi uprawiają *papa chan* – tak tutaj nazywamy dziadków, którzy pomagają w Domu Marzeń. Nie, nie przy garach, no co ty! Sadzą warzywa w ogrodzie. Nic ciężkiego: czosnek, chili i te figi. Dyni nie podniosą. Wszyscy są tam dobrze po siedemdziesiątce! W sumie niewiele starsi ode mnie. Czekaj, a może chcesz więcej kawy?

– Dużo usłyszysz tu takich historii. Niedaleko stąd, na półwyspie Oshika, żony rybaków robią naszyjniki z nieużywanych sieci rybackich. Oshika to ta zielona góra wyrastająca z morza. Administracyjnie to część Ishinomaki, ale bliżej im do Onagawy. Dziesięć lat temu wszystko się tu pomieszało, rząd przeprowadził reformę, trzy miasta łączyły się w jedno, dlatego teraz masz trzy centra i pola ryżowe, pastwiska, wioski, góry i lasy pomiędzy. Onagawa mogła się połączyć z Ishinomaki, ale nie chcieliśmy. Mamy własną elektrownię jądrową, władze nie chcą się dzielić pieniędzmi, które dzięki niej zarabiają. Ale ja nie o elektrowni chciałam, ale o żonach rybaków. My jesteśmy złączone z morzem. One, z tej wioski na półwyspie Oshika, hodowały ostrygi, oskrobywały ryby z łusek, patroszyły, czyściły liny i sieci. Twarde baby. Nie dziwne, że nie chciały siedzieć bezczynnie. Pracy przy rybach już nie było, musiały więc wymyślić coś innego. Zaczęły robić naszyjniki z rogów jelenia i sieci rybackich. Jeleń to u nas symbol szczęścia. I odnowy. Co roku wyrasta mu nowe poroże. Piękne te naszyjniki, wyglądają jak takie indiańskie amulety, no wiesz, te, które wyłapują koszmary.

– No oczywiście, kochana, kobiety tu są silne, przecież my dajemy życie. A każdy poród to jak wspięcie się na Mount Everest. Ja rodziłam cztery razy. Po tym to ja przeżyję każdą katastrofę. Głodna już nie jesteś? Bo jeszcze przygotowałam miskę ryżu i suszoną meduzę w zalewie z cytrusów. A wiesz, co mówią rybacy? Że ostrygi rosną większe. I że wodorosty mają bogatszy smak.

– Aha, i nie zapomnij wziąć kulek ryżowych z makrelą na drogę. Zaraz ci zapakuję.

PRZETERMINOWANI

Te domy są naprawdę świetnie zaprojektowane. Trzydzieści metrów kwadratowych, a wszystko się mieści. Rozkładany stół, pralka, kuchenka, kuchnia, wanna wielkości brodzika, ubikacja, dwa pokoje, każdy akurat na dwa futony – cała czteroosobowa rodzina może spać razem. Będzie im cieplej w nocy, zwłaszcza zimą, kiedy od metalowych ścian ciągnie chłód. Są tacy, którzy nie chcą z nich wychodzić. Siedzą cały dzień z zasłoniętymi oknami, nie rozmawiają z sąsiadami. Nikt nie wie, co się dzieje u nich w środku, choć przecież przez ściany wszystko słyhać. W zeszłym miesiącu jeden mężczyzna popełnił samobójstwo. Skoczył do rzeki. Miał 31 lat.

Osiedla domów tymczasowych. Przestrzeń zalana betonem, domy ustawione w równych rzędach, jeden przy drugim. Łatwo się tu zgubić, każda uliczka wygląda tak samo. Metalowe ściany, plastikowe okna, jedyna zieleń to doniczki z kwiatami ustawione przy drzwiach – odtwarzają ogrody, które kiedyś miały rodziny mieszkające w tych złożonych z metalowych części trumien. Ściany są tak cienkie, że sąsiad praktycznie mieszka z nami. Słyhać, jak wtóruje podłożonemu śmiechowi w japońskich programach, jak spuszcza wodę w kiblu, jak kłóci się z żoną i jak chrapie w nocy.

Zbudowano je z datą ważności. Na dwa lata. Zgodnie ze standardami pomocy humanitarnej w sytuacjach kryzysowych.

Zimą metalowe ściany są zimne, trzeba uważać, żeby ich nie dotknąć. Poranny prysznic zamienia się w przygodę. Latem nie można usiedzieć w środku, żadne otwieranie okien nie pomaga, na dachu można by smażyć jajka.

Dlatego ludzie siedzą na zewnątrz. Gapią się na te równe rzędy domów, na tę przestrzeń bez zieleni.

Nudzą się.

Lokalni liderzy próbują wszystkiego. Poranna gimnastyka, sobotnia herbatka. Wspólne ubijanie kleistego ryżu na ciasteczka *mochi* albo rysowanie planszy do teatrzyku, w którym opowiedzą o tym, jak bardzo jest im źle. Może wtedy poczują się lepiej?

Sami też próbują sobie urozmaicić czas. Kobiety zbierają się po dwie, trzy, cztery, pięć i składają z papieru żurawie. Albo z kłębków materiału robią zawieszki na telefon. Starsi czekają na sobotę, kiedy przyjadą wolontariusze. W jednym tygodniu mnich z kawą, w innym masażysta, w kolejnym fotografowie albo wycieczka z Tokio, która

nie do końca wie, co ze sobą zrobić – chcieliby jakoś pomóc, ale w czym tu pomagać? Więc nudzą się razem.

Mieszkańcy osiedli tymczasowych ożywiają się, kiedy rozmowa schodzi na budowane przez rząd falochrony. Ambitny projekt wart trylion jenów (8,5 biliona dolarów) – czterysta kilometrów ściany, która odgrodzi wybrzeże od morza. Wały ochronne to szaleństwo, mówią tutaj. Niszczenie natury, dodają. Powinniśmy być jak bambus czy wierzba – elastyczni na wietrze, a nie stawiać się naturze murem. Czemu to jest szaleństwo? Spójrz na wyspę Okushiri, którą w 1995 roku zburzyło tsunami. Całą. Zamieniono ją w fortecę. 14 kilometrów z 84-kilometrowego wybrzeża to gruba ściana. W najwyższym punkcie ma 11,7 metra. Do domów stojących na brzegu nie wpada już światło. Ale nie tylko to! Zmienia się fauna i flora. Mały skorupiak żyjący na plaży z niebieskiego zrobił się biały.

Zabezpieczyli się tą ścianą, wybudowali bramy w czterech rzekach, w każdym domu mają głośniki połączone z systemem wczesnego ostrzegania. Wybudowali platformę, na której zmieści się czterysta czterdzieści osób. Na wzgórze prowadzi koło czterdziestu dróg ewakuacyjnych ze znakami na baterie słoneczne.

Myślą, że są bezpieczni. Ale oni zostali odcięci od morza. Nie widzą, jak zmienia kolor, jak się burzy, jak reaguje. Nie dostrzegą niebezpieczeństwa.

O tym, że falochrony buduje się zamiast apartamentów, mieszkańcy domów tymczasowych też mają swoje zdanie – na falochronie nie da się mieszkać, prawda? A przed tsunami i tak ratuje tylko ucieczka. Ale rząd odtrąbi sukces. Lepiej skończyłby budować te bloki, do których kiedyś się przeniosą.

Błaszane osiedla tymczasowe stoją na rządowej ziemi, więc tu budować nie można, trzeba by najpierw usunąć osiedle tymczasowe. A tuż nad brzegiem rząd sam zabronił odbudowy. W innych miejscach ziemia jest własnością prywatną, tam ludzie sami sobie stawiają domy. Zostają góry, ale jak budować na zboczach? Niektóre miasta burzą szczyty, rozwalają zbocza i tworzą płaskowyże. To trwa.

Więc jak już te domy staną – co miało wydarzyć się w 2013 roku, potem w 2014 i w 2015, a teraz mówią o 2017, może 2018 – to będą wreszcie pięknie mieszkać. Trzy pokoje z widokiem na morze, kuchnia, łazienka i normalne ściany. Wreszcie trochę prywatności.

Byleby rząd wyrobił się przed 2020 rokiem, mówią podniesionymi głosami, kiedy w Tokio odbędą się igrzyska. Coraz więcej robotników zostawia pracę tutaj i jedzie budować stadion olimpijski.

W 2011 roku do blaszanych domów tymczasowych przeniesiono około 68 tysięcy ludzi (z prawie 350 tysięcy ewakuowanych, tutaj gubią się nawet rządowe statystyki – niektórzy mówią o 470 tysiącach ewakuowanych)^[5].

W 2012 roku żyło w nich 204 tysiące osób (z 330 tysięcy ewakuowanych).

W 2013 roku – nadal 179 tysięcy (z 310 tysięcy ewakuowanych). To w tym roku minął termin ważności domów tymczasowych. Wydłużono go więc o dwa lata.

W 2014 roku – 150 tysięcy (z 260 tysięcy ewakuowanych).

W 2015 roku – 117 tysięcy (z 220 tysięcy ewakuowanych). Termin przydatności domów tymczasowych znów wydłużono – zależnie od decyzji lokalnych władz od roku do dwóch.

Wiosną 2016 roku w domach tymczasowych ciągle mieszkało 65 tysięcy osób (ze 170 tysięcy ewakuowanych).

Po wielkim trzęsieniu w Kobe z 1995 roku w ciągu pięciu lat dla wszystkich ewakuowanych wybudowano 25 tysięcy mieszkań.

W Tōhoku potrzeba 29,5 tysiąca mieszkań. Do połowy 2015 roku wybudowano ich 11 tysięcy.

Niektórzy urzędnicy przewidują, że osiedla pozostaną zamieszkane przynajmniej do 2021 roku. Ci, którzy byli w stanie – wyprowadzili się. Zostali emeryci i ci, których nie stać na wynajęcie mieszkania. Spłacają stare kredyty, może stracili pracę, a może zarobki im nie pozwalają?

W lecie siedzą na ławkach przed domem. W zimie zakopują się pod kocami i grzejnikiem próbują ogrzać zimne ściany. Czekają. I czują się jak obywatele drugiej kategorii.

Przeterminowani.

BIAŁA PLAMA

Po tsunami sprząтали strażacy, policjanci, wolontariusze i nie-żołnierze (jak ich nazwać inaczej, skoro zgodnie z powojenną konstytucją Japonia nie ma armii?). Dwadzieścia cztery miliony ton szczątków. I pewnie kilkaset milionów ton błota. W świecie po tsunami nie obowiązywały żadne zasady oprócz jednej: jak najszybciej posprzątać. Na stos szły opakowania po żrących substancjach, kable, plastikowe butelki i ciężkie zastony.

Ale wspomnień się nie pali. Lokalne władze udostępniły ocalałe budynki jako tymczasowe składy na wspomnienia. Układali je w pudłach. Potem pomyślały, co z nimi zrobić.

– Odzyskanie wspomnień to wielka radość! Zajęło mi to kilka miesięcy – mówi pani Shimida, która szukała ich na własną rękę. – Tuż po tsunami godzinami stałam przed pustym miejscem, które kiedyś było moim domem. Patrzyłam w ziemię i nie rozumiałam, co się stało. Dzieci wysłałam do rodziny w Sendai, godzinę drogi od Yamamoto. Zostałam, żeby pomóc ludziom mieszkającym w centrum ewakuacji. Gotowałam dla nich zupę. Dopiero po tygodniu, kiedy dotarły pierwsze transporty z pomocą, pojechałam do dzieci. Czułam się tak dziwnie! Od teraz to ma być mój dom? Wspomnień szukałam od samego początku, już przez te pierwsze dni. Co czułam? To trudno wyrazić. Najpierw coś przyciąga twoją uwagę. Zwykły kolorowy skrawek, ale serce zaczyna szybciej bić, sięgasz po wspomnienie – może okaże się twoje? Rozpoznajesz jakiś detal i już wiesz, że to to, że znalazłaś fragment siebie. Radość płynąca gdzieś z głębi. Nie udało mi się odzyskać wszystkich. Ostatnie znalazłam po dwóch latach. Noszę je zawsze przy sobie, w kieszeni.

Zebrane przez strażaków, policjantów, wolontariuszy i nie-żołnierzy wspomnienia są pozlepiane, ubłocone, przemoczone. Gdy zrobiło się cieplej, zaczęły gnić. Dlatego w niektórych miastach trzymano je w zamrażarkach.

Zanim odda się je właścicielom, trzeba je wyczyścić. To jest dość proste, choć czasochłonne. Te, które się posklejały, należy rozdzielić. Szczoteczką wyczyścić z zaschniętego błota. Zanurzyć w letniej wodzie. Nie cieplejszej niż 30 stopni i nie zimniejszej niż 20. To pozwala pozbyć się warstwy soli, która wżera się w ich srebrną powłokę. Teraz trzeba usunąć pędzelkiem pozostałe błoto. Wyjąć i przypiąć klamerką do sznura. Suszyć w zacienionym pomieszczeniu, w którym nie ma kurzu.

Ponumerować. Przepisać zapisane z tyłu wspomnień, albo z kart albumów, zdania: „Zaczyna wyrażać życzenia, ciągle robi śmieszne błędy. Cały czas chce bawić się na dworze. Przerażają ją okrągłe lalki *daruma*”

Yamamoto. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy wspomnień.

Ōtsuchi. Trzysta tysięcy wspomnień.

Kesenuma. Milion dwieście tysięcy wspomnień.

Ōfunato. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy wspomnień.

Sendai. Trzysta tysięcy wspomnień.

Natori. Dwieście czterdzieści tysięcy wspomnień.

Onagawa, Rikuzentakata i Minamisanriku. Ponad czterysta tysięcy wspomnień.

Kiedy już wspomnienia wyschną, robi im się zdjęcie – każdemu osobno. Albo się je skanuje. Potem wkłada z powrotem do wyczyszczonych albumów. Te przyniesione luzem chowa się do pudełka i zapisuje nazwę miejsca, w którym je znaleziono.

Z pudłami wspomnień wolontariusze jeżdżą po domach tymczasowych. Może ktoś siebie rozpozna? Niektóre organizacje tworzą bazy internetowe, w których wspomnienia podzielono na kategorie: czarno-białe, wakacje, śluby, dzieci, sport.

Ludzie spędzają długie godziny na przeglądaniu twarzy, budynków, wzorów ubrań. Potrzebują choć małego kawałka łączącego ich z życiem, które się skończyło. Potwierdzenie, że byli te miasta, w których mieszkali. Że byli ci ludzie, których kochali. I że oni sami byli.

Niektórzy rozmawiają ze sobą, popijając herbatę. Inni do nikogo się nie odzywają, szybkimi ruchami przerzucają stosy wspomnień. Tak jak siedemdziesięcioletnia Miyoko, która krótkimi palcami szybko kartkuje ułożone w pudełku wspomnienia. Wzrok ma skupiony, wypatruje detalu, który przyciągnie jej uwagę.

– Nie wiedziałam, że byłam taka pulchna! Zeszczuplałam na starość – śmieje się z ulgą Miyoko, kiedy znajduje wspomnienie z pierwszego dnia szkoły jej córki. Przedstawia matki w kimonach: siedzą z rękoma złożonymi na kolanach. Miyoko pokazuje jedną z kobiet. – Kayo Suzuki, fala zabrała ją podczas ucieczki. A to Kayoko Kon, wróciła do domu po swoje rzeczy. Więcej jej nie widziałam.

Yamamoto. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy fotografii.

Ōtsuchi. Trzysta tysięcy fotografii.

Kesenuma. Milion dwieście tysięcy fotografii.

Ōfunato. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy fotografii.

Sendai. Trzysta tysięcy fotografii.

Natori. Dwieście czterdzieści tysięcy fotografii.

Onagawa, Rikuzentakata i Minamisanriku. Ponad czterysta tysięcy fotografii.

Tsunami zmieniło fotografie w abstrakcyjne dzieła sztuki. Tam, gdzie bakterie zjadły drobinki srebra pokrywające papier, zniknęły kolory. Biały papier z plamami – nogi w szortach, splecione dłonie, fragment sukni ślubnej, bukiet, nos wielkiego Buddy, ramię w garniturze, broszka, oko, uśmiech dziecka.

Niektóre zdjęcia są odbarwione, inne wyglądają, jakby ktoś nałożył na nie czerwono-żółty filtr. Albo bawił się programem komputerowym, stosując efekty: redukcja koloru, zamrożenie, pastele, szkic ołówkiem, farby olejne, bąbelki mozaikowe, gąbka akwarelowa, ziarno kliszy. Rozmycie.

Plamy kolorów i szare plamy jak pociągnięcia pędzla z tuszem. Rysy jak na szkle. Żółte smugi. Czarne smugi. Rozmazane linie. Regularne czarne kropki. Pomarańczowa poświata. A w tle ludzie. Na plaży, na biznesowych spotkaniach, na zakończeniu roku szkolnego, pod świątynną bramą, w parku, w domu, na nartach, nad morzem.

Te, na których jest choćby fragment budynku, choćby wzór na ubraniu, choćby napis na odwrocie, są czyszczone, suszone i fotografowane albo skanowane. Może ktoś rozpozna dach szkoły? Kimono córki? Pismo brata, z którym w 1954 roku odwiedzali Tokio? Może dzięki tym fragmentom na chwilę cofnie się do słonecznego lata, kiedy całą rodziną pojechali na wakacje do stolicy? Znowu poczuje dumę z córki, która kończy 20 lat i przechodzi ceremonię dojrzałości? A patrząc na dach szkoły, przypomni sobie, jak z przyjaciółmi zwyciężyli w turnieju baseballowym?

Pani Suzuki, czemu pani płacze? Co pana martwi, panie Honda? Że twarzy nie widać? Przecież w japońskiej estetyce ważne jest to, co niewidoczne. W kamiennych ogrodach zen napięcie buduje pusta przestrzeń pomiędzy głazami. W malunkach tuszem gałęzie wiśni sięgają poza kartkę papieru. Może to, co istotne, kryje się właśnie tam?

Proszę szukać.

PONARZEKAJ SOBIE

Zaczyna pani Kobayashi. Odkłada na stół zielone koraliki, które właśnie pracownicy nawlekła na nitkę. Odsuwa niedopitą kawę i talerzyk z okruszkami po ciastku czekoladowym. Siada obok mnicha w granatowych spodniach i granatowej koszuli zapiętej na skos. Mówi bardzo cicho. Tylko mnich ją słyszy.

– Ja dziś nie mam nic pilnego. Tak po prostu chciałam chwilę ponarzekać. Bo na przykład wczoraj ciasto mi nie wyszło. Specjalnie szykowałam dla wnuczki, ale te piekarniki, co mamy, to już się do niczego nie nadają. Po 15 minutach cały dom był w dymie, wietrzyłam przez resztę dnia. Sąsiedzi z innych kontenerów poczuli zapach spalenizny, przychodzili zapytać, czy wszystko w porządku. Ciasto – czarny kamień. Brytfankę też musiałam wywalić. Więcej już nie próbowałam. W jakich my warunkach musimy mieszkać? Wszystko przesiąkło tym smrodem, spać nie mogłam całą noc. Przecież tak się nie da żyć. Te cienkie ściany, te kiepskie sprzęty, te osiedla jednakowych blaszanych domów! Ja się tam zawsze gubię! Już nawet nie wychodzę wieczorem, bo po ciemku nie umiem trafić do siebie, każda ulica wygląda tak samo. Przecież tak się nie da żyć!

Mnich Kaneta potakuje łysą głową z dużymi uszami. Uważnie patrzy zza rogowych oprawek.

– Tak się nie da żyć, Kaneta san – powtarza pani Kobayashi. Mnich coś do niej szepcze przez dłuższą chwilę. Pani Kobayashi wraca do stolika po bransoletkę z zielonych koralików. Mnich wsuwa jej bransoletkę na przegub, obejmuje mocno dłońmi, zamyka oczy. Modli się. – To na szczęście, pani Kobayashi – mówi donośnym głosem. Uśmiecha się szeroko.

Ledwie pani Kobayashi wraca do stolika, do mnicha podchodzi pan Hasegawa i zaczyna mówić gorączkowo.

– Ja wcześniej nigdy z panem nie rozmawiałem, Kaneta san, ale tak pomyślałem, że opowiem, co mi leży na sercu. Bo ja już po trosze nie mogę. Taką mamy sytuację, że matka mojej żony zamieszkała z nami. Wcześniej mieszkała tradycyjnie z najstarszym synem, ale po marcu... No to teraz mieszka z nami. Nie byliśmy na to gotowi. Ciężko to idzie znieść, no, jak to powiedzieć, to rodzina, ja wiem, ale jednak nagle zamieszkała z nami obca osoba. A matka żony też niespecjalnie zadowolona. Codziennie rano mówi: „Chcę do domu”. Ale przecież jej domu już nie ma. Teraz to jest dom. Tak tylko chciałem opowiedzieć, wyrzucić to z siebie, bo to się staje nie

do zniesienia.

Mnich Kaneta potakuje łysą głową. Słucha uważnie.

Obok pani Yamada szepcze do ucha wysokiemu mnichowi w czarnym stroju:

– Martwię się bardzo. Naprawdę już nie wiem, co zrobić. Nie śpię po nocach, cały czas o tym myślę. Mój najmłodszy syn... właśnie rzucił studia, zaczął pracować w knajpie, zarabia – to dobrze, ale ja chciałam dla niego czegoś lepszego. Mam wyrzuty sumienia. Nie poświęciłam mu wystarczająco dużo uwagi, prawie w ogóle z nim nie rozmawiałam od czasu, kiedy... kiedy... od kiedy mój najstarszy syn... jego brat... on to musiał bardzo przeżyć, a ja nawet nie zauważyłam, że już tyle czasu minęło – jak i kiedy? Na rozmowę jest już za późno. Strasznie się tym martwię, mąż nie chce o tym rozmawiać, a ja już naprawdę nie wiem, co zrobić.

Mnich trzyma panią Yamadę za rękę. Potakuje głową. Słucha uważnie.

Przy sąsiednim stole pani Fujioka siada obok mnicha z okrągłą twarzą, który ręce splótł na dużym brzuchu. Nachyla się do starszej kobiety i słucha uważnie gorączkowego szeptu.

– No ja po prostu nie rozumiem! Cały dzień mi narzeka, że boli go w krzyżu, chodzi zgięty, nic nie może zrobić, ale do lekarza nie pójdzie. I tylko jęczy, że go boli. Chciałam go tu przyprowadzić, żeby wyszedł do ludzi, porozmawiał, ciastko zjadł, ale on tylko o tym, że go boli i boli. Umówiłam mu wizytę w szpitalu, to odwołał. Ja nie wiem, jak mu przemówić do rozumu. A jeszcze teraz sąsiedzi wynieśli się do nowego mieszkania i już w ogóle nie ma z kim porozmawiać. Dzieci przestały przyjeżdżać, wnuków już dwa miesiące nie widziałam. Coraz puściej jest u nas, tylko z nim mogę pogadać, a on tylko jęczy. Beznadzieja jakaś.

Pucułowaty mnich potakuje. Słucha bardzo uważnie.

Pan Hasegawa skończył mówić, więc do Kanety podchodzi jeszcze pani Katō.

– Wiem, że to już tyle czasu minęło, ale ja naprawdę nie mogę przestać o tym myśleć. Muszę to opowiadać, myślę o nich cały czas. Patrzyłam z piętra domu, jak zabiera ich woda. Młodzi, zdrowi. A ja? Stara baba. Czemu ja przeżyłam? Tydzień temu rozmawiałam z młodym chłopakiem u nas na osiedlu. Stał w oknie, trzymał matkę za rękę. Ale nurt był zbyt silny. Do dzisiaj czuje ciepło jej dłoni. Ile ja jeszcze takich historii usłyszę? Żeby zasnąć, muszę się napić. Nie potrzebuję wiele. Jeden haust wódki. Nie wiem, gdzie jest mój dom. Rozebrali go. Teraz nie mam domu. Jak mam żyć bez domu? Jak mam przestać myśleć? Czy to się kiedyś skończy, Kaneta san?

Mnich Kaneta potakuje łysą głową.

Siedzimy przy szkolnych ławkach zsuniętych razem w większy stół. W wazonach stoją kwiaty. Z głośników leci jazz. Mnisi serwują kolejne ciastka, dolewają kawy.

Zachęcają do robienia koralików, łatwiej ze sobą rozmawiać, kiedy ręce są czymś zajęte. A kto chce, może podejść do mnicha i ponarzekać na osobności. Wystarczy poprosić.

Nad kawą i koralikami starsze panie też narzekają. – Mówię ci, lepiej nie wychodź za Japończyka – doradza kobieta w apaszce na szyi z włosami ułożonymi w fale. – Nie posprząta, nie pozmywa, nie ugotuje. Żadnego z nich pocieszenia. Mój mąż to przez całe życie ani jednego talerza nie umył!

– Oj tak, tak. A mnich Kaneta już zajęty – wzdycha pani w jedwabnej czarnej bluzce.

– On to w ogóle strasznie zajęty jest – do narzekania dołącza staruszka z włosami spiętymi w ciasny kok. – Mógłby częściej do nas przyjeżdżać, czasu dla nas zupełnie nie ma. Nudzimy się bez niego. Nawet ostatnio same musiałyśmy zorganizować niewielkie spotkanie. Ale to nie to samo. Wolę narzekać mnichowi.

Mnich Kaneta lubi improwizować. Miesiąc po tsunami do białego vana zapakował krzesła, stoły, termosy z kawą i ciastka z pobliskiej piekarni. Pojechał do jednego z centrów ewakuacji na wybrzeżu, godzinę drogi od miasteczka Kurihara, w którym ma swoją świątynię. Zaparkował przed salą gimnastyczną. Wypakował stoły, wyjął krzesła, rozłożył ciastka, do papierowych kubków nalał kawy. Z odtwarzacza puścił jazz. Na desce napisał „Café de Monk”, które Japończycy wymawiają jako „kafe de monku”.

Kafejka mnichów. Rzeczywiście było ich tu kilku. Z różnych sekt i szkół: zen, jōdo shinshū, tendai, nichiren, shingon – dla Kanety doktryna nie ma znaczenia. Nie o religię tu chodzi, ale o słuchanie.

Ale Monk to również Thelonious Monk, ulubiony jazzman Kanety: – Ma beztroski, lekko żartobliwy rytm, ale w jego muzyce czuć ogromny smutek.

A *monku* to po japońsku narzekanie.

Za pierwszym razem przyszło koło trzydziestu osób. Wzięli ciastka, wzięli kawę. Nawet nie usiedli na krzesłach. Niektórzy nabrali jedzenia na zapas i wrócili do siebie. Uznali mnichów za kolejnych wolontariuszy z darami.

Nie o to chodziło Kanecie.

Improwizował dalej.

Na następne spotkanie zabrał ze sobą *ihai*, tabliczki, w które podczas specjalnej ceremonii wprowadza się dusze przodków. To *ihai* ludzie szukali w szczątkach zniszczonych domów. Kaneta kładł niezapisane tabliczki obok ciastek. Nic nie mówił, nalewał kawy i czekał.

Sami podchodzili. Nieśmiało sięgali po tabliczki. Pytali, czy mogą wziąć. A kiedy mnich wypisywał na *ihai* imię zmarłego, zaczynali opowiadać.

Właśnie o to chodziło Kanecie.

Kafejkę urządzał przynajmniej dwa razy w tygodniu, w wielu różnych miejscach. Kiedy ludzie przenieśli się z centrów ewakuacji do osiedli tymczasowych – jeździł za nimi. Dobrze znał melodię, musiał ją tylko dopasować do tego, czego oni potrzebowali. Zaskoczyć ich. Zmusić do tego, żeby się odezwali.

Czasem po prostu podchodził do milczącej osoby i stawiał przed nią figurkę Jizō, opiekuna podróżników, pielgrzymów, nienarodzonych dzieci i zmarłych, którego kamienne posągi o twarzach rozmytych deszczem stoją przy świątyniach, na cmentarzach i przy drogach. Jizō, z łysą głową, wielkimi uszami i dobrotliwym uśmiechem, pojawia się zawsze tam, gdzie ktoś potrzebuje pomocy.

Kaneta patrzył. Nic nie mówił. Ludzie brali Jizō w dłonie i już nie puszczały. Pytali, czy mogą zabrać ze sobą. Bo przypomina im o kimś. Tak jak państwu Abe. Jizō kojarzył im się z wnukami. Kaneta usiadł obok staruszków i uważnie słuchał historii.

W ciągu pięciu lat urządził ponad dwieście Café de Monk. Nadal improwizuje.

W pokoju gościnnym w świątyni Tsudaiji w mieście Kurihara mnich Kaneta częstuje zieloną herbatą. Siedzimy na poduszkach przy niewysokim stole. Na ścianie wisi zwój z namalowaną cienką kreską rysunkiem roześmianej pucułowatej twarzy – Dōgen, założyciel szkoły sōtō, jednej z dwóch najważniejszych w japońskim buddyzmie zen. Mnich Kaneta zarządza świątynią, tak samo jak jego ojciec i jego dziadek, i pradziadek. I tak 400 lat wstecz.

Dzisiaj to on narzeka:

– Są jak dzieci. Raz do kafejki przyszło 120 osób. Co za rwetes! Czułem się jak w przedszkolu. Nie dało się ich uspokoić. Prosiłem, najpierw grzecznie, potem bardziej stanowczo. W końcu machnąłem ręką, dałem spokój. Razem z innymi mnichami po prostu nalewaliśmy dalej kawę. I słuchaliśmy tego, co mają nam do powiedzenia.

Przychodzą głównie kobiety, mężczyźni uważają, że to zbyt dziecinne. Dwa razy organizowaliśmy Osake de Monku – zawiesiliśmy czerwony lampion, na stołach postawiliśmy alkohol, zamiast ciastek grillowane mięso. Przyszli. Po drugim razie zrezygnowaliśmy. Ta improwizacja mi nie wyszła.

Nie mogę pomóc wszystkim. Na początku jeździłem też do Fukushima, to tylko sto kilometrów na południe od mojej świątyni. Ale nie znam tamtejszych zwyczajów ani tradycji, nawet akcent mają inny – nie wiem, co jest dla nich ważne i jak przyciągnąć ich uwagę. Taka sama sytuacja jest dalej na północ, w Iwate. Więc skupiam się na tym, co znam – jeżdżę tylko po Miyagi. Wiem, że kafejki narzekania prowadzone przez mnichów otwierają się w innych miastach – w Tokio, w Kioto. I dobrze. Nie są takie same, bo te miasta są inne i ludzie tam czegoś innego potrzebują.

Samo słuchanie wystarcza. Dzielą się z nami smutkiem i bólem – to przynosi ulgę. Bierzemy część tego ciężaru na siebie. Co z nim robimy? Jesteśmy mnichami. Słuchamy opowieści konkretnej osoby, ale słyszymy uniwersalną historię. Przez mnie to przechodzi jak przez rozpruty worek. Choć powiem ci, że nawet moja żona nie widzi, jak płacze.

Chcieliby, żebym przyjeżdżał co tydzień. Organizował im życie. Ale przecież to nie o to chodzi. Jeżdżę do nich po to, żeby stanęli na nogi. Ludzie tracą zdolność odbudowy tylko na chwilę. Pomagam im ją odzyskać. Przez pierwszy rok prawie nic nie mówili. Zużyliśmy wtedy dużo chusteczek. Drugi rok – podobnie. Słysząc tylko siorbanie kawy. A ja chciałem, żeby wyrażali złość, smutek, żal. Bez tego nie da się pójść do przodu.

Przez te dwa lata cały czas pytali: Czemu?

Czemu ja przeżyłem?

Czemu zginęła moja córka?

Czemu to się stało?

Czemu ocalałam?

Czemu straciłem całą rodzinę?

Jaki w tym jest sens?

A przecież w tym nie ma sensu. O to chodzi.

Oprócz picia kawy i prowadzenia rozmów zaczęliśmy robić gliniane figurki Jizō i buddyjskie bransoletki, które – jeśli chcą – mogą pobłogosławić na szczęście. Ale nie o religię tutaj chodzi. Spotykamy się na kawę, a nie na buddyjskie ceremonie. Czasem śpiewamy, czasem przyjeżdża masażysta, który rozmasowuje spięte karki, czasem urządzamy ognisko i pieczemy ziemniaki.

W trzecim roku pojawiła się akceptacja. Nie, nie zrozumienie. Akceptacja. Mogę nie rozumieć, czemu 11 marca umarło tylu ludzi, czemu straciłem wszystkie rzeczy – ale to się stało. To jest rzeczywistość, której nie da się zmienić.

A po czterech latach zaczęli się śmiać.

Przyjeżdżam coraz rzadziej. Raz na pół roku. Na początku starałem się odwiedzić każde miejsce raz w miesiącu. Ale już wtedy uważałem, że nie za dobrze jest pojawiać się zbyt często. Niech zatęsknią. Niech mają na co czekać. Czekanie to nadzieja, ekscytacja. A przecież to tego, a nie mnie, potrzebują.

Choć teraz pojawił się nowy problem – takie to już jest nasze życie, dopóki żyjemy, zawsze będą jakieś problemy. Ludzie przenoszą się do wybudowanych dla nich

apartamentowców. Przez cztery lata zdążyli zbudować społeczność w domach tymczasowych, często nie znali się wcześniej, połączyła ich tragedia i to, że w tych domach naprawdę nie da się wysiedzieć w środku. A teraz wyprowadzają się – każdy gdzie indziej. Będą mieć mocne cztery ściany i solidne drzwi, przez które nic nie słyhać. Ciężko je otworzyć. Jak masz 70 lat, to ile razy możesz zaczynać od nowa? Pojadę na te osiedla. Wyjmę stoły i krzesła, podam biszkopt z truskawkami, zaparzę im dobrej kawy, puszcze Monka i będę słyhać. W słyhaniu jestem świetny.

ZADZWOŃ DO MNIE

Na wzgórzu, w ogrodzie różanym, stoi biała budka telefoniczna. Z przeszklonych ścian roztacza się widok na morze. W środku klasyczny czarny telefon z tarczą numerową. Jego przewód kołysze się na wietrze.

Kaze no denwa – wietrzny telefon. Itaru Sasaki otworzył budkę w swoim ogrodzie, w mieście Ōtsuchi, miesiąc po tsunami. Każdy może przyjść porozmawiać z tymi, których mu brakuje.

Goście wchodzi do środka pojedynczo. Podnoszą do ucha słuchawkę. Opierają się o ścianę. Pochylają głowy. Może opowiadają o sobie. A może tylko zadają pytania. Na rozmowie niesionej wiatrem spędzają długie minuty.

Kto wierzy w to, że w niepodłączonym telefonie nic nie słyhać, ten nic nie usłyszy. A kto posłucha bardzo uważnie, może usłyszy odpowiedź.

Przez trzy lata budkę wiatrów odwiedziło ponad dziesięć tysięcy osób. W książce rozłożonej obok telefonu zostawiali notatki.

Ktoś napisał: „Wreszcie powiedziałem »do widzenia«”

ROZCZAROWANIE

Kim ty jesteś? Dziennikarką? Przyjechałaś słuchać o tym, że ludzie nie mogą spać po nocach, bo śnią im się napuchnięte ciała? Podoba ci się, co? Widzę po twojej minie. Czemu nie robisz notatek? Skąd mam wiedzieć, że nie przekręcisz moich słów? Jaka z ciebie profesjonalistka? Doprawdy żałosne.

Są cztery rzeczy, które chcę, żebyś zapamiętała. Powtórzę je wolno i wyraźnie. Pierwszy rok to była walka. Byleby przetrwać to, co się dzieje. Znowu czuć się bezpiecznie. Jedyne, co ludzi zajmowało w pierwszym roku, to przeżycie.

Drugi rok to czas budowania społeczności. Zerwane więzy odbudowywano z nowymi sąsiadami w domach tymczasowych. Wszyscy chcieli sobie nawzajem pomagać, bo każdy coś w katastrofie stracił. Ludzie lgnęli do siebie.

Trzeci rok to uświadomienie sobie tego, co się stało. Że to się naprawdę stało i się nie odstanie, że żadnego cudu nie będzie. I że coś z tym zniszczonym życiem trzeba zrobić.

Czwarty rok to czas, żeby wreszcie ruszyć do przodu. Ci, którzy mieli pieniądze, postawili nowe domy. Niektórzy wynieśli się do zbudowanych dla nich apartamentowców. Przyjaźnie, które budowali przez cztery lata, znowu zostały rozerwane. Ich życia wróciły na swoje tory. Wspólnota już nie była najważniejsza. Są tacy, którzy czują się zostawieni. Nie mieli tyle pieniędzy, nie mieli tyle siły, nie mieli tyle szczęścia.

Zapamiętaj to sobie dokładnie.

Pierwszy rok – przeżycie.

Drugi rok – więzi.

Trzeci rok – świadomość.

Czwarty rok – rozczarowanie.

Co jeszcze chcesz ode mnie usłyszeć? Że dzieci ciągle mówią o zmarłych rodzicach w czasie teraźniejszym? „Mama robi zakupy, tata idzie do sklepu.” Dziewczynka nie potrafi zrozumieć, że mama nie żyje, a ciała taty nie znaleziono. Trzynastolatek, kiedy usłyszał o lawinie błotnej w Hiroszynie, która w 2014 roku zabiła kilkadziesiąt osób, i o tym, że trwają poszukiwania ciała, chciał kupować bilet na pociąg. „Może znajdą moją mamę, skoro tam też szukają zwłok?” Takie historie chcesz usłyszeć? Proszę cię bardzo, pełno tu tego. Depresja, szok, problemy psychosomatyczne, złudzenia, rozczarowania, długi. O! To sobie też zapamiętaj: pieniądze są dla nich ważne. Ludzie

nie mają domów, tylko kredyty. To cię ciekawi, prawda? Nędza ludzka. Po to tu przyjechałaś! Wywęszyć tragedię, a ja się z tragedią stykam na co dzień! Dziesięć godzin dziennie siedzę w gabinecie i słucham, słucham, słucham.

O tym domu, co go dopiero skończyli budować, właśnie odebrali klucze, a już następnego dnia dom zabrało tsunami. Tylko kredyt został. Ojciec rodziny zwariował. Tylko o tym domu mówi, jakie piękne wykończenia, chwali się, ile słońca, jaki metraż, ile wydał na maty *tatami*, co miało stać w kuchni, a co rosnąć w ogrodzie. Żyje tym, kim był. To jedyne, co ma.

Albo o tej knajpie słucham. Facet wkłada w nią każdy grosz, choć sam ledwo wiąże koniec z końcem. Żyje w alternatywnej rzeczywistości. Zaraz będzie lepiej, ciągle powtarza. Zaraz przyjadą turyści. Zaraz zarobię tyle, żeby odbudować dom. Zaraz to miasto odzyska świetność, której nigdy nie miało.

Co, jeszcze ci mało? Oprócz mnie jest tu jeszcze jedna kobieta terapeutka, zatrudniona w organizacji non profit. Jej idź zawracać głowę. Mnie zatrudnia miasto. Urzędnicy też nie rozumieją, co to znaczy terapia, na początku dali mi siedemnastu pacjentów dziennie. Tłumaczyłam im – nie mogę mieć więcej niż pięciu, to wbrew standardom. No to dali mi dziesięciu. Pięć razy spadłam ze schodów. Trzy razy byłam na ostrym dyżurze. Dwa razy mnie hospitalizowano.

Choć nie jestem stąd, to ich rozumiem. Nie mogą spać. Widzą duchy. Nic im się nie chce, a łzy same płyną po policzkach. Wstydzą się tego. Czasem wystarczy powiedzieć, że to normalne. Trauma wywołuje takie zachowania. Jest na to nazwa. Zespół stresu pourazowego. To nie z nimi jest coś nie tak.

O psychologii tu nic nie wiedzą, a o terapii jeszcze mniej. Jak starsza kobieta zgubi się na osiedlu, mąż ją bije, bo mu wstyd przynosi. Nie pomyśli, że to starość, że rozkojarzenie. Tu nie znają słowa „demencja”. I nie rozumieją, co to dystans psychiczny. Podchodzą na ulicy porozmawiać o swoich problemach, pukają w drzwi kontenera, w którym mieszkam, żeby się wyżalić. Na sesję przychodzą z koszami warzyw z ogrodu. W Stanach by się przekręcili, gdyby zobaczyli, jak musiałam zmienić standardy terapeutyczne. A wszystko po to, żeby nie urazić dumy miejscowych. Bo dumni to oni są.

Co się tak patrzysz? Wątpisz w moje umiejętności? Mówiłam ci, że szkołę kończyłam w Stanach! Jestem arteterapeutką! Trzyście lat żyłam w Seattle. Nie rozumiem, czemu przyprowadziłaś tłumacza na nasze spotkanie, nie będziemy go potrzebować. Wróciłam do Japonii, bo ktoś musiał się zająć moją matką. Ma osiemdziesiąt osiem lat. Tokio było nudne. Od wykładów wolę pracę kliniczną. Przeniosłam się tu, by pomagać tym, którym tsunami zabrało życie.

Ale kto by tu chodził do terapeutki? Zaraz ludzie zaczną szeptać, że ma coś nie tak

z głową. To już lepiej pić. Zresztą tak jak cała Japonia. To nic nowego, że ludzie się tu upijają wieczorami. Ci, którzy pomagali szukać ciał, zapijają zmysły. Nie chcą czuć zapachu zgnilizny. Strażacy, którzy uciekli ratować swoje życie, zapijają poczucie winy. Bo pięćdziesięciu dwóch zostało zamknąć śluzę, choć widzieli zbliżające się tsunami. Takie historie chcesz usłyszeć?

Bez alkoholu nie da rady. Wcześniej też dużo się tu piło. To męska społeczność. Na północy Japonii surowy ojciec to rzecz normalna. Nawet mieli zawody w to, kto dalej rzuci stołem w złości. Mierzyli centymetry. Rozumiesz to czy muszę ci to tłumaczyć? Mieli zawody w tym, kto jest lepszy w przemocy domowej!

Teraz zaczną się samobójstwa. To cię interesuje? Po czwartym roku ludzie czują się zostawieni. Rozczarowani swoim życiem. Część już nie potrafi dłużej żyć nadzieją, że kiedyś to miasto się odbuduje i wtedy wreszcie będzie lepiej. Przecież to miasto się starzeje, jak cała Japonia. Jeszcze przed tsunami młodzi uciekali stąd, gdzie pieprz rośnie. Teraz tym bardziej nie mają powodów, żeby wracać. Są tacy, co mówią, że katastrofa to szansa dla miasta. Że możemy się zbudować od nowa, przyciągnąć ludzi z zewnątrz, tchnąć życie w tę skorupę. Ale moi pacjenci w to nie wierzą. Ci, którzy się nie zabili, zapijają straconą nadzieję. Bo ostatnio coś się zmieniło w mieście. Wybudowano pierwsze apartamentowce, pierwsze rodziny przeniosły się z domów tymczasowych do własnych mieszkań. Wreszcie normalne życie, na które tak się czekało. Teraz wreszcie jest teraz. Tylko czemu to życie – zawieszona na cztery lata na kołku – jest jakieś takie nie za bardzo? To już? To wszystko? To tak teraz będzie?

Tak bardzo na nie czekali, a ono wcale nie jest fajne.

Więc teraz czekają na śmierć.

Dość!

Wszystko, co miałam do powiedzenia, powiedziałam.

Pierwszy rok – przeżycie.

Drugi rok – więzi.

Trzeci rok – świadomość.

Czwarty rok – rozczarowanie.

Nie chcę już z tobą gadać.

O CZYM ŚNI SIĘ W TŌHOKU

Późną nocą, kiedy miasto spowiła ciemność, Nao wracał do domu. Krok miał sprężysty, szedł z rękami w kieszeniach kurtki i gwizdał cicho pod nosem. Księżyc rozpraszał cienie kryjące się pod białymi arkadami głównej ulicy. Zegar wybił drugą. Niebo zasnuły szare chmury. Nao przyspieszył kroku. Przestał gwizdać, wcisnął rękę głębiej w kieszenie. Zrobiło się cicho, nawet cykady skończyły grać. Kiedy zbliżał się do rzeki, usłyszał cichy płacz. Rozejrzył się.

Zobaczył ją przy barierce na środku mostu. Siedziała skulona, z głową w ramionach. Kiedy chmury na chwilę odsłoniły księżyc, wyraźniej ujrzał kolory kimona (pomarańczowe w zielone kwiaty i różowe ptaki), łuk jej białej szyi i połyskujące jak atrament włosy spięte błyszczącą szpilą. Dziewczyna z dobrego domu, pomyślał. Co robi tu sama o tej porze? Jej ramiona drgały, szloch stawał się coraz głośniejszy.

– Hej... – zawołał cicho.

Nie zareagowała.

– Hej... Hej! Co się stało?

Podszedł bliżej. Zasłoniła twarz długim rękawem i gorzko zapłakała.

– Hej – zawołał łagodnie. – Nie płacz. Co się dzieje? Powiedz, chcę ci pomóc!

Dziewczyna podniosła się i oparła rękę o balustradę. W świetle księżyca zamigotały kwiaty i ptaki na kimonie. Błada szyja wyraźnie odcinała się od czarnych włosów i pomarańczowego kołnierza. Głowę miała pochyloną, jej ramiona ciągle drgały w niemym szlochu.

Nao przestraszył się, że przyszła tu utopić się w rzece, że zaraz przeskoczy przez barierkę. Niektórzy tak robią po tym, co się stało. – Słuchaj! – zawołał głośno. – Taka ciemna noc, każdemu może się zrobić przykro. Proszę, nie płacz już, pozwól odprowadzić się do domu.

Dziewczyna odwróciła się powoli. Głowę miała pochyloną, twarz ukryła w dłoniach, ale już nie szlochała tak gwałtownie. Nao położył jej dłoń na ramieniu, byleby nie przestawać mówić, żeby tylko nie zmieniała zdania.

– Posłuchaj, ja wiem...

Podniosła głowę, spojrział prosto w jej twarz.

Twarz bez oczu, bez nosa, bez ust. Tylko biała skóra ciasno naciągnięta na czaszkę. Dziewczyna złapała go za przegub dłoni, odrzuciła głowę do tyłu i zachichotała.

Wrzasnął, próbował się wyrwać, ale trzymała mocno, zbliżając bezoką i bezustą

głowę do jego twarzy. Szarpnął się jeszcze raz, krzyżąc. Oswobodził dłoń. Uciekał, a jego kroki bębniły głuchym echem wśród białych arkad zakupowej ulicy. W dali zamigotało światło. To stary sprzedawca *ramen*, tłustej zupy z makaronem. Cierpiał na bezsenność, dlatego czasem lokal zamykał w środku nocy. Nao podbiegł do mężczyzny, który właśnie opuszczał kratę. Obejrzał się za siebie. Nikt go nie gonił. Nie słyszał już chichotu. Dłonie oparł na kolanach i oddychał ciężko. Potarł nadgarstek, na którym palce dziewczyny zostawiły czerwony ślad.

– Co się stało? – zapytał sprzedawca szorstkim głosem.

Nao patrzył w ziemię. Próbował złapać oddech.

– Ktoś cię napadł? – sprzedawca zapiął kłódkę na kracie.

– Nie, nie... – wysapał Nao.

– To co cię tak przestraszyło?

– Nie uwierzyłby pan. To było... to było...

– Ja już wszystko w życiu widziałem...

– Ale nie to... nie to! Ta dziewczyna... ona...

Sprzedawca zaśmiał się. Odwrócił się od drzwi w stronę Nao. Podniósł twarz i krzyknął:

– A może to było coś takiego? Co?

Nao spojrzał prosto w twarz sprzedawcy *ramen*, która nie miała ani oczu, ani nosa, ani ust. Sama biała skóra ciasno naciągnięta na czaszkę.

Nao patrzył przerażony na sklepikarza. Nie mógł ruszyć się z miejsca. Nogi wrosły mu w ziemię. Mężczyzna podchodził coraz bliżej, brzęcząc kluczami. Nao czuł zapach czosnku i tłuszczu. W tym momencie zza chmur wyszedł księżyc, wyraźniej oświetlając bladą bezustą i bezoką głowę. Nao krzyknął. Odepchnął sklepikarza od siebie i zaczął biec.

Biegł, ile sił w nogach, byle dalej od tego mostu i tej ulicy z białymi arkadami. Skręcił w prawo, potem w lewo obok koszy na śmieci, przesmykiem między domami, prosto na parking, który przeciął na skos. Za zakrętem wpadł w krąg światła przed sklepem 7-Eleven, jednej z sieci popularnych w Japonii *convenience store*, w których można kupić wszystko, od kanapek po skarpetki.

Nao wbiegł do środka. Troje ludzi z obsługi spojrzało na niego ze zdziwieniem.

– Co się stało, że pan tak biegnie? – spytał młody chłopak stojący za kasą. A kobieta, która czyściła automat z kawą, dodała: – Ucieka pan, jakby zobaczył ducha.

Facet z mopem w dłoniach zaśmiał się złośliwie.

– Czy wyglądał tak? – zapytał, przesuwając ręką przed twarzą. Nao widział, jak znikają jego oczy, usta i nos. Została sama gładka skóra. Spojrzał w stronę kas. Kobieta, która czyściła automat, odwróciła się w jego stronę – czarne włosy opadały na twarz

bez oczu, ust i nosa. Młody kasjer chichotał. Jego bezusta, beznosa i bezoka twarz drżała z uciechy.

Nao sam nie wiedział, kiedy i jak dopadł do drzwi domu. Wbiegł do środka, nie zdejmując butów. W sypialni, na rozłożonym na noc futonie, spała jego żona.

– Haruka! Haruka! – potrząsnął ją za ramię. – Haruka! Haruka! Obudź się!

Spojrzała na niego zaspanymi oczami. Uniosła się na łokciu.

– Kochany, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Ducha? Ducha?!? Oni... oni wszyscy... oni nie mieli twarzy! I ta kobieta w kimonie... myślałem, że chce się utopić... a ona... i sprzedawca *ramen*... i ten młody chłopak za kasą... bez nosów, bez oczu... nic... puste twarze... bez ust... tylko chichot było słychać... Haruka!

– O czym ty mówisz, Nao? Przerażasz mnie! – Kobieta odsunęła się od roztrzęsionego męża. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że oni wszyscy wyglądali tak? – kiedy przesunęła ręką przed twarzą, znikły jej czarne oczy, jej zgrabny nos i wąskie usta. Nao patrzył na bladą skórę ciasno naciągniętą na czaszkę.

Całe mieszkanie wypełnił chichot.

Wychodzą nocą, kiedy miasta spowija ciemność. Przemykają podcieniami arkad, zaczajają się pod mostami albo w bambusowych zagajnikach. *Nopperabō* nie mają twarzy, chichoczą diabelskim chichotem, cieszą się przerażeniem swoich ofiar. Podobne do nich są *ohagurobettari*, które pięknie ubrane stoją niedaleko świątyń. Sprawiają wrażenie kruchych i zagubionych. Kiedy podejdziesz się do nich bliżej, uniosą twarz. Nie ma w niej oczu, tylko wykrzywione grymasem usta – pełne czarnych, ostrych zębów. Albo taka *rokurokubi*, której nocą wydłuża się szyja – głowa unosi się nad jej śpiącym ciałem. Potrafi naprawdę dobrze się rozciągnąć, a jako że ma wścibską naturę, podgląda ludzi nawet kilka kilometrów od jej domu. Lubi drwić sobie z pijaków – pokazuje im się w całej okazałości. Wie, że i tak nikt nie uwierzy w ich bełkotliwe historie. Albo bezczelnie gapi się na śpiących mężczyzn. Czeką, aż zaniepokojeni obudzą się. Wtedy zmieni swoją twarz, pokazując im osobę, którą skrzywdzili.

Ale te trzy nie są specjalnie groźne. Lubią nastraszyć, nie zależy im na śmierci.

Co innego *yorōgumo*, która objawia się swoim ofiarom jako elegancka dama. Wysoka, gibka, miękko stawia stopy. Włosy ma spięte w kok tak, że widać delikatny meszek na bladej szyi. Mężczyźni odwracają za nią wzrok na ulicy. Podchodzą, chcą pokazać drogę. Szepcze coś do nich cicho, muszą się nachylić, żeby lepiej ją usłyszeć. Chwyta ich wtedy ośmioma rękami, oplata pajęczą siecią i zamienia w kokon, którym będzie karmiła się przez kilka dni. *Jorōgumo* – kobieta-pająk. Czy raczej pajęcza dziwka, jak mówią na nią Japończycy.

Jest jeszcze *teke teke*, nazwana tak od dźwięku, który wydaje, stukając ramionami o bruk. To sam tułów bez nóg, który wlecze się ulicami, wspierając się na łokciach. Błyszczące oczy, potargane włosy i sierp w ręce. Jeśli jej ofiara nie jest wystarczająco szybka, *teke teke* przetnie ją w pasie na pół. Zależy jej tylko na jednym – żeby inni wyglądali tak samo jak ona.

Nopperabō, ohaguro bettari, rokurokubi, jorōgumo i *teke teke* straszą w Japonii od kilkuset lat. Niektórzy wierzą, że to dusza umęczonego człowieka, która podczas snu oddziela się od ciała i przybiera groteskowe formy – próbuje ulżyć własnym mękom, strasząc innych. To jego myśli i jego emocje. Piekący żal, bezgraniczny smutek, czarna rozpacz, zbolełe serce, stracona nadzieja krążące po odbudowywanych miastach Tōhoku.

Ale bodaj najstraszniejsza z nich jest *nukekubi*. Przemyka pod arkadami. Nie chce, żeby ktoś ją zauważył, jeszcze nie teraz. Krąży ulicami i zagląda w ciemne okna. Wyciąga szyję, żeby lepiej widzieć dzieci śpiące w kołyskach i wtulonych w siebie matkę i ojca na łóżku obok. Pogrążeni w głębokim śnie śnią kolorowe sny o przyszłości. Patrzy na ich spokojne twarze, na piersi unoszone miarowym oddechem. Jej zimne oczy rozszerzają się, twarz wykrzywia grymas. Przyciska nos do szyby.

Okno jest uchylone.

Nukekubi uśmiecha się i oblizuje spiczaste zęby. Jej długie, czarne włosy falują przy każdym ruchu. Przy oknie unosi się sama głowa. Reszta ciała została w domu, śpi przykryta ciepłą kołdrą, jakby nie wiedziała, co nocą czyni głowa.

A głowa właśnie przeciska się przez uchylone okno i unosi nad kołyską. Dziecko nie zdążyło nawet jęknąć. Słychać tylko chłeptanie, na tyle ciche, żeby nie obudzić rodziców. *Nukekubi* oblizuje ociekające krwią wargi. Przenosi się nad łóżko, w którym śpi przytulone do siebie małżeństwo. Błyszczącymi oczami patrzy na szyję mężczyzny. Oliwkowy kolor, gładka skóra. Błyskawicznie zatapia w niej ostre zęby. Krew tryska po ścianach, brudzi pościel, kapie na twarz śpiącej kobiety. *Nukekubi* odwraca się w jej stronę i z radością patrzy prosto w jej przerażone oczy.

Yoko budzi się z krzykiem. Otwiera szeroko oczy, wtula twarz w poduszkę i jak w dzieciństwie wzywa Baku san – potwora z nosem słonia, ciałem niedźwiedzia, łapami tygrysa, ogonem wołu i wąskimi oczami nosorożca. „Baku san, błagam, przyjdź i zjedz moje sny”, „Baku san, błagam, przyjdź i zjedz moje sny”, „Baku san, błagam, przyjdź i zjedz moje sny” – szepcze trzy razy dziecinne zaklęcie. I wszystko jej już jedno, czy razem z koszmarami przerażający Baku san nie wysie również jej nadziei na przyszłość. Przecież nie ma już żadnej nadziei.

Patrzy na śpiącego po drugiej stronie łóżka męża – byleby dalej od siebie. Podnosi się, idzie do kuchni, parzy kawę. Ruchy ma mechaniczne, wyuczone. Wzrok nieobecny. Jej głos jest bezbarwny, kiedy zaczyna mówić:

– Dzień zaczynam od umierania. Czuję się, jakbym nie miała skóry, żadnej warstwy ochronnej. Mąż wychodzi rano. Wraca wieczorem. Wolę, jak go nie ma. Nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Wszystko mi się myli. Ostatnio znowu wyszłam na śnieg w krótkim rękawku i półbutach, spostrzegłam się dopiero na stacji benzynowej. Już grudzień? Byłam przekonana, że to maj. I tak wszystkie dni wyglądają tak samo.

Czasem tylko wydaje mi się, że widzę go na ulicy. Szerokie plecy, krótko ostrzyżone włosy. Biegnę za nim, chcę złapać za rękę. Wtedy widzę jego profil. Nie ten nos, nie te oczy, nie te usta.

To nie mój syn. Mojego syna zabiło tsunami.

Najciężej było mi w trzecim roku. Choć sama przekładałam jego kości do urny, to nadal za każdym razem, kiedy przekręcałam klucz w zamku, liczyłam na to, że usłyszę jego głos. Nakrywałam do stołu dla sześciu osób, zakupy robiłam dla sześciu i dla sześciu gotowałam. Ścieliłam jego łóżko, w sklepie widziałam koszulę w kratę akurat w jego ulubionych kolorach. Kupowałam dwie sztuki, na zapas.

Pozostali synowie już nie mieszkają z nami. Najmłodszy dwa lata temu skończył liceum – zaczynał w 2011 roku. Nawet nie wiem, kiedy te trzy lata minęły, ocknęłam się, kiedy wyjeżdżał na studia, daleko od domu. Już? A ja nawet nie zapytałam go, czy nie pomóc mu w pracy domowej. Wybrał dietetykę, ale rzucił ją po pół roku. Pracuje w knajpie z sushi, skończył 20 lat, co roku 11 stycznia dla dwudziestolatków organizowana jest ceremonia dojrzałości. Nie chciał pójść.

Nie mam siły się o niego martwić.

Nie mogę doczekać się wieczoru. Chcę jak najszybciej zasnąć. Może pojawi się we śnie? Może usłyszę jego śmiech? Niczego bardziej nie pragnę niż jeszcze raz, ostatni raz, usłyszeć, jak mój syn mówi do mnie „mamo”

KIM ZOSTANIESZ PO ŚMIERCI

Jeśli umarłaś jako matka podczas porodu, staniesz się *ubume*. Będziesz wracać na ziemię, zajmować się swoimi dziećmi. Choć czasem pojawisz się na rozstaju dróg, stara i zniedołężniała – z dzieckiem w ramionach. Dziecko będzie ci ciążyć, ledwo je utrzymasz. Dlatego piskliwym głosem będziesz prosić przechodniów: „Proszę, proszę, potrzyjcie moje dziecko”. Kiedy wezmą od ciebie tobołek – znikniesz. A oni zostaną z kamieniem w ramionach.

Jeśli umarłeś na morzu, zamienisz się w *funayūrei*. W deszczowe dni albo w noc, gdy księżyc jest w pełni, wyłonisz się z morskich odmętów i wielką chochlą nalewać będziesz wodę do przepływających obok łodzi – żeby je zatopić. Podczas sztormu, gdy zimny deszcz zalewa okrętowe pokłady, rozpalisz na środku morza ogień, żeby zmylić drogi rybaków. Wyczekiwać będziesz dni, kiedy ocean spowija mgła – wtedy nie widać cię z daleka, możesz podpłynąć bardzo blisko do samotnej łodzi i potrząsnąć nią tak, by któryś z marynarzy wypadł za burtę. Niczego bardziej nie pragniesz, niż żeby żyjący dołączyli do ciebie w morskiej toni.

Jeśli umarłeś jako małe dziecko, masz szansę zamienić się w *zashiki warashi*. Zamieszkasz gdzieś na północy Japonii w wielkim tradycyjnym domu z przesuwanymi ścianami z papieru, z paleniskiem, nad którym zawieszono żeliwny czajnik, z drewnianym podestem biegnącym wzdłuż ogrodu wysypanego białym żwirem. Będziesz mieć dużo miejsca do zabawy. Na futonach rozłożonych do snu zostawisz wgniecenie w kształcie twojego drobnego ciała. Podłogę ubrudzisz śladami popiołu. W opuszczonych pokojach będziesz nucić tradycyjne piosenki. Jeśli usłyszysz to któryś z mieszkańców – ucieszy go ta cicha melodia. Na północy Japonii wiedzą, że twoja obecność przynosi szczęście (choć na południu raczej się ciebie boją). Czasem pobawi się z tobą dziecko gospodarzy. Posłuchasz potem, jak opowiada rodzicom o dziecku z czerwoną twarzą i włosami do pół ucha.

Jeśli zginąłeś z powodu spisku, a masz arystokratyczne korzenie, zostaniesz *goryō*, szlachetnym duchem. Wielka będzie twoja siła po śmierci. Słuszny gniew i wyrządzone niesprawiedliwości dadzą ci władzę nad żywiołami. Na swoich wrogów będziesz mógł sprowadzać tajfuny i trzęsienia ziemi. W całej Japonii zniszczysz zbiory i zawalisz domy. Tak jak Sugawara no Michizane, którego – wskutek spisku konkurującego o względy na dworze cesarskim klanu Fujiwara – cesarz zdegradował do podrzędnego urzędnika i zesłał na wygnanie z Kioto do jakiejś dziury na odległym

Kiusiu. Sugawara zmarł samotną śmiercią, po której pioruny wielokrotnie uderzały w główny budynek pałacu cesarskiego. Kraj nawiedziła długotrwała susza, po niej epidemia, która zabrała syna cesarza i głowę rodu Fujiwara. A na koniec Kioto zalały wielotygodniowe deszcze. Rzeka Kamo wylała i zniszczyła miasto. Cesarz spalił akt wygnania Sugawary i przywrócił mu wszystkie tytuły. Ukoilo to mściwego ducha, ale na wszelki wypadek 70 lat po jego śmierci kolejny cesarz uczynił Sugawarę bóstwem. Jeszcze kilka lat później nadano mu tytuł wielkiego ministra. Dziś Sugawara to nie tylko bóstwo nauki, literatury i kaligrafii, lecz także opiekun tych, których niesprawiedliwie potraktowano.

Jeśli jesteś matką, która straciła dziecko z powodu wojny lub głodu, po śmierci powrócisz jako *muonna*. Choć pragniesz chronić dzieci od złego, jeszcze silniejsze jest pragnienie, żeby otoczyć je matczyną miłością. Uśpisz je magicznym zaklęciem i wchłoniesz w siebie ich dusze. Jednak czasem, pełna opiekuńczych uczuć, uratujesz życie dziecka, pozwalając, by to ciebie zniszczono w zamian.

Jeśli natomiast za życia nie kroczyłeś drogą Buddy i pozwalałeś, by twoim życiem rządziły popędy, zazdrość i chciwość, po śmierci staniesz się *gaki*. Twój brzuch będzie wypukły niczym piłka, a twoje usta i gardło tak wąskie, że nie przejdzie przez nie żadne jedzenie. Dręczony będziesz wiecznym głodem. Kiedy tylko sięgniesz po talerz z ryżem, spłonie on na twoich oczach. Żaden pokarm już nigdy nie przejdzie przez twoje usta.

Nie będzie ci lepiej, jeśli za życia skupiałeś się tylko na sobie i myślałeś, jak czerpać korzyści kosztem innych. Po śmierci zostaniesz skazany na jedzenie ludzkich trupów jako *jikininki*. Sam sobą brzydzić się będziesz, odrywając zębami od kości trupie mięso. Trwać to będzie przez całą wieczność, chyba że znajdzie się ktoś na tyle odważny, by odprawić w twojej intencji *segaki* – rytuał dla głodnych i opuszczonych duchów.

A jeśli umarłeś z nienawiścią w sercu, zamienisz się w *onryō*. Twoja ostatnia ziemską myśl, pełna złości i smutku, nie pozwoli ci opuścić ziemi. Będziesz krążyć, szukając zemsty. Tak jak Oiwa, odrzucona żona ronina, samuraja bez pana, który zapragnął ożenić się z młodszą kobietą. Otruł Oiwę, ale trucizna nie zadziałała do końca, zdeformowała tylko twarz małżonki: lewe oko wypadło jej z oczodołu, czoło pokryły guzy, straciła wszystkie włosy. Oiwa zabiła się mieczem, a jej zniekształcona twarz prześladowała ronina. Pojawiła się nawet w dniu jego ślubu – na twarzy panny młodej. Przerażony wyciągnął miecz i odciął jej głowę. Oiwa ścigała niewiernego męża tak długo, aż sam zapragnął śmierci.

W Japonii obok żywych żyją zmarli. To nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza pomiędzy

drugą a trzecią w nocy, kiedy szczelina oddzielająca światy staje się cieńsza. Zwłaszcza w miejscach, w których ktoś zginął gwałtowną śmiercią. Zwłaszcza gdy nie znaleziono ciała i nie pochowano go zgodnie z wymaganymi rytuałami. Zwłaszcza gdy zmarłego ciągle trzymają przy żywych niezałatwione sprawy. Miłość. Albo nienawiść.

Yūrei. Ulotne dusze.

Przybierają różne formy – jeśli wróciły z miłości, bez złych zamiarów, pojawią się w kształcie sprzed śmierci. Ale ci, którzy wracają po zemstę, stają się upiorami z bladymi wydłużonymi twarzami i potarganymi włosami. Owinięte w białe całuny suną nad ziemią z rękoma opadającymi bezwładnie wzdłuż ciała.

Dobre świecą jak świetliki. Te złe – brzęczą jak muchy.

DUCHY

Było już ciemno, reflektory autobusu w ostatniej chwili oświetliły dzieci, które stały na poboczu. Dzieci o tej porze? Droga mało uczęszczana, pomiędzy dwoma miasteczkami na wybrzeżu, żadnej szkoły w okolicy. Może wracają z jakiegoś przyjęcia i zgubiły się po drodze? Kierowca otworzył drzwi, uśmiechnął się. Pasażerowie autokaru zwolnili miejsca z przodu. Chłopcy wchodzili do środka jeden po drugim, ubrani w odświętne mundurki jak na zakończenie roku. Do nikogo się nie odezwali. Wzrok mieli wbity w ziemię. Ścisnęli się obok siebie w fotelach. Kierowca zamknął drzwi i ruszył ciemną drogą. Spojrzał w lusterko i gwałtownie zahamował.

Przednie siedzenia były puste.

Duchy w Tōhoku zaczęły pojawiać się mniej więcej pięć miesięcy po tsunami. Kobiety zatrzymywały taksówki, podawały adres, a kiedy samochód ruszał, rozpyływały się w powietrzu. Taksówkarze jechali we wskazane miejsce tylko po to, żeby zobaczyć oczyszczone fundamenty domu zabranego przez tsunami. Strażacy odbierali wezwania do pożarów pod adresami, które już nie istniały. Robotnik podczas prac na wybrzeżu poczuł klepnięcie w ramię. Kiedy się obrócił, nikogo nie było. Dopiero w domu żona zauważyła czarny odcisk dłoni na koszuli. Przed szczątkami warzywniaka mieszkańcy widzieli kolejki stojące do nieistniejącej kasy. Kierowcy opowiadali o cieniach ludzi uciekających w stronę wzgórz, jakby nie mogły przestać odtwarzać ostatnich minut swojego życia. Matki twierdziły, że ich zatopione dzieci wracają do domu bawić się ukochanymi zabawkami, przesuwają klocki, włączają pozytywki. A jedna kobieta przestała wychodzić z domu, bo w każdej kałuży widziała oczy topielców.

Niektórzy wzywają egzorcystów. A inni specjalnie szukają duchów. Jeżdżą o zmroku nad morze, wyczekują na plaży albo tam, gdzie kiedyś stał ich dom. Chcą jeszcze raz zobaczyć ukochanych, których zabrała fala. Nie potrafią zapomnieć.

Cały czas czują ból. Ból zimnej połowy łóżka. Ból jednej pary sztućców na stole. Ból pojedynczego biletu do kina. Ból ciszy w odpowiedzi na zadane pytanie. Ból odnalezionego w szufladzie listy zakupów zapisanej jej pismem. Ból, który nie pozwala odejść. Oszaleć można z bólu. Lepiej spróbować ze zmarłym porozmawiać.

To da się zrobić. Trzeba tylko pojechać na samą północ Tōhoku, do prowincji Aomori, i odnaleźć *itako*.

Itako – szamanka, wieszczka, medium. Trzy lata treningu, budzenia się o drugiej w nocy, oblewania ciała zimną wodą, zapamiętywania mantr – na ból zęba, na ból brzucha i na ból duszy. Kiedyś szansa dla ślepych dziewczynek. Tym, którzy nie widzą świata zewnętrznego, podobno łatwiej patrzeć na świat wewnętrzny.

Nie obnoszą się ze swoimi umiejętnościami. Wobec obcych zaprzeczają. Mają mężów (albo obecnych, albo byłych) i dzieci. Zwykłą pracę. Tylko miejscowi wiedzą, że piekarczowa może pomóc porozmawiać ze zmarłym ojcem. Najprościej spotkać się z nimi na górze Osorezan – przeklętej górze na końcu japońskiej wyspy Honsiu, z której unoszą się siarkowe opary. Stoi na niej świątynia buddyjska, wierni mówią, że to ostatnie miejsce przed bramą piekieł. To tu płynie rzeka Sanzu. Dalej są już tylko zmarłe dusze. Dwa razy w roku, kiedy zmarli są bardziej aktywni, na drodze do świątyni *itako* rozbijają namioty. Na prośbę żałobników pozwalają zmarłym wejść w swoje ciało i odpowiadać na zadawane pytania. Kiedyś przyjeżdżało tu kilkanaście *itako*. Dziś – tylko dwie. Reszta umarła albo jest zbyt chora, żeby przez cały dzień siedzieć w białych szatach i przyzywać zmarłych. Zresztą tych prawdziwych *itako*, które przeszły trening i naprawdę rozmawiają z przodkami, zostało dziesięć, góra dwanaście.

Pani Matsuda, *itako* od dwudziestu pięciu lat – jedna z dwóch, które pojawiają się na festiwalu pod Osorezan – spotyka się z żałobnikami częściej niż dwa razy do roku. Trzy razy w miesiącu jeździ do hotelu, do którego właściciele agencji turystycznych przywożą ludzi szukających kontaktu ze zmarłymi. Jeden autokar, trzydzieści osób. Indywidualne spotkanie z *itako* trwa piętnaście minut.

Niepozorna, bez makijażu, w białym stroju, z włosami spiętymi gumką. Na plecach w bambusowym pojemniku ma ochronne zwoje. W rękach różaniec z czarnych koralu i zwierzęcych czaszek.

Matsuda jest jak kukiełka, udostępnia swoje ciało i usta zmarłemu, nawet takiemu, który nie żyje od kilkuset lat. Jeśli tylko osoba, która przyszła zadać pytania, jest połączona więzami krwi albo małżeństwa ze zmarłym, można wezwać każdego. Nawet któregoś z szogunów. Albo Napoleona.

Itako musi oczyścić swój umysł z jakiegokolwiek myśli – zrobić miejsce. Jeśli duch zmarł niedawno, podczas sesji *itako* robi się bardzo śpiąca. Trudniej jej rozmawiać ze zmarłym, jakby coś go tu jeszcze trzymało, jakby nie do końca umarł. Ale jeśli w zaświatach spędził już trochę czasu, idzie o wiele łatwiej.

– Data śmierci? – pyta Matsuda. – Relacja ze zmarłym?

Grzechot różańca, gardłowa pieśń. *Itako* zamyka oczy, zaczyna się kiwać. A potem

wydobywa się z niej głos.

Każdy może pytać, o co chce.

– Czy cię boli?

– Jak umarłeś?

– Przepraszam za moje wybuchy złości. Nie miej do mnie żalu.

– Tęsknię za tobą. Codziennie.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

– Tak ciężko uwierzyć, że... że... że...

– Czy czegoś potrzebujesz?

– Chciałam się ostatni raz pożegnać. Powiedzieć, że cię kocham.

– Gdzie jest twoje ciało?

– Boli mnie.

Charakter ludziom po śmierci się nie zmienia. Czasami nie chcą rozmawiać z rodziną. Ale pani Matsuda jest skuteczna. Na sto duchów pojawia się dziewięćdziesiąt osiem.

Za to z czasem zaczęły się zmieniać pytania.

– Mamo, gdzie mam zbudować nowy dom?

– Kochanie, czy nie lepiej byłoby, gdybym zostawiła pracę?

– A może powinienem się jednak rozwieść? Tato, co o tym myślisz?

I jeszcze jedno:

– Jak mam umrzeć, żeby być tam, gdzie ty? Utopić się w morzu?

Pani Matsuda odkłada różaniec, patrzy mężczyźnie prosto w oczy.

– Jeśli umrzesz, to kto będzie zajmował się grobem twojej ukochanej? Musisz żyć dla niej.

A inni? Jakie odpowiedzi dostają? Pani Matsuda nie wie. Kiedy jest w transie, nic nie pamięta.

Za to każdego ducha, z którym rozmawiał, doskonale pamięta mnich Kaneta.

– Chcę się zabić – usłyszał, kiedy wieczorem odebrał telefon. To specjalny numer. Dla samotnych, dla potrzebujących rozmowy i dla samobójców. Kaneta uruchomił go po tsunami. Mnich nie zawsze jest dostępny, zdarzyło się, że na wyświetlaczu widział nieodebrane połączenia. W myślach przeproszał osobę, którą zawiódł. Nie może pomóc wszystkim.

Akurat tego wieczoru (bo zazwyczaj zaczynają dzwonić wieczorem, po ósmej, kiedy samotność staje się nie do zniesienia) mógł podnieść słuchawkę.

– Chcę się zabić – usłyszał zmęczony głos młodej dziewczyny.

Dwie godziny później pod czterechsetletnią świątynią Tsudaiji podjechał samochód. Dziewczynanie była w stanie wyjść o własnych siłach. Pomagali jej matka, młodsza

siostra i narzeczony. Kaneta zaprowadził ich do pokoju dla gości, gdzie usiedli na poduszkach przy niskim stole. Żona Kanety zaparzyła herbatę – specjalną, ze świeżych niefermentowanych liści. Ma słodki wiosenny smak.

– Chcę się zabić – dziewczyna miała 25 lat, krzepką budowę, podkrążone z niewyspania oczy, matowe włosy do ramion i bezbarwny ton głosu. – Nie wytrzymam dłużej, ciągle je słyszę, nie dają mi spokoju, nie chcą odejść, mówią, cały czas mówią, nie wytrzymam tego. Chcę się zabić.

– Dziecko, jak masz na imię? – Kaneta przerwał jej cicho.

– Yuko.

– Yuko chan – zwrócił się do niej pieszczotliwie, tak jak do małego dziecka, które trzeba utulić. – Kiedy zaczęłaś słyszeć głosy?

– Och, nie pamiętam, to musiało być w dzieciństwie.

– W naszej rodzinie kobiety słyszą zmarłych – wtrąciła się jej matka. – Mnie też się to zdarzało, dopóki nie wyszłam za mąż. Ciotka Yuko miała tak samo, ale potrafiła nad tym panować. Yuko też, przynajmniej przez dłuższy czas. Dopiero po tsunami zaczęło się dziać coś złego.

– Kiedyś wystarczyło, że wyobrażałam sobie solidne pudełko – słowa wylewały się z Yuko, jakby bała się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego. – Wsadzałam je do środka, zamykałam wieczko i już, mogłam normalnie chodzić do pracy, bawić się z przyjaciółmi, rozmawiać z rodziną, ale to było kiedyś, a teraz żadne pudełko, żadne wieczko, nawet metalowy sejf nie jest w stanie ich uciszyć, mówią, mówią bez przerwy, nie chcą zamilknąć, tłuką się w mojej głowie.

Mnich Kaneta zetknął się już wcześniej z ludźmi, którzy widzą duchy. Przychodzili i przed tsunami. Nękani złymi snami, nawiedzani przez zjawy widziane kątem oka. Czasem czuli czyjąś obecność zbyt blisko i zbyt intensywnie. Albo przychodzili tylko z poczuciem, że coś jest nie tak. Że jakieś niebezpieczeństwo wisi w powietrzu, że przodkowie się niepokoją.

Procedura zawsze była taka sama. Porozmawiać. Kaneta nie jest egzorcystą, nie ma zdolności wypędzania duchów. Ale potrafi słuchać. Więc pyta: W co wierzysz? Co jest dla ciebie ważne? Kto ci zmarł? Zostawił jakieś niezakończony sprawy? Skąd jesteś? Jak umierali twoi przodkowie? Czy ktoś zginął gwałtowną śmiercią? W którym obrzędzie praktykujesz? Czym się martwisz? Co ci się śni? Czemu nie możesz zasnąć?

Kaneta cierpliwie pyta, aż odkryje, co dręczy osobę siedzącą przed nim. A kiedy już wiadomo, co jest problemem, znane jest rozwiązanie – trzeba odprawić rytuał, pomóc zakończyć niedokończone sprawy, pomodlić się za niespokojną duszę. Uspokoić i ją, i siebie.

Po tsunami pojawiło się dziesięć osób. Każda o duchach mówiła w inny sposób –

niektórzy je widzieli, inni je słyszeli, jeszcze inni czuli ich obecność. Jeden mężczyzna został nawet opętany przez rozżłoszczonych jego wścibskością zmarłych – pojechał na wybrzeże tydzień po katastrofie, popatrzeć. Na plaży jadł lody, jak na wycieczce. Zmarli się wściekli. Dręczyli go przez trzy wieczory. Wystarczyło mu uświadomić jego lekkomyślność, żeby napady przeszły.

Ale z Yuko było inaczej.

Bo duchy posiadały jej ciało.

Yuko mieszkała w Sendai, tam się urodziła. Jej rodzina pochodziła z wybrzeża, z Ishinomaki, miasta w połowie zniszczonego przez tsunami. Nikt z rodziny Yuko, ani z jej przyjaciół, nie ucierpiał. W przeszłości jej przodkowie zajmowali się podwójnym ujściem rzeki Kitakami, największej rzeki całego Tōhoku. Czy to dlatego Yuko słyszała tyle głosów po tsunami?

Choć Yuko nikogo nie straciła w tsunami, to niedawno umarł jej ojciec. Może to ułatwiło duchom dostęp do pogrążonej w żałobie dziewczyny? Szczególnie że Yuko zamartwiała się tym, że jej ojca nie będzie na weselu. Nawet nie miał czasu dobrze poznać jej narzeczonego. A może nie popierał jej związku? Może według niego Yuko źle wybrała? Dręczyła się tym tuż przed położeniem się spać. A potem i tak spać nie mogła, bo zaczynała słyszeć głosy.

– Yuko chan, wróć do domu, pomódl się za ojca przed ołtarzem. To powinno go uspokoić. I ciebie. A jeśli kiedykolwiek poczujesz, że dzieje się coś, z czym sobie nie radzisz, wróć do mnie.

Duchy skorzystały z zaproszenia. Yuko wracała jeszcze 25 razy.

Za trzecim razem narzeczony Yuko wyniósł ją z samochodu, przeniósł kamienną ścieżką przez ogród świątynny, posadził ją za niskim stołem, a kiedy Kaneta zapytał, co się dzieje, Yuko odpowiedziała męskim głosem. Wściekłym, zrozpaczonym. Krzyczała: „Gdzie jest Wakana?! Gdzie jest Wakana?!”

Kaneta zaczął rozmowę.

– Kim jest Wakana?

– To moja córka. Gdzie ona jest? Muszę ją znaleźć!

– Czemu musisz znaleźć Wakane?

– Bo nadchodzi tsunami! Muszę zabrać ją ze szkoły, zanim uderzy fala!

Krok po kroku Kaneta ustalał fakty. Żona mężczyzny miała odebrać córkę ze szkoły, ale utknęła w korku. Zdecydował się po nią pojechać. Duch mężczyzny tego nie wie, ale kiedy jechał po córkę, musiało go zabrać tsunami. Kaneta miał przed sobą dwudziestopięcioletnią Yuko, która krzyczała grubym basem: „Gdzie jest Wakana?!” Nie miał pojęcia, co zrobić, więc zaimprovizował.

– Gdzie jesteś teraz?

– Na dnje morza.

Zaskoczyło to mnicha, ale nie dał nic po sobie poznać.

– Twoje ciało jest na dnje morza, stamtąd nie możesz szukać Wakany. Spróbuj się ruszyć i popłynąć w stronę światła. Wtedy rozpoczniesz poszukiwania. Czy widzisz światło?

Cisza.

– Czy widzisz światło?

– Nie. Naokoło mnie jest ciemność.

– Czy możesz się ruszyć?

Cisza.

– Czy możesz się ruszyć?

– Przygniata mnie inne ciało.

– Czy możesz je odsunąć?

– Nie. Nie mogę. Nie mogę się ruszyć.

– Ale musisz się ruszyć, żeby znaleźć Wakaną. Chcesz odnaleźć córkę, prawda?

– Tak! Muszę odnaleźć Wakaną.

– Więc wyciągnij rękę i zacznij płynąć, aż zobaczysz światło. Wtedy wystarczy płynąć w jego stronę.

Cisza. Od przyjazdu Yuko mijały już dwie godziny.

– Czy widzisz światło?

– Możliwe, że widzę trochę światła – ojciec Wakany zrobił się podejrzliwy. – A kim ty jesteś?

– Jestem mnich Kaneta, opiekun świątyni w mieście Kurihara.

– Czy masz wystarczającą moc?

– Tak. Moja moc jest wystarczająca.

Upłynęła kolejna godzina, zanim ojciec Wakany zobaczył światło. Kaneta razem z narzeczoną Yuko zabrali dziewczynę z poduszek w pokoju gościnnym do świątyni i posadzili przed ołtarzem.

– Jesteś duchem w ciele dwudziestopięcioletniej dziewczyny, pomogę ci się z niego wydostać. Po prostu zgubiłeś drogę. Ty będziesz płynąć w stronę światła. A ja będę się modlić. Rozumiesz?

Ale kiedy usiedli przed ołtarzem, ojca Wakany dopadły wątpliwości.

– Czy doprowadzisz mnie do światła? Czy znajdę Wakaną? Czy twoja moc wystarczy?

Kaneta nie wytrzymał:

– Słuchaj, jesteś ojcem, wiesz, co to znaczy, kiedy coś złego dzieje się z twoją córką. To wyobraź sobie, jak czują się rodzice tej dziewczyny, w której ciele siedzisz i nie chcesz wyjść!

– Przepraszam... Ja tylko chcę odnaleźć Wakaną.

Kaneta wreszcie mógł zacząć ceremonię – pokropił głowę Yuko wodą, odmówił sutry, zapalił kadzidła. Napięte mięśnie dziewczyny rozluźniły się, rysy złagodniały, a kiedy się odezwała, żeby podziękować, mówiła normalnym, lekko wysokim głosem.

Yuko wyjechała ze świątyni o drugiej nad ranem.

Rozmowy z kolejnymi duchami zawsze zajmowały po sześć, siedem godzin. Oprócz ojca Wakany odwiedzili go jeszcze:

Weteran marynarki wojennej z czasów II wojny światowej.

Dziewczyna, która zarabiała jako hostessa, zabawiając klientów barów rozmową.

Kobieta, która nie zdążyła uciec przed tsunami.

Licealista potrącony przez samochód.

Staruszek, który umierając, zostawił swoją żonę i nie mógł sobie tego darować.

A potem pojawił się mały chłopiec. Chłopczyk. Może pięcioletni. Wołał do swojej mamy. Kaneta nigdy tego nie zapomni. „Mamo, mamusiu, nie gniewaj się na mnie! Mamusiu, wybacz mi!” Chłopczyk opiekował się młodszym bratem Yo, kiedy w miasto uderzyło tsunami. „Mamusiu, ja nie chciałem! Proszę, nie gniewaj się na mnie. Nie mogłem utrzymać jego ręki. Przepraszam cię, przepraszam! Nie chciałem puścić jego dłoni. Proszę, wybacz mi, nie gniewaj się na mnie za to, że go puściłem!”

Tym razem to żona Kanety zaczęła rozmawiać z chłopcem. Chwycała Yuko za rękę: „Nic się nie bój, ja jestem mamą, już nie musisz się bać. Wszystko jest w porządku, razem pójdziemy znaleźć światło.”

Nie wiedzą, ile czasu minęło, zanim chłopiec powiedział, że widzi światło i teraz już będzie szedł sam.

Ostatni raz Yuko w świątyni Kanety pojawiła się może rok temu. Planowała ślub i przenosiny do prefektury Aichi, daleko na południe od Tōhoku. Razem z nią przyjechało dwóch profesorów z uniwersytetu w Sendai, którzy chcieli opisać jej przypadek. Tym razem duch, który ją posiadał, był duchem psa. Yuko wyrывała się, choć trzymało ją trzech mężczyzn. Warczała. Kaneta nie mógł zadać żadnego pytania. Pies nie umiałby na nie odpowiedzieć. Zabrał więc dziewczynę do świątyni, żeby odprawić rytuał – zapalić kadzidła, przeczytać sutry i skropić ją wodą święconą. Chodziła po świątyni na czworakach, powarkiwała, zdarzało jej się szczebrać. Czekał, aż się uspokoi.

Dopiero później Yuko opowiedziała, jak pies widział swoich właścicieli wyjeżdżających w pośpiechu. Mieszkali w Futabie, mieście, w którym stoi elektrownia Fukushima Daiichi. Tak się spieszyli, że nie spuścili go z łańcucha. Nie zostawili mu też żadnego jedzenia. Może liczyli na to, że niedługo wrócą? Umierał kilka dni. Jego duch został na miejscu na tyle długo, żeby zobaczyć, jak nad jego ciałem pojawia się postać

w białym skafandrze. Człowiek dotknął szyi zwierzęcia, stwierdził, że nie żyje, i zniknął za ogrodzeniem.

Ostatnio duchów jest coraz mniej. Przestały wzywać do pożarów. Nie łapią taksówek, nie zatrzymują nocą autokarów. Kolejki nie ustawiają się w miejscu dawnego supermarketu. Dzieci nie wracają już, żeby bawić się swoimi zabawkami.

Duchy pojawiają się raczej w snach swoich przyjaciół, mężów, żon i rodziców.

Japończycy wierzą, że dusze zmarłych nie zaznają spokoju, dopóki nie spali się ich ciała i nie schowa w rodzinnym grobie. Grób funkcjonuje jak brama – pozwala zmarłym odejść do raju. I wracać na ziemię podczas Obon, sierpniowego święta zmarłych. Zmarli opiekują się żywymi. Żywi opiekują się zmarłymi.

Ale jeśli z jakiegoś powodu nie dopełniono rytuału, duchy unoszą się między światami. Czasem trzyma je tu złość. Czasem miłość. Nie mogą zaznać spokoju.

Ci, których ciała nie znaleziono – wracają.

Ci, których nie zidentyfikowano, a ich prochy złożono we wspólnym grobie – wracają.

Ci, którzy nie załatwili ważnych spraw – wracają.

Ci, którzy są wściekli – wracają.

Ci, którzy kochają – wracają.

Ci, którzy nie zdają sobie sprawy z własnej śmierci – wracają.

Ci, których rodziny nie chcą puścić – nie mogą odejść.

CIENÍ

Na plaży pełno ludzi. Rozłożyli ręczniki, wyciągnęli jedzenie, siedzą i patrzą na ocean. Dzieciaki biegają z piłką. Środek lata. Ubranie lepi się do ciała. *Beta beta*, mówią Japończycy. Dopiero późnym popołudniem robi się przyjemnie. Słońce powoli zniża się za horyzont, brzęczą cykady, powietrze pachnie solą.

Plaża nie jest szeroka, kończy się równo ułożonymi płaskimi kamieniami. Zbudowano ją na ziemi zabranej Pacyfikowi. W tle – szara panorama Tokio. Niedaleko stoi jeden z największych na świecie diabelskich młynów. Przy dobrej pogodzie z jego czubka widać górę Fudzi.

Słońce schodzi niżej, zmienia kolor oceanu ze srebrzystego na złoty. Piłka ucieka małym dłoniom, toczy się w stronę brzegu. Jedna z matek podwija spódnicę i wchodzi do wody po łudki, próbuje złapać piłkę, zanim zabiorą ją fale. Nagle prostuje się gwałtownie. Patrzy pod słońce, osłania oczy. Spódnica nasiąka słoną wodą. Kobieta zakłada włosy za ucho, łapie piłkę, odwraca się do dzieci. Pogania je w stronę plaży.

Matki pakują jedzenie do koszy, ojcowie otrzepują ręczniki z piasku. Dwie młode dziewczyny robią sobie selfie z panoramą Tokio w tle. Nikt nie zwraca uwagi na cień przemykający tuż pod powierzchnią wody.

Dopiero kiedy czarny kształt zasłania słońce, ludzie odwracają głowy w stronę oceanu.

Potwór stoi kilkanaście metrów od brzegu, ocieka wodą. Pokryta łuskami skóra, potężny ogon, rząd kolców na grzbiecie, zakrzywione pazury, ostre zęby, małe oczka w gadziej głowie.

Nad plażą niesie się ryk.

Kiedy milknie, cisza wydaje się nie do zniesienia. Nawet cykady przestały grać.

Czarny stwór bierze głęboki wdech. Patrzy dalej niż plaża, w stronę Tokio. Bucha atomowym płomieniem – jaśniejszym niż słońce.

ゴジラ

Godzilla.

Godzilla atakowała Japonię dwadzieścia osiem razy (i dwa razy amerykański brzeg). Prehistoryczny gad, który żywi się promieniowaniem. Obudzony próbami jądrowymi z długiego, podobnego do śmierci snu. Ma moc regeneracji, kule odbijają się od jego twardej skóry, a salwy z samolotów tylko zwiększają jego wściekłość. Potężna siła,

którą próbujemy kontrolować. Której nie rozumiemy. I nad którą nie mamy władzy.

Pierwszy raz pojawiała się w Zatoce Tokijskiej w 1954 roku. Deptała tory i wagoniki kolejki, trzęsła budynkami, wybijała szyby w oknach, wzniesła pożary. Zostawiała za sobą dymiące zgliszcza. Japońscy widzowie mieli świeżo w pamięci nie tylko zniszczenie Hiroshimy i Nagasaki, lecz także bombardowania Tokio, kiedy w 1945 roku spłonęło prawie dziewięćdziesiąt procent miasta. Starsi pamiętali jeszcze wielkie trzęsienie ziemi z 1923 roku, w którym zginęło co najmniej 140 tysięcy osób. Zniszczonych zostało wówczas ponad pół miliona budynków, choć niektóre źródła mówią o prawie siedmiuset tysiącach.

Film Ishirō Hondy odwoływał się do dobrze znanych obrazów.

Godzilla umiera zniszczona bronią tak przerażającą, że jej twórca, doktor Serizawa, długo się waha, czy w ogóle powinien obwieścić światu, że jest w stanie Godzillę zgładzić. Pali wszystkie papiery, zabiera „destruktor tlenu” pod wodę i sam umiera razem z prehistorycznym gadem.

Kiedy z Godzilli, która przed chwilą szalała, niszcząc Tokio, zostaje tylko szkielet, nikt nie wiwatuje. To nie jest nasz sukces. To jest nasza porażka.

Jedynie, co potrafimy, to niszczyć.

Godzilla natychmiast została celebrytką. Ma nawet własną gwiazdę w Hollywoodzkiej Alei Sławy. Występowała w reklamach samochodów, batonów energetycznych i butów sportowych. Z każdym filmem zyskiwała nowe moce: oprócz atomowego (o różnym natężeniu) również płomienny oddech, elektryczne ugryzienie, nadludzką szybkość, a nawet nuklearny odrzut, który umożliwia jej latanie. Walczyła z trzygłowym smokiem – Królem Ghidorah, postrachem kosmosu. Walczyła z brutalnym cyborgiem Giganem z ostrzami zamiast ramion i piłą mechaniczną w torsie (to jedyny potwór, któremu udało się przebić grubą skórę Godzilli). Walczyła w końcu z własnym zmechanizowanym klonem – Mechagodzillą. Walczyła też z przedziwnym mutantem Biollantem – stworzonym z komórek zmarłej córki znanego naukowca, materiału genetycznego jej ukochanych róż i z kilku komórek samej Godzilli. Biollante kłapie zębatymi paszczami i pluje trującym sokiem.

Niektórzy z jej przeciwników, których sama zabiła, w kolejnych filmach stawali po jej stronie – tak jak gigantyczna ćma Mothra, opancerzony Anguirus (jako wróg Godzilli toczył z nią walkę w Osace, doszczętnie niszcząc tamtejszy zamek) i olbrzymi radioaktywny pterozaur Radon, który żyje wewnątrz wulkanu Aso na Kiusiu. Najwięcej razy niszczyła Tokio, ale z ziemią zrównała również Kioto, Okinawę i półwysep Hakone. Broniła siebie (i świat) przed kosmitami, przybyszami

z przyszości i stworzeniami zamieszkującymi podwodne królestwa. Miała nawet syna – nieznośnego małego stwora Minya – który wystąpił razem z nią w pięciu filmach (w angielskim tłumaczeniu „Godzilla” jest rodzaju męskiego, dlatego mówi się na nią „tata”).

Uparcie wraca, choć wrzucano ją do wulkanu, zamrażano i zrzucano w morskie otchłanie, a jej serce topiło się niczym paliwo w reaktorze jądrowym.

Godzilla nie zawsze dobrze wybiera role – zdarzało jej się grać w totalnych klapach. Im bardziej groteskowa się stawała, tym bardziej kochała ją publiczność. Jednak ludzie wcale jej nie obchodzą. Ot, małe stworzonka, które tylko powodują problemy. Jeśli nas broni, to nie dlatego, że nagle stała się dobra – pojęcie dobra i zła jest jej obce. To potężna siła, która wali na oślep w każdego, kto zagraża jej życiu. Jeden z producentów Godzilli, Shōgo Tomiyama, porównuje ją do boga zniszczenia. Im więcej z nim walczymy, tym staje się silniejszy. Karmi się naszym strachem. Jego przeznaczeniem jest totalne zniszczenie. Dopiero na zgliszczach może powstać coś nowego.

Godzilla – kami zagłady. Ale i odrodzenia.

Próbujemy ją oswoić. Stawiamy jej pomniki. Jak ten przy wejściu do stacji Yūrakuchō w centrum Tokio. Nieduża postać z długim ogonem i otwartym psykiem wcale nie wydaje się groźna. Akurat na naszą skalę, pozbawiona przerażającej mocy. Zmieniamy ją w amulety – mosiężne figurki i gumowe breloki, które można kupić na przyświątynnych straganach i w sklepach z pamiątkami. Wytwórnia filmowa Tōhō (producent 28 filmów z Godzillą) na dachu swojego budynku w Shinjuku, dzielnicy pełnej barów, sklepów i neonów, zainstalowała dwunastometrową głowę potwora. Z dołu wygląda to, jakby wielki gad atakował swoich twórców. Zresztą Godzilla trzy razy zrównała już Shinjuku z ziemią. Ale kiedy wjechać windą na dach, widać, że to tylko głowa z betonu umocowana na kamiennym postumencie.

Bohaterka popkultury. Oswojona. Umniejszona. Obśmiana. Zamieniona w gumowy symbol kiczu. Nawet kiedy straszy, to nie jest straszna.

Ale to tylko sztuczki. Żadne amulety nic nam nie dadzą. Kiedy wróci, a wróci z całą pewnością, będziemy drzeć z przerażenia. Wyłoni się nagle na brzegu oceanu. Zasłoni słońce i świat znów zastygnie w bezruchu.

Jeśli ocalejmy, to nie dzięki własnej odwadze czy sprytowi, tylko dlatego, że na nas nie przyszedł jeszcze czas.

Najpierw pojawi się jej cień.

Zresztą on jest zawsze z nami.

KAMPAI!

Smakuje ci nasza sake, Kasia san? To *daiginjō* – najlepszy gatunek! Z ziarenek ryżu polerowanych tak długo, aż zmniejszyły się o połowę. Żadnych łusek, czysty ryż. Czujesz to w smaku, prawda? Świeży i mocny, pachnie kwiatami – jakbyś piła wiosnę. Proszę, doleję ci jeszcze. Właściwie to ja nie powinienem pić. Wycięli mi trzy czwarte wątroby. To ponad dziesięć lat temu było, rak jak byk, dwanaście centymetrów, operowali mnie dziewięć godzin. Teraz muszę na siebie uważać. Ale trochę sake raz na jakiś czas nie zaszkodzi. No to *kampai!*

Pozwól, że ci wytłumaczę – my, w Japonii, wcale nie nazywamy sake sake, nie wiem, czy o tym wiedziałaś, Kasia san? U nas to jest *nihonshu*. A sake to po prostu alkohol. Od piwa przez likiery po koniak. No ale wy na *nihonshu* mówicie sake, niech tak zostanie. Macie takie różne śmieszne przyzwyczajenia. Pamiętam, jak pierwszy raz byłem w Europie, na konferencji. W hotelu wchodzę do łazienki, a tam obok ubikacji jeszcze jedna miska. Nie wiedziałem, co to, ale przecież jedno musi być na „a”, a drugie na „b”. Po co inaczej stawiać dwa kible obok siebie? Ha, ha, ha. O mało co nie załatwiłem się do bidetu!

– Kasia san, nie przejmuj się głupimi żartami Hikaru san. On nas zawsze rozśmiesza w ten sposób. Pozwól, naleję ci jeszcze.

– Ale to prawda, moja droga Yoko san! Potem mieszkałem w Szwajcarii i w Rosji, przyzwyczaiałem się do was i teraz na śniadanie nie jem ryżu, tylko świeży, pachnący chleb. I piję czerwone wino, to dobre na serce. No, ale wolę *nihonshu*, znaczy się sake.

Nasza sake jest wyjątkowa. Ani wino, ani wódka. Chyba najbliższej jej do piwa. Bo też jest warzona. I wcale nie taka mocna. Od piętnastu do dwudziestu procent. Lekarz powiedział, że nie wie, skąd ten rak taki duży wyrósł. I to w tak krótkim czasie. Nie więcej niż dwa lata. A ja wtedy przypominałem sobie słowo, którego nie słyszałem od ponad pół wieku: *hibakusha*.

– My tu wszyscy jesteśmy *hibakusha* – napromieniowani od bomby. Hikaru san, pozwól, że ci doleję, ta jest akurat z Nagano. Z Alp Japońskich. Europejczycy tak je nazwali, bo przypominały im Alpy. Świeże powietrze, krystaliczne strumienie i ośnieżone szczyty. A sake jest delikatnie owocowa w smaku. Choć mnie ominął rak, to mój wnuk ma zbyt niski poziom białych krwinek, ciągle choruje. Ale powiem

ci, Kasia san, że choć każdy z nas to przeżył, to wcale o tym nie mówimy. Tylko Hikaru san, jak już się wyleczył z tego raka, zaczął opowiadać. Nawet był w Izraelu z wykładem. Ale my... baliśmy się dzisiaj spotkania z tobą. O takich rzeczach się nie rozmawia. O! Kasia san, wiesz, jak trzymać kubek do sake? Czy ty na pewno nie urodziłaś się Japonką? Może jeszcze kawałek sushi? Akurat jest sezon na jeżowce, proszę, skosztuj.

– Tak, tak, Kasia san, Wataru san dobrze ci radzi – koniecznie spróbuj jeżowców! Zaraz domówimy więcej. No rzeczywiście, nie mówimy o tym, a ja nie mam problemu, bo po prostu niewiele pamiętam. Miałem trzy latka, nawet niecałe. W głowie mam tylko jeden obraz, a to i tak niezwykle, bo trzyletnie dzieci nie mają wspomnień. Widzę to dokładnie. Kucam nad ubikacją. Wtedy w Japonii ubikacje były jeszcze starego typu: otwór w ziemi i już. Nagle wszystkie ściany rozwalają się jak domek z kart. Wybiegam, krzyżąc: „Mama, mama!” Wpadam w jej ramiona. Mama miała na sobie białą bluzkę. Spróbuj, proszę, jeszcze tej, ta jest z Kioto, ma delikatny smak, przyjemnie wypełnia usta. Sekret tkwi w wodzie. No bo co to jest *nihonshu*, to znaczy się sake? Pozwól, że ci wyjaśnię. To ugotowany ryż, specjalna odmiana, co to ma więcej skrobi, do tego grzyb *kōji*, który rozkłada skrobię na cukier, i jeszcze drożdże, które ten cukier fermentują w alkohol. I woda, woda, woda. Jak zwiedzasz warzelnię sake, to na koniec, podczas poczęstunku, najpierw dadzą ci do spróbowania wodę. To w niej zamknięty jest smak całej okolicy. Sake z Kioto jest miękka i delikatna. Bardzo kobieca. A ta z Kobe pełna minerałów – ostra i męska.

– A ja najbardziej lubię tę z gór w Fukushima. Lekko słodka, ale jaki bogaty smak! Wodę czerpią z podziemnych źródeł pod wulkanem Bandai. Hikaru san studiował w Kioto, pewnie dlatego ma takie miłe wspomnienia z tamtejszą sake. On tutaj jest najmłodszy, prawda, Hikaru san? Dopiero 73 lata! Zaniża nam średnią, bo my wszyscy już pod osiemdziesiątkę, a Shigeru san to właśnie skończył 90 lat. Ja dobrze wszystko pamiętam. Najpierw bardzo jasny błysk. *Pika!* Tak mówimy, kiedy znikąd pojawia się oślepiające światło. A potem ciepły pomarańczowy kolor, który zmienił się w żółty, w srebrny, w zielony. Nie potrafię ich nazwać, tak były piękne. Dopiero po chwili dotarł do mnie dźwięk. *Don!* Raz i już. Podmuch zawalił dach i roztrzaskał szyby. Odłamki szkła wbiły mi się w plecy. Byłam trzy i pół kilometra od hipocentrum. Każdy z nas zna swoją odległość. To jak drugie imię.

– Ha, ha. Hikaru, dwa przecinek dziewięć.

– Shigeru, dwa przecinek dwa.

– A ja, Wataru, sześć kilometrów.

– Kazuko, drugie pokolenie. Wiecie, moja mama inaczej zapamiętała te kolory niż Yoko san. No więc ona mówiła, że całe niebo po prostu zrobiło się jasnoniebieskie.

Jak spokojny ocean w słoneczny dzień. Ale ona była jedenaście kilometrów od hipocentrum, stała na wzgórzu. Widziała chmurę unoszącą się nad miastem. Wcale nie wyglądała jak grzyb, tylko jak rożek do lodów. Jej czubek mienił się na różowo.

– O, kelner, świetnie. Zamówimy trochę przekąsek. Co z tego, że już zjedliśmy obiad? Kasia san, będziesz miała pełne *sake experience*. Tofu w panierce, smażone wodorosty, orzechy miłorzębu, kalmar w tempurze. Co by tu jeszcze? Strączki soi z solą. Spróbujesz *shirako*? To grillowany mlecz łososia. Rozpływa się w ustach. No, mlecz to nasieniowody. Tak, ze spermą. Co my tu jeszcze mamy? Trochę pikli, wiadomo. A! I poprosimy sake podaną w *tokkuri*, a nie w butelce. Kasia san, nie znasz *tokkuri*? Przecież to ten brzuchaty dzbanuszek na sake. Wiesz, że otwór w szyjce musi być na grubość małego palca? Tylko wtedy słychać ten przyjemny dźwięk: *tok tok tok*, kiedy lejemy sake do kieliszka.

– Ja, moi drodzy, pamiętam znacznie więcej, nalejcie jeszcze tej z Nagano, pachnie sosnowym lasem i deszczem. Miałem 20 lat, pracowałem w fabryce broni ukrytej w tunelu niedaleko Nagasaki, no właśnie te dwa przecinek dwa kilometry od hipocentrum. Zatrzęsły się cynowe ściany. Fabryka była poza miastem, na wzgórzach. Wyszedłem na zewnątrz. Płonęły pola ryżowe. Na drodze leżały dwie kobiety. Nie mogły otworzyć oczu – tak im spuchły powieki. Powtarzały, że im zimno.

– Tak, ludziom było zimno, pamiętam to dobrze. Kasia san, nie chcesz jeszcze sushi? Niedużo zamówiliśmy. I jeszcze pić chcieli. Nad Hiroszimą unosił się błagalny chór: „Wody, wody”. Ale z wodą czy bez i tak by umarli. Ich już nic nie mogło uratować. Pamiętam jeszcze jedną rzecz. Gorący asfalt. Cztery godziny po wybuchu szłam przez most, podeszwy stóp miałam zupełnie poparzone. W samym hipocentrum temperatura była tak duża, że po ludziach zostały tylko cienie na kamieniach.

– A ja nie pamiętam ani światła, ani huk. Ale przez 40 lat pamiętałem zapach. Wiecie, co to był za zapach? Aż wstyd mówić! Suszone kałamarnice wrzucone na grilla. Tak jak ta przekąska do piwa.

– O, i jest nasz kelner. Kasia san, zrobimy test, niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że grubość *guinomi*, no, tej czarki do picia sake, ma znaczenie. Patrz, ta jest cienka, porcelanowa, a ta ceramiczna – grubo ciosana. Do każdej nalewam tej samej sake. Proszę, skosztuj. Niezwykłe, prawda? Wiesz, czemu tak się dzieje? Bo jak *guinomi* jest cienkie, to płyn najpierw trafia na czubek języka, który wyczuwa słodki smak. A jak jest grubsze, to sake najpierw dotyka tyłu języka i wydaje się bardziej gorzka. W sake wszystko ma znaczenie! Nie tylko woda. Czy ryż zmieszano z jęczmieniem, czy dodano alkohol, czy pasteryzowano, czy starzono w beczkach cedrowych, czy filtrowano przez bardzo cienką czy przez grubszą gazę. Nawet temperatura ma znaczenie. Tę samą sake możesz podać w temperaturze pięciu albo pięćdziesięciu pięciu stopni! Kiedy

podgrzewam, a kiedy schładzam? No, to zależy od wielu rzeczy. Pory roku. Mojego humoru. Z czym to jem. W barach tanią sake podgrzewają – maskują niedostatki. Oj, rozgadałem się, a kieliszki puste! Polejcie gościowi! Przecież sama sobie nie naleje, co wy, nie umiecie się zachować? Zaraz, zaraz, co było potem?

– Jak to, Wataru san? Nie pamiętasz? Potem na miasto i okolice spadł deszcz. Tata zabrał mnie ze szkoły do domu. Na podwórku suszyło się pranie. Czarne, tłuste smugi na pieluszkach mojej siostry. Nawet daleko od Hiroszimy ryby w stawach wypływały do góry brzuchem. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Mija tydzień od wybuchu, a tu umierają zdrowi ludzie. Żadnych poparzeń, żadnych złamań. Nagle na ciele robią im się purpurowe plamy, krew leci z nosa, mają biegunkę, włosy wypadają. Myśleliśmy, że zatruli nas jakimś gazem. Zrucili wirusa. Albo bakterie. Chorowali ci, którzy weszli do miasta szukać bliskich w gruzach kilka dni po *pikadon*. Kasia san, mówiłam ci już, że *pika* to błysk, a *don* to wybuch? Tak nazywaliśmy to, co się stało. Zachorował na *pikadon*, zmarł na *pikadon*. *Pikadon. Pikadon. Pikadon!*

– Yoko san, może jeszcze trochę tej z Kioto? Na ciśnienie. No śmiało!

– Moja mama opowiadała o falach śmierci. Wczoraj umarli ci, którzy byli kilometr od hipocentrum, dziś umierają ci, którzy byli sto metrów dalej, jutro umrą ci żyjący kolejne sto metrów w stronę wzgórza. Nikt nie wiedział, kiedy to się skończy. I czy to się skończy.

– To prawda, Keiko chan, nikt nic nie wiedział. A kiedy na początku września Amerykanie wkroczyli do miasta, liczyliśmy na to, że dadzą nam lekarstwo. Figę nam dali. Powiedzieli tylko, że już nikt na to więcej nie umrze. Nawet dzisiaj ciężko podać oficjalne dane. Sto czterdzieści tysięcy osób w Hiroszynie i siedemdziesiąt tysięcy w Nagasaki do końca 1945 roku, choć nie ma dwóch takich samych statystyk.

– Kasia san, spróbuj, proszę, jeszcze sake z Kobe, ostrzejsza w smaku, wytrawna. Moim zdaniem najlepsza w całej Japonii. Zdrowie naszego gościa! *Kampai!*

– *Kampai*, Kasia san! Wiesz, że sake pijemy podczas ceremonii ślubnej? Ja z moją żoną ślub brałem pod Tokio. W niedużym chramie szinto. Tak, my wszyscy bierzemy śluby w chramach, to tak pięknie wygląda! Panny młode okryte białymi płaszczami i te okrągłe kaptury na ich głowach. I mężczyźni w czarnych kimonach, każdy czuje się jak samuraj. Siadają przed ołtarzem, przed bogami, i piją po trzy łyki z tej samej czarki. Czarki też są trzy, jedna większa od drugiej. Co symbolizują? Niektórzy mówią, że niebo, ziemię i człowieka. Albo że miłość, mądrość i szczęście. A inni uważają, że to nienawiść, pasja i ignorancja – nasze największe wady. Żonie powiedziałem, że jestem *hibakusha*. Wiedziała, skąd pochodzę. Więcej o tym nie gadaliśmy. Zapomniałem to słowo na pięćdziesiąt lat. Dopiero ten rak... Ale wiesz, są ludzie, którzy nigdy się do tego nie przyznają.

– Tak, my w Japonii w ogóle niespecjalnie o tym mówimy. Ludzie nie zawsze rozumieją. Ile się słyszało o zerwanych zaręczynach! Bo panna młoda była z Hiroszimy albo z Nagasaki. Tuż po wojnie rany dziwnie się goiły – wielkie czerwone blizny. Nie chciano ludzi z tymi bliznowcami wpuszczać do wspólnych łaźni. Może zarażą? Nikt nie wiedział, co to jest promieniowanie. Jak na koloniach powiedziałam, że jestem z Hiroszimy, to dziewczynki podpatrywały mnie podczas wspólnych kąpieli. Jakbym pod ubraniem chowała łuskę!

– Przecież my sami nie wiedzieliśmy, co się z nami dzieje. Czułem się osłabiony. Bez żadnego powodu. Bolała mnie głowa, chodziłem zygzakami. Mijało po trzech dniach. Znam takich, co pracy nie mogli przez to znaleźć. Mówiono o nich, że są leniwi. *Bura bura* – śmiano się. Tak mówimy, kiedy ktoś kręci się w kółko bez żadnego celu i marnuje czas. Ale dobra ta sake, zamówmy jeszcze jedną! Napój bogów. Kasia san, wiesz, co robią bogowie w październiku? Wszyscy, jak jeden mąż, całe osiem milionów, jadą do chramu Izumo, to w Shimane, tam na zachodzie Japonii, na tym drugim wybrzeżu od Kioto. Spotykają się, żeby zdecydować o tym, co się wydarzy w kolejnym roku: kto umrze, kto się urodzi, a kto weźmie ślub. Ale tak naprawdę przez cały miesiąc piją sake. Śmieszne, w Shimane na październik mówi się „miesiąc z bogami”, a w całej Japonii to „miesiąc bez bogów”. Zostaje tylko jeden, Ebisu, bóg rybaków, co to urodził się bez kości, jak meduza. Nie słyszy gongu wzywającego na ucztę. Biedak. Tyle przyjemności go omija.

– Wiesz, że nam nie powiedziano aż do 1951 czy może 1952 roku, co się tak naprawdę stało? Amerykanie wprowadzili cenzurę. Fotografom, którzy dostali się do środka, skonfiskowali wszystkie rolki ze zdjęciami. Ekipom filmowym zabrali taśmy. W gazetach nie pojawiały się słowa „szkodliwe efekty promieniowania”. Ale nas badali. Utworzyli specjalną komisję, już w 1946 roku. Komisja Ofiar Bomby Atomowej. Zbierali informacje o skutkach bomby. Po mnie podjeżdżał długi czarny samochód. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Zawozili mnie do kliniki. Osłuchiwali, pobierali krew i mocz. Robili zdjęcia. Żadnych lekarstw nigdy nie dostałam. Podobno wyniki nawet nie były przekazywane japońskim lekarzom. Wysyłano je do Stanów. Dopiero kiedy Japonia podpisała traktat pokojowy i wypłaciła odszkodowania – cenzura zelżała. Skończyła się okupacja. Zostaliśmy przyjaciółmi.

– Wtedy też zaczęły się plotki. Że coś jest nie tak z naszymi genami. I wiesz, Kasia san, coś jest nie tak, tylko nigdy nie wiesz co. Jak, gdzie i czy to będzie miało wpływ? Może twoje dziecko urodzi się martwe? Może twój wnuk zachoruje na białaczkę? A może ty umrzesz na raka z przerzutami? Moja znajoma poroniła sześć razy. Córka przyjaciela umarła po pół roku walki z rakiem mózgu. Czy to wina bomby, czy przypadek? Nigdy się nie dowiemy. Ale będziemy zadawać sobie to pytanie do końca

życia. A potem będą zadawać je sobie nasze dzieci. I ich dzieci. I ich dzieci. Ech, dajcie jeszcze tej sake. A wiecie, że sake pili kamikadze tuż przed ostatnim lotem?

– A wy cały czas o tej wojnie. I co im z tego przyszło, że pili sake? Bezsensowne śmierci. Młodzi i głupi. Tak łatwo nimi manipulować. Ja się urodziłam rok po bombie. A mój syn ma porażenie mózgowe. Codziennie myślę o tym, czy słusznie zrobiłam, zachodząc w ciążę. Przecież wiedziałam, kim jestem. I co z tego? Poproszę jeszcze tej wytrawnej, z Kobe, posmakowała mi.

– Kasia san, pozwól, że ci wytłumaczę okropne właściwości bomby atomowej. Siedem tysięcy stopni, gorący podmuch, który na początku pędzi czterysta metrów na sekundę, i te promienie, które przenikają wszystko. Bo niektóre to skóra zatrzyma, światło przez skórę nie przejdzie, a te – gamma i neutrony – przechodzą i prosto w komórki, a jak przerwą nić DNA, to potem... rozumiesz teraz? No właśnie, bo ja nie dokończyłem o tym raku. Lekarz powiedział, że to może być medyczna przyczyna, ale – panie Kobayashi – nigdy nie stwierdzi się ze stuprocentową pewnością, że to bomba spowodowała raka. Niemniej przysługuje mi prawo do rządowego certyfikatu poszkodowanego. To inny certyfikat niż ten, który stwierdza, że się jest *hibakusha* i który uprawnia do dodatkowych darmowych badań. Ten dla poszkodowanych zapewnia rentę. Miesięcznie 137 tysięcy jenów, to trochę ponad 1200 dolarów. Czekałem dwa lata. To trwa wieki całe, kryteria nie obejmują wszystkich chorób. Wiesz, Kasia san, my już nie jesteśmy tacy młodzi.

– Nie mówmy już o tym. Są ludzie, którzy opowiadają zawodowo. W muzeum, na prelekcjach. *Kataribe* – opowiadacze. Taka u nas tradycja, że ktoś o katastrofach opowiada. Nie tylko o Hiroszynie i Nagasaki. O trzęsieniu w Kobe. Teraz o tsunami też mówią. Słyszałaś kiedyś *kataribe*? Tak? No to wiesz, że opowiadają bardzo dokładnie. Jakby czytali z kartki. Tam znajdziesz te odchodzące płaty skóry i spopielone włosy. Tylko emocji nie znajdziesz. Przecież muszą się jakoś chronić. Mówią, że wybaczą? A co mają mówić? Ech... dawne dzieje. Nie ma co tego rozrzasać. Byleby się to więcej nie powtórzyło. Skończyło się sake? A, nie. Jeszcze po kieliszku dla każdego.

– Straszne rzeczy się dzieją, Kasia san, wiesz? Już się słyszy o zerwanych zaręczynach. O matkach, które wyjeżdżają z dziećmi i zostawiają samych ojców. I o przebitych oponach w samochodach z rejestracjami Fukushima. Wiemy, co ich czeka. Plotki. Niepokój. Lęk. Kiedy boli cię głowa, nie wiesz, czy to przez promieniowanie, czy przez zmęczenie. Jesteś z tym sam. Do końca życia.

– Tak się smutno zrobiło, a przecież cieszymy się, że mamy gościa z Polski. Odwiedź nas znowu! Zapraszamy, kiedy tylko będziesz w Japonii. Będziemy rozmawiać, jeść i pić! I jeszcze więcej rozmawiać, i jeszcze więcej jeść, i jeszcze więcej pić! Nie możemy

się doczekać, aż wrócisz. Dla nas to zawsze radość poznać kogoś z dalekiego kraju. Zupełnym przypadkiem dzisiaj w gazecie pisali o Polsce. Wyciąłem nawet fragment. Macie tam u siebie obraz Leonarda da Vinci, francuski naukowiec odkrył, że malarz zmieniał zdanie – nie mógł się zdecydować co do kroju sukni i jej koloru, na początku w ogóle nie było tam zwierzęcia, potem pojawiła się łasiczka i dopiero później da Vinci przerobił ją na gronostaja. To bardzo ciekawe. Nigdy nie byłem w Europie, może jeszcze kiedyś pojadę. A na razie twoje zdrowie! *Kampai!*

ATOM

Na pierwszym zdjęciu dwóch mężczyzn siedzi na fotelach obrotowych. Ubrani w drelichowe kurtki z postawionym kołnierzem i kieszeniami na piersi. Nie widać ich twarzy, patrzą na ścianę pełną guzików, lampek, pokręteł i zegarów.

To pokój kontrolny reaktora w elektrowni jądrowej Tsuruga, otwartej w 1970 roku – jednej z trzech pierwszych w Japonii. Mężczyźni uważnie obserwują wskaźniki. W grubych zeszytach zapisują dane.

Wszystko jest pod kontrolą.

Niecałe 14 lat wcześniej, w 1956 roku, 70 procent Japończyków atom kojarzył się z czymś szkodliwym. Nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Nie przekonała ich nawet elektryzująca przemowa Eisenhowera „Atom dla pokoju” z 1953 roku. I choć rząd japoński zainteresował się energią jądrową, a Stany zaoferowały pomoc, to Japończykom nie mijała nuklearna alergja. Zwłaszcza po tym, gdy w 1954 roku, po amerykańskiej detonacji bomby wodorowej na atolu Bikini, pył radioaktywny opadł na kuter rybacki „Daigo Fukuryū Maru”. Japońskich rybaków od centrum wybuchu dzieliło jakieś 180 kilometrów. Od granicy strefy wyznaczonej jako niebezpieczna – 25. Podobne do śniegu białe płatki przykryły całą łódź. Mężczyźni zbierali je dłońmi do toreb na śmieci. Dwa tygodnie później wpłynęli do portu Yaizu na południu Japonii. Mieli mdłości i bóle głowy. Krwawiły im dziąsła, skóra była poparzona. Radiooperator, który na żywo relacjonował zdarzenie, mówił, że widzą coś większego od słońca. Umarł po sześciu miesiącach. Niektórzy w szpitalu spędzili cały rok.

Japończycy byli wściekli. Przeciwno używaniu broni atomowej podpisało się 32 miliony osób. Jedna trzecia społeczeństwa.

Ale rząd japoński chciał współpracować z amerykańskim. Już przeznaczono fundusze na badania, już zobowiązano się do kupna technologii. Pierwszy eksperymentalny reaktor Amerykanie zamierzali wybudować w Hiroszynie.

1 listopada 1955 roku w Tokio kapłani szinto odprawili rytuał *harae*. Oczyszcza on to, co zbrukane i skażone. Tak jak Izanagi po ucieczce z piekła wodą obmył ciało z piekielnego plugastwa, tak kapłani obmyli ręce i twarze, a na ziemi rozsypali sól. Wyrecytowali wersy modlitwy. Drewnianą różdżką, do której przymocowane są

wstęgi białego papieru, oczyścili zebranych. Złożyli ofiary dla kami – ryż i sake.

W ten sposób kapłani powitali powracający do Japonii atom.

Rytuał *harae* rozpoczął trwającą sześć tygodni wystawę w tokijskim parku Hibiya „Atom dla pokoju”. Pokojowy atom produkuje energię, lecz raka, dezynfekuje jedzenie, napędza statki i samoloty. Rozwija naukę, a więc i ludzkość. Nigdy nie zabija. No, chyba że robaki.

Wystawę pokazano jeszcze w siedmiu japońskich miastach. W Hiroszynie w ciągu trzech tygodni odwiedziło ją ponad sto tysięcy ludzi. To prawie pięć tysięcy osób dziennie.

Związane z rządem gazety pisały, że atom dwa tysiące razy obniży wydatki na prąd. I że wreszcie każdy będzie mieć własną elektrownię w domu – uranowe pręty można instalować w piwnicach. W telewizji puszczano serial o sposobach użycia atomu, transmitowano wykłady, a na nowy rok – 1956 – zorganizowano dyskusję na żywo: „Porozmawiajmy o atomie”. Japońskie dzieci oglądały film ze studia Walta Disneya „Nasz przyjaciel Atom”, w którym energia nuklearna to potężny dzin. Spełni on nasze trzy życzenia. Musimy je rozsądnie wybrać, bo moc dzina może być niebezpieczna. Tylko od nas zależy, jak ją wykorzystamy. A więc pierwsze życzenie to prośba o źródło energii, które nigdy się nie wyczerpie. Drugie – oby magiczne promienie przyniosły ludzkości zdrowie. A trzecie? Żeby na świecie panował pokój.

Przekaz był jasny. Energia jądrowa jest czysta, bezpieczna, wydajna i pożyteczna.

W 1958 roku, dwa lata od czasu pierwszej ankiety, atom z czymś szkodliwym kojarzyła już tylko jedna trzecia Japończyków. W 1966 Japonia otworzyła pierwszą elektrownię jądrową – w wiosce Tōkai. Zrezygnowano z pomysłu budowy reaktora obok Hiroszimy – pomimo entuzjazmu dziennikarzy elektrownie stawiano daleko od wielkich miast – tak było bezpieczniej. W 1970 uruchomiono dwie kolejne. I budowano następne. Dzisiaj Japonia ma czterdzieści osiem reaktorów w piętnastu elektrowniach.

Na drugim zdjęciu rury. Wielkie, grube, błyszczące. Co najmniej metr średnicy. I jeszcze wywietrzniki, wiatraki, poręcze, fabryczne lampy, szyby wentylacyjne, betonowe schody. Kadr z perspektywy ziemi, trudno się połapać, gdzie co się zaczyna, a gdzie kończy. To właściwie abstrakcja pełna zakręcających linii. Metal i błysk.

Wnętrze reaktora.

W elektrowni jądrowej prądu wcale nie produkuje uran albo pluton, tylko wielka turbina. W jednym z najpopularniejszych typów reaktora (wodny wrzący) paliwo nuklearne, czyli radioaktywne kapsułki ułożone jedna na drugiej, zamknięte jest w prętach powleczonych stopem aluminium i cyrkonu. Rdzeń reaktora tworzy kilkaset

takich prętów, długich nawet na cztery metry, ustawionych obok siebie. Kiedy uran się rozpada, a reakcja ta zachodzi bez chwili przerwy, produkuje izotopy radioaktywne, które zostają wewnątrz aluminiowych prętów. Ale wytwarza też ciepło: pręty podgrzewają wodę obmywającą rdzeń do 285 stopni. Para wodna rurami przechodzi do sąsiedniego pomieszczenia i wprawia w ruch turbinę. Potem skrapla się w wodę i wraca do rdzenia. Zanim jednak tam wróci, trzeba ją ochłodzić. Używa się do tego kolejnego obiegu wody – rury z reaktora oplatają rury ze zbiornika wodnego. Dlatego elektrownie buduje się nad jeziorami albo nad brzegiem morza. Żeby nigdy nie wyczerpała się woda do chłodzenia (co ważne, woda ze zbiornika zewnętrznego nigdy nie miesza się z tą z reaktora – to są dwa oddzielne obiegi, inaczej promieniowanie mogłoby zbyt łatwo przedostać się na zewnątrz).

Rdzeń chroniony jest metalowym zbiornikiem wytrzymującym wysokie ciśnienie (jego ściany mają nawet dwadzieścia centymetrów grubości) i żelbetową osłoną grubą na dwa metry. Ta ostatnia osłona ma około trzydziestu metrów wysokości i dwudziestu metrów średnicy. Nad nią jest jeszcze budynek reaktora, który zazwyczaj ma siedem pięter – z czego dwa pod ziemią. W środku mieści się cały reaktor razem z żelbetową osłoną, system rur chłodzących, instalacje przeciwpożarowe i szyby wentylacyjne. Jest też głęboki na czternaście metrów basen na zużyte paliwo (zazwyczaj na jednym z górnych pięter), które emituje silne promieniowanie jeszcze przez wiele dziesiątek lat (niektóre izotopy, chociażby uranu, rozkładają się nawet miliard lat – paliwo w basenach przetrzymywane jest tymczasowo, dopóki nie przeniesie się go na składowisko odpadów radioaktywnych). Woda, którą zalewa się zużyte pręty paliwowe, blokuje promieniowanie.

W pokoju kontrolnym obok reaktora siedzą technicy w drelichowych kurtkach i obserwują wskaźniki. Dane zapisują w grubych zeszytach.

Wszystko mają pod kontrolą.

Ale przecież uranu nie wystarczy zamknąć w żelbetowych osłonach i zatrzaskać drzwi. W reaktorze cały czas syczy para, huczy turbina, terkoczą wiatraki. Coś się urywa, coś się obsuwa, coś się zacina. Coś przecieka, coś pęka. Cała ta maszyna wymaga uwagi – konserwowania, wymieniania i sprzątnięcia.

Do wnętrza reaktora codziennie ktoś musi wchodzić.

Przy pierwszym spojrzeniu trudno zrozumieć, co dokładnie dzieje się na trzecim zdjęciu. Z prawej strony pod ścianą stoją urządzenia z gałkami i tarczami mierników, wyglądają jak radiodbiorniki. Klęczy przy nich – tyłem do fotografującego – robotnik z kapturem naciągniętym na głowę. Nad nim stoi dwóch mężczyzn. Na podłodze – wiadra i pudła, na ścianie zegar. Na pierwszym planie mężczyzna, który patrzy

w stronę trzech robotników wychodzących z owalnego tunelu w centrum zdjęcia. Pchają wózek transportowy. Za nimi jest rdzeń reaktora. Wszyscy mężczyźni mają na sobie ochronne kombinezony, rękawiczki, gumowe buciory, kaski, gogle i maski filtrujące powietrze. W kombinezonie temperatura podnosi się do 40 stopni Celsjusza. Gogle zachodzą parą. Maski ogranicza pole widzenia, choć i tak w tym półmroku niewiele widać. Gdy w strefie przejściowej pracownicy zrzucają z siebie kombinezon, toną we własnym pocie i łapczywie wdychają powietrze.

Każda elektrownia potrzebuje codziennie półtora tysiąca pracowników. Sprawdzają rury, czyszczą podłogi, usuwają przeciekającą radioaktywną wodę, spawają nieszczelne zbiorniki, przenoszą odpady nuklearne. Kiedy raz do roku elektrownię wyłącza się na obowiązkowy przegląd, liczba niezbędnych pracowników wzrasta do kilku tysięcy.

Czwarte zdjęcie przedstawia grupę mężczyzn ubranych w drelichowe kurtki i robocze spodnie, choć niektórzy mają zwykłe dżinsy i bojówki. Ciemna skóra, opuchnięte oczy, rozczochrane włosy. Bezdomni, bezrobotni. Rolnicy, rybacy, budowlańcy, kierowcy ciężarówek i byli górnicy, którzy stracili pracę po tym, gdy z węgla przerzucono się na ropę i atom. I jeszcze ci, którzy ciągle są *burakumin* – w czasach Edo uważani byli za skalanych, bo dotykali śmierci (garbarze, rzeźnicy i grabarze). I choć od 1871 roku są równi, to nadal niektóre matki nie wydadzą córki za *burakumin*, którego pradziadek ponad sto lat temu garbował zwierzęce skóry.

Dół drabiny społecznej.

To oni budują potęgę Japonii.

Kuszą ich wysokie dniówki (dziesięć tysięcy jenów, około stu dolarów) za prostą pracę, do której nikt nie wymaga uprawnień czy dyplomów. Czasem tylko dwie godziny dziennie wycierania podłogi szmatą. Czasem osiem godzin naprawiania drobnych usterek. Nie zatrudnia ich właściciel elektrowni, tylko podwykonawcy. Nie mają etatów. Nie należą do związków zawodowych. Nie biorą udziału w przeszkoleniu. Niektórzy w środku reaktora zdejmują maskę i wyłączają dozymetr. Denerwuje ich to pikanie, a maska przeszkadza w pracy.

W elektrowniach jądrowych na etatach jest mniej więcej 700 osób – to głównie inżynierowie i zarząd. Pozostali trafiają do tej pracy przez biura pośrednictwa. Albo z rekrutacji, jak w slumsach w Osace, gdzie codziennie jeszcze przed świtem pojawiają się naganiacze. Na oknach busików wywieszają karteczki: miejsce pracy i dniówka. O tym, czym jest promieniowanie, nikt nie mówi. Roczna dopuszczalna dawka to 50 milisiwertów (i 100 milisiwertów w ciągu pięciu lat)^[6]. Mierzą ją rozdawane pracownikom dozymetry. Czasem taką dawkę można dostać w trzy minuty, czasem w miesiąc, a czasem przez cały rok uda się nie przekroczyć limitu. Przełożenie jest

proste – im dłużej pracujesz, tym więcej zarabiasz. Lepiej więc zaniżyć swoje dawki, bo kiedy osiągniesz limit – zwolnią cię. Przecież nie masz etatu.

Nuklearny odpad.

Ale już następnego dnia możesz zatrudnić się w kolejnej elektrowni jądrowej – tak jakby dawka promieniowania się wyzerowała. Takich ludzi wędrujących od jednej do drugiej elektrowni nazywa się nuklearnymi cyganami. To oni dbają o to, żeby elektrownie jądrowe działały bez usterek.

Na piątym zdjęciu niewiele widać. Tylko czarną, zgrubiałą, opuchniętą skórę. W jednym miejscu duży pieprzyk, naokoło niego krostki. To prawe kolano Kazuyukiego Iwasy, hydraulika z Osaki. W 1971 roku przez dwie i pół godziny pracował w elektrowni jądrowej Tsuruga, tej jednej z pierwszych, zbudowanej w 1970 roku. Na podłodze leżała niebieska płachta. Powiedziano mu, żeby z niej nie schodził i tylko na nią odkładał narzędzia. Pracował blisko rdzenia. Temperatura – 40 stopni. Naokoło kolana pojawiła się czerwona wysypka. Jakby coś go pogryzło. Osiem dni później zrobiły się pęcherze, skóra zmieniła kolor. Dermatolog w Osace powiedział: „To promieniowanie”. Lekarze ze szpitala w Tokio potwierdzili. W 1974 roku Iwasa pozwał właściciela elektrowni, Japan Atomic Power Company, dla którego przepracował dwie i pół godziny swojego życia.

To był pierwszy w Japonii pozew o odszkodowanie w związku z napromieniowaniem podczas pracy w elektrowni. A przecież elektrownie miały być czyste i bezpieczne. Iwasa przegrał sprawę. Uznano, że nie można jednoznacznie stwierdzić, że to promieniowanie było przyczyną choroby – dawka wpisana w dokumenty była zbyt niska. Nie było również dowodu na to, że tego dnia rury i woda w wiadrze były skażone. Odwołał się. I potem znowu. I znowu.

W 1977 roku jego sprawą zainteresował się młody fotograf – Kenji Higuchi. Przez kilka miesięcy wysyłał prośby o pozwolenie na wejście do środka elektrowni Tsuruga. Za każdym razem mu odmawiano. Chciał się zatrudnić jako pracownik, ale pracownikom na teren elektrowni nie wolno wnieść nawet długopisu. Przez tydzień stał pod bramą. Bez rezultatu. W końcu napisał do właściciela elektrowni, że chciałby zrobić zdjęcia, które pokażą, jak firma dba o bezpieczeństwo pracowników.

Dostał zgodę.

W lipcu 1977 roku wszedł do środka. Miał ze sobą trzy aparaty i piętnaście rolek filmu.

Jego zdjęcia z wnętrza reaktora są jednymi z pierwszych na świecie. A to z trzema robotnikami pchającymi wózek transportowy, zrobione – pomimo wyraźnego zakazu –

tuż przy rdzeniu, jest być może jedyne na świecie.

Kolejne zdjęcie to nie zdjęcie, tylko kadr z filmu „Nuklearna Ginza” nakręconego w 1995 roku przez Nicholasa Röhlę dla brytyjskiego Channel 4. Bohaterem jest Kenji Higuchi, który odwiedza pracowników elektrowni jądrowych i slumsy w Osace. W kadrze Kunio Murai trzyma w dłoni sztuczną szczękę.

W elektrowni jądrowej nie pracował zbyt długo. Rolnik z zachodniego wybrzeża Japonii, gdzie zbudowano piętnaście reaktorów jeden za drugim. Łatwiej było o pracę przy sprzątaniu korytarzy w elektrowni niż przy sadzeniu ryżu. Za dwie godziny dziennie dostawał około stu dolarów. Kiedy inni odmawiali wchodzenia do środka reaktora, bo zastanowiło ich, dlaczego wejścia bronią podwójne grube drzwi, Murai w ogóle nie zwracał na to uwagi. Wierzył, że skoro pracuje dla rządowej firmy, może jej ufać.

Tego dnia dostał prostą pracę: w pokoju z turbiną, gdzie biegną setki rur, zrobił się przeciek. Trzeba było wytrzeć podłogę. Razem z kolegą wzięli kubły i ścierki. Założyli gumowe rękawiczki (Murai wspomina, że pomimo zakazu wynoszenia używanych rękawiczek pracownikom głupio było wyrzucać coś, co jeszcze jest przydatne – zabierali je do domu, żony zmywały w nich naczynia). Tego dnia nie dostał maski. Mokre szmaty schowali do plastikowych torebek. Po wyjściu sprawdzono im dozymetry. Na początku igła zawsze pokazuje zero, potem podskakuje do wartości pomiędzy 30 a 50. Tym razem zniknęła na drugim końcu skali. Murai myślał, że urządzenie jest zepsute.

Miesiąc później, kiedy jadł obiad, skruszył mu się ząb. Jeden. Drugi. Trzeci. Kawałeczki zębów wypadały mu z ust. A potem wypadły mu włosy. I spuchły stawy. Można wstawić sztuczną szczękę, można być łysym. Ale Murai stracił siły. Nie mógł podnieść się z łóżka. Stałem się *bura bura*, mówi o sobie. Z zewnątrz wyglądam normalnie, mój własny brat patrzy na mnie i nie rozumie, czemu nie mogę pracować. Leniwy jesteś i tyle. To moja wina, to ja chciałem mieć łatwą pracę za szybkie pieniądze. Nie narzekam. Ale teraz mam 48 lat^[7], a rodzinę musi utrzymywać żona. Ja już nic więcej w życiu nie zrobię. Na to nie ma lekarstwa.

Z elektrowni przyszli z czekiem. Żona Murai zgodziła się na 60 tysięcy dolarów. Nigdy nie wystąpili do sądu o odszkodowanie. Kilka lat później Murai dowiedział się od tego drugiego pracownika, który wszedł z nim wycierać wodę, że dostał 20 tysięcy dolarów. Miał odmawiać zeznań, gdyby Murai pozwał właściciela elektrowni.

Szóste zdjęcie zrobiono w kolorze. Jest 1994 rok. Mężczyzna w beżowej koszuli i czarnej marynarce trzyma w dłoniach kartkę papieru. Za nim krzaki, a na dalszym

planie zbiornik wodny, kwadratowe budynki i silos. To elektrownia jądrowa Tsuruga, a mężczyzna to Kazuyuki Iwasa – pierwszy, który pozwał elektrownię jądrową o odszkodowanie. Papier w jego dłoniach to ugoda, do której podpisania został zmuszony po szesnastu latach walki w sądzie. W trzech ratach dostał sześć milionów jenów (pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów). Musiał wycofać pozew.

Kiedy w 1971 roku wszedł na dwie i pół godziny do elektrowni, miał 48 lat. Umarł 11 października 2000 roku. Oficjalna przyczyna zgonu? Niewydolność oddechowa. Iwasa chorował na raka.

BUM!

11 marca 2011 roku. Godzina 15.27

Masao Yoshida, dyrektor elektrowni Fukushima Daiichi, nie widział pierwszej fali rozbijającej się o falochron. Wysoki barczysty mężczyzna z krótkimi włosami zaczesanymi na prawą stronę, w drucianych oprawkach na nosie, na zdjęciach zawsze ma sympatyczny uśmiech. Ale tym razem się nie uśmiechał. Wydawał tylko krótkie polecenia. Przez 41 minut, które minęły od trzęsienia ziemi, z terenu elektrowni wyjechało ponad pięć i pół tysiąca ludzi. Nawet po trzęsieniu ziemi obowiązywały procedury bezpieczeństwa: każdy pracownik musiał przejść przez bramkę i oddać strażnikom osobisty dozometr.

Zgodnie z planem działania w sytuacjach kryzysowych (ćwiczonym niecały tydzień wcześniej) na terenie elektrowni zostało 700 osób. Prawie wszyscy schowali się w ukończonym niedawno budynku przeciwstrząsowym. Położony na wzgórzu, tuż za głównym biurem. Wzmocniony, wyposażony w specjalne filtry, z własnymi generatorami prądu i z oddzielną linią łączącą z siedzibą właściciela elektrowni – Tokyo Electric Power Company (TEPCO). Na drugim piętrze – w pokoju z zielonymi ścianami, stołem konferencyjnym i rzędem ekranów – Masao Yoshida zbierał informacje o tym, co dzieje się na terenie elektrowni.

Elektrownię jądrową Fukushima Daiichi (Fukushima numer 1) uruchomiono w 1971 roku. Zbudowana nad brzegiem morza, na terenie dawnej bazy lotniczej, w której w czasie wojny kamikadze ćwiczyli loty bojowe. Na wzgórzu stały biura i centrum dla gości, a nawet boisko sportowe. W dole, dziesięć metrów nad poziomem morza – reaktory razem z pokojami kontrolnymi i budynkami turbin. Grunt specjalnie obniżono, żeby reaktory stały na granitowej skale i żeby było bliżej do oceanu, z którego bezpośrednio czerpano wodę do chłodzenia rdzeni. Jeszcze niżej, cztery metry nad poziomem morza, ustawiono zapasowe pompy do wody morskiej i cysterny z ropą.

Tego dnia działały trzy z sześciu reaktorów Fukushimy Daiichi – numer 1, numer 2 i numer 3. Numer 5 i numer 6 wyłączono z powodu rutynowego przeglądu. Numer 4 był w naprawie. Na jej czas wyjęto pręty paliwowe z rdzenia reaktora i przełożono je do basenu na zużyte paliwo na górnym piętrze budynku.

Podczas trzęsienia w pokoju kontrolnym dla reaktora numer 1 i numer 2, bunkrze bez okien położonym między budynkami reaktorów a budynkami z turbiną,

przebywało czternastu techników. Wstrząsy rzuciły ich na kolana. Pomieszczenie wypełniał grzechot uderzających o siebie rur. Do tego piszczący dźwięk alarmu i zgrzyt metalu. Ale mężczyźni nie zwracali na to wszystko uwagi. Patrzyli tylko, czy zmienia się kolor lampek na jednym z paneli – gdy wszystkie rozbłyły na czerwono, odetchnęli z ulgą. Reaktor numer 1 i numer 2 wyłączyły się automatycznie. Pomiedzy pręty paliwowe wsunęły się pręty kontrolne i awaryjne. W ciągu kilku sekund reakcja rozszczepienia została zatrzymana. Fachowo nazywa się to scram.

Ziemia ciągle się trzęsła, kiedy technicy usłyszeli nowy alarm, denerwujące: *pi pi pi pi. Pi pi pi pi*. Zamigotały światła na panelach kontrolnych. Zgasły górne lampy.

Elektrownia straciła zasilanie zewnętrzne. Trzęsienie zniszczyło sieć elektryczną zapewniającą Fukushima Daiichi prąd.

Od razu rozległ się hałas – odpaliły się generatory prądu. Olbrzymie maszyny wielkości lokomotywy, z silnikami Diesla, większość umieszczona w podziemiach budynków reaktorów. W pokoju kontrolnym na nowo rozbłyły światła. Nieprzerwanie działały pompy dostarczające wodę do chłodzenia prętów w rdzeniu prosto z oceanu (słona woda nie wchodziła bezpośrednio do reaktora – doszłoby do korozji stali i reaktor byłby bezużyteczny; dlatego rury z wodą z reaktora i rury z wodą z oceanu oplatały się w dwóch obiegach zamkniętych). Zatrzasnęła się pokrywa w rurach prowadzących parę wodną od reaktora do turbiny. Rdzeń został odcięty od świata zewnętrznego. Uruchomił się awaryjny system chłodzenia i kontrolowania ciśnienia.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Wtedy rozległ się kolejny alarm: nadchodzi tsunami. Będzie miało sześć metrów. Technikom nawet nie przyszło do głowy, żeby wyjść na zewnątrz. Zostali w pokoju kontrolnym obserwować dane napływające z reaktorów.

11 marca. Godzina 15.35

Yoshida nie widział pierwszej fali, która rozbiła się o dziesięciometrowy falochron. Nie widział również, jak o 15.35 druga fala, wysoka na prawie piętnaście metrów, burzy mury ochronne i niesie ich części w stronę budynków reaktorów. Zniszczyła pompy tłoczące wodę z oceanu niezbędną do chłodzenia rdzenia. Wpłynęła do piwnic przez otwory wentylacyjne. Podniosła się na cztery i pół metra i wycofała w stronę Pacyfiku.

Do pokoju z zielonymi ścianami, w którym siedział Yoshida, wbiegali pracownicy odbierający raporty z terenu elektrowni.

- Tsunami zabrało zbiorniki z zapasowym paliwem!
- Woda podrzuca zaparkowane przed reaktorami ciężarówki i obija je o budynki

reaktorów!

- Zalało rozdzielnie prądu stałego!
- Zalało zapasowe akumulatory pokoju kontrolnego reaktorów numer 1 i numer 2!
- Zalało dwanaście generatorów!
- *Station blackout!*

W pokoju kontrolnym reaktorów numer 1 i numer 2 czternastu mężczyzn, którzy przez ostatnie 40 minut przekrzykiwali hałas generatorów, nagle zamilkło ze zdziwienia. Ucichł huk maszyn. Wyłączył się drażniący uszy alarm. Zgasło górne światło. W ciszy patrzyli, jak znikają kolejne wskaźniki na tablicach rozdzielczych. Po minucie w pokoju świeciły tylko zielone znaki wskazujące wyjście awaryjne.

Była 15.37.

Sięgnięto po instrukcje na wypadek sytuacji kryzysowych.

Ale żadne instrukcje nie opisywały długotrwałej utraty prądu w całej elektrowni jądrowej. Po to były przygotowane generatory prądu. Po to były przygotowane akumulatory awaryjne, które też zalała woda. W ostateczności można było wysłać ciężarówki generatory. Ale nikt nie przewidział, że drogi zniszczone trzęsieniem ziemi i tsunami będą nieprzejezdne.

11 marca. Godzina 15.40

Kiedy reaktory numer 1, numer 2 i numer 3 tuż po trzęsieniu ziemi wyłączyły się automatycznie, nadal produkowały niewielki procent ciepła. Wystarczający, żeby rozgrzać rdzeń prawie do trzech tysięcy stopni Celsjusza. Po scramie niezbędne było chłodzenie. Teoretycznie systemy chłodnicze powinny funkcjonować bez prądu, napędzane parą, w którą zamieniała się podgrzewana woda. Ale bez możliwości odczytania wskaźników nikt nie był pewien, czy te awaryjne systemy zadziałały.

Jeśli paliwo zbyt szybko się rozgrzeje – stopi się. Wtedy cyrkon, który buduje pręt paliwowy, wejdzie w reakcję z parą wodną i stworzy łatwopalny wodór. Wystarczy byle iskra, żeby reaktor wysadzić w powietrze i roznieść radioaktywne cząstki po całej okolicy. A może nawet po całej Japonii. Przecież po wybuchu reaktora w Czarnobylu chmura dotarła aż do Szkocji. Trzy tysiące kilometrów. To więcej niż z południa Kiusiu na samą północ Hokkaido.

Każdy, kto przebywał na terenie Fukushima Daiichi, wiedział jedno: nie można przerwać chłodzenia reaktorów.

Masao Yoshida zmiął w palcach papierosa. Decyzja była błyskawiczna. Do chłodzenia reaktorów użyje systemu przeciwpożarowego. Wewnątrz każdego budynku reaktora stoi pompa z własnym silnikiem Diesla, a od niej biegnie system rur prowadzący przez osłonę do rdzenia. Choć służy do gaszenia pożarów, to jeśli

pompy działały i jeśli uda się podłączyć donich wozy strażackie – do rdzenia dostanie się woda.

Yoshida połączył się z centrum kryzysowym TEPCO w Tokio.

– Potrzebuję wozów strażackich. I generatorów prądu.

11 marca. Po szesnastej

Zgodnie z prawem TEPCO poinformowało już rząd japoński o sytuacji w elektrowni. Premier Naoto Kan organizował własny sztab kryzysowy, w którego skład wchodził przedstawiciele agencji nuklearnych i ministerstw związanych z energetyką jądrową. Przez najbliższe dni sztaby kryzysowe – w Tokio i na terenie elektrowni – komunikowały się ze sobą. Nie zawsze z sukcesem.

Po szesnastej o problemach w Fukushima poinformowano Międzynarodową Agencję Energii Atomowej.

11 marca. Wieczór

Priorytetem stało się ustalenie, czy działają awaryjne systemy chłodzenia reaktora numer 1 i numer 2 (w pokoju kontrolnym reaktora numer 3 działały zapasowe akumulatory, wskaźniki pokazywały stabilną sytuację). Yoshida, z niezapalonym papierosem w dłoni, kazał pracownikom znaleźć samochody, których nie zniszczyło tsunami, i wyjąć z nich akumulatory. Gdyby udało się je podłączyć do urządzeń pomiarowych, wiedzieliby, na czym stoją.

Przed osiemnastą dwóch techników z pokoju kontrolnego poszło pod podwójne drzwi reaktora – mieli wejść do środka i uruchomić pompę od systemu przeciwpożarowego. Ich dozymetry zaczęły piszczeć. Musieli wrócić po ochronne kombinezony i maski.

O 19.03 premier Kan zarządził pierwszą ewakuację – w promieniu dwóch kilometrów od elektrowni.

Około ósmej wieczorem przywrócono prąd w pokoju kontrolnym reaktora numer 1 i numer 2. Pierwsze odczyty zebrano po dziewiątej wieczorem. Ale dopiero o jedenastej uruchomiono wskaźniki ciśnienia. To wtedy okazało się, że ciśnienie w reaktorze numer 1 już dawno przekroczyło dopuszczalne maksimum.

Poziom promieniowania wzrastał.

– Czy mam podawać jod?! – krzyczał Yoshida do słuchawki. – Tak czy nie?!

W Tokio, 250 kilometrów na południe, nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

– Zdecydowaliśmy, żeby podawać jod tym poniżej czterdziestki – Yoshida walił pięścią w stół – słyszycie mnie?! Czy możecie to przyklepać?! Zdecydujcie się wreszcie! Tracimy czas!

Ale ludzie w głównej siedzibie woleli skonsultować się ze sztabem premiera i Agencją Bezpieczeństwa Nuklearnego. W ten sposób decyzje, o które prosił Yoshida, przeciągały się w nieskończoność.

– Idioci – skrzywił się Yoshida, a jego przyjaciel Hikita (jeden z menedżerów) na leżącej przed nim kartce postawił kreskę. Robił tak za każdym razem, kiedy dyrektor Fukushima Daiichi przeklinał. Kartka zapełniała się coraz szybciej.

11 marca. 23.58

Wiedziano, że trzeba zrobić trzy rzeczy.

Podłączyć reaktory do prądu.

Dostarczyć wodę do reaktora numer 1.

Zmniejszyć ciśnienie w środku żelbetowej osłony reaktora numer 1.

12 marca. 2.33

Z trzech wozów strażackich, które znajdowały się w elektrowni, tsunami zabrało jeden. Drugi stał pod reaktorem numer 6, w innej części elektrowni – droga była nieprzejezdna. Został tylko jeden wóz strażacki, którym – w normalnej sytuacji – operowałiby strażacy przysłani przez podwykonawcę. Pracownicy TEPCO nie byli przeszkoleni w ich używaniu.

Sięgnęli po instrukcje.

Pracowali po ciemku. Obok reaktora, w którym zaczął topić się rdzeń. Wśród fragmentów rozwalonych budynków. Na drogach, w których popękał asfalt, tworząc głębokie szczeliny, pomiędzy poprzewracanymi przez falę cysternami. Wszystko śliskie było od szlamu, mężczyźni potykali się o martwe ryby. Niektóre miały nawet pół metra. W ciągu tej nocy ziemia trzęsła się jeszcze 21 razy. Kilkakrotnie ostrzegano przed tsunami. Za każdym razem uciekali do położonego wyżej budynku przeciwstrząsowego.

Koło czwartej nad ranem udało im się podłączyć wąż z wozu strażackiego do pompy wewnątrz reaktora. Wreszcie do środka płynęła woda. Niestety z różnym skutkiem. Wóz strażacki nie był przystosowany do chłodzenia pomieszczenia z wysokim ciśnieniem. Nie był także podłączony do cysterny z wodą. Za każdym razem, kiedy się kończyła, trzeba było jechać do położonego wyżej zbiornika. Dopiero nad ranem dojechały dwa wozy strażackie z miast Fukushima i Kōriyama. Utworzyły ciąg, który pozwalał na nieprzerwane wtłaczanie wody do reaktora.

W nocy przyjechały również ciężarówki generatory przysłane przez TEPCO. Nie mogły podjechać blisko reaktorów. Drogę w dół zatarasowała wielka cysterna na ropę. Pracownicy znaleźli niezalaną rozdzielnię prądu stałego przy reaktorze numer 2. Jeszcze

przed wschodem słońca czterdziestu mężczyzn zaczęło łączyć ze sobą dziesiątki kabli. Każdy kabel miał dwieście metrów długości. I każdy ważył tonę.

Kolejna ekipa zajmowała się obniżeniem ciśnienia w zbiorniku z rdzeniem. Musieli wypuścić nagromadzoną wokół rdzenia parę wodną do budynku reaktora (skąd kominem wydostałaby się na zewnątrz). Wiązało się z to uwolnieniem promieniowania do atmosfery. Ale alternatywą był wybuch reaktora. Nikt nie wiedział, w jakim stopniu stopił się rdzeń i ile w gromadzącej się parze wodnej jest substancji radioaktywnych.

Jeszcze przed północą dla wszystkich stało się jasne, że trzeba wejść do środka i ręcznie odkręcić zawory blokujące parę w osłonie rdzenia. W instrukcjach nie było informacji, jak to zrobić. Potrzebowano planów budynku, żeby ustalić, w którym dokładnie miejscu reaktora znajdują się dwa konieczne do otworzenia zawory. Plany leżały gdzieś na podłodze biura, w którym trzęsienie ziemi zawaliło sufit i wysypało dokumenty z szafek.

Zanim pierwsza para pracowników weszła do budynku reaktora numer 1, minęło ponad dziewięć godzin.

O 5.44 rano premier Naoto Kan zarządził ewakuację w promieniu dziewięciu kilometrów od elektrowni.

12 marca. Koło siódmej rano

Kiedy nad ranem premier Japonii dowiedział się, że jeszcze nie rozpoczęto wentylacji, wsiadł w helikopter. O 7.11 wylądował w elektrowni. Yoshida był wściekły. Z kwatery głównej dzwonili, każąc dostarczyć maski przeciwgazowe i skafandry ochronne dla premiera i jego towarzyszy, a dyrektorowi elektrowni zaczynało brakować wszystkiego. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził do budynku przeciwwstrząsowego, musiał zdejmować wierzchnie okrycie, mierzyć poziom promieniowania i zmieniać buty. Kiedy wychodził na zewnątrz, dostawał nowy zestaw.

– Niech weźmie coś ze sobą z Tokio, przecież macie tam pełen zapas! – krzyknął do słuchawki. A do przyjaciela mruknął: – Idioci.

Premier nie założył żadnego skafandra, tylko prosto z helikoptera wsiadł w autobus, który podwiózł go pod centrum dowodzenia kryzysowego. Nie pozwolił zmierzyć poziomu promieniowania: „Nie po to tu przyjechałem” – warknął. Zmienił tylko buty i wbiegł na górę spotkać się z Yoshidą.

– Czemu jeszcze nie zaczęliście wentylacji? Co się dzieje?

Yoshida, bez cienia sympatycznego uśmiechu ze zdjęć, zapewnił premiera, że opracowują plan i że samobójcza misja zacznie się o dziewiątej.

Uspokojony Naoto Kan wrócił do Tokio.

O 9.02 Yoshida dostał informację, że zakończyła się ewakuacja ludzi w promieniu dziesięciu kilometrów od elektrowni. Można było wypuścić napromieniowaną parę w powietrze.

12 marca. 9.04

W pokoju kontrolnym dwóch techników, którzy zgłosili się jako wolontariusze, połknęło tabletki z jodem. Założyli srebrne skafandry, zbiorniki z tlenem na plecy i pełne maski na twarz. Na szyi zawiesili dozymetry. Wzięli ze sobą latarki i wielkie klucze. Zapas powietrza miał im starczyć na dwadzieścia minut. Szli przez ciemny budynek, oświetlając drogę latarkami. Plany pokazywały, że na piętrze reaktora znajduje się wajcha otwierająca górny zawór. Trzeba było przekręcić ją kilkadziesiąt razy. Udało im się otworzyć zawór w jednej czwartej. To wystarczyło. W środku byli jedenaście minut. Ich dozymetry wskazywały, że w ciągu tego czasu dostali dawkę promieniowania równą 25 milisiwertom. Połowę rocznej dawki w normalnych warunkach pracy. W sytuacji kryzysowej dozwolona dawka to 100 milisiwertów.

Kolejnych dwóch wolontariuszy założyło skafandry ochronne. Mężczyźni mieli otworzyć zawór w piwnicy, a nie na górnym piętrze. Nie udało im się nawet do niego dojść. Spędzili w środku reaktora sześć minut i musieli się wycofać. Dozymetry pokazały, że jeden z nich dostał 80, a drugi 90 milisiwertów.

Akcję trzeba było przerwać.

12 marca. 15.31

Przez resztę dnia zawory próbowano otworzyć strumieniami powietrza pod ciśnieniem. Wyglądało na to, że o 14.50 ciśnienie wreszcie znacząco spadło.

O 15.30 kończono kładzenie kabli do reaktora numer 2. Za chwilę miał się pojawić prąd. Reaktor numer 1 był chłodzony z wozów strażackich i choć chwilę przed piętnastą skończyła się słodka woda, to Yoshida zdecydował o korzystaniu z wody słonej. Znaczyło to, że reaktor już nigdy nie będzie używany. Kto by się tym przejmował? Na pewno nie Yoshida. Pracownicy pociągnęli węże z wozów strażackich w stronę kanału na tyłach budynku z turbiną przy reaktorze numer 3. W głębokim dole została woda po tsunami.

Ale było już za późno. Zbiornik osłaniający topiący się rdzeń pełen był białej pary wodnej. I wodoru. Wystarczyła iskra.

12 marca. 15.36

W pokoju kontrolnym, tym bunkrze bez okien, w którym technicy sprawdzali

pomiary, przyzwyczajono się już do wstrząsów wtórnych. Ale ten wstrząs był inny. Wszystkich aż podrzuciło do góry. Z sufitu spadły lampy i roztrzaskały się z brzękiem o ziemię.

Yoshida też poczuł wstrząs, choć budynek przeciwwstrząsowy, z pokojem z zielonymi ścianami, w którym siedział od 24 godzin, był położony 400 metrów od reaktorów.

Cztery minuty później Yoshida na ekranie telewizora oglądał, wybuch budynku reaktora numer 1. Zawaliły się dach i ściany piątego piętra. Nad szkieletem unosił się biały dym.

Odłamki zabiły pięć osób. Uszkodziły dwustumetrowe kable. Rozerwały węże strażackie pociągnięte w stronę dołu z wodą morską.

12 marca. 15.41

W centrum kryzysowym elektrowni Fukushima Daiichi powtarzano: *oshimai da*. To koniec.

12 marca. 18.30

Premier Kan zwiększył obszar ewakuacji do 20 kilometrów. Musieli wyjechać wszyscy mieszkańcy Ōkumy, Futaby, Tomioki, Namie i Narahy a także część mieszkańców Minamisōmy (z Odaki), Tamury, Kawauchi, Kawamaty i Katsurao. Ci, którzy mieszkali na wybrzeżu, zostawili za sobą zniszczone przez tsunami domy.

Odwołano wszystkie akcje ratunkowe. Strażacy i nie-żołnierze też musieli się ewakuować.

12 marca. Po siódmej

Wszystko wskazywało na to, że wybuch zniszczył budynek reaktora, ale nie betonową osłonę. Choć rdzeń się topił, to nadal był w środku żelbetowej obudowy. I nadal trzeba było go chłodzić. Inaczej mógłby przetopić się przez osłonę i wniknąć do ziemi – a razem z nim pluton i uran. Choć nikt nie brał na poważnie scenariusza filmu z 1979 roku „Chiński syndrom” z Jane Fondą, Jackiem Lemmonem i Michaeliem Douglasem (stopione paliwo ze Stanów miało przetopić się do Chin), to słowa „chiński syndrom” powtarzano w ciągu tych kilku dni wielokrotnie.

Z TEPCO zadzwoniono do Yoshidy z rozkazem:

- Należy wstrzymać polewanie reaktorów słoną wodą, aż rząd podejmie decyzję.
- Rozumiem – powiedział Yoshida, międląc papierosa. Rozłączył się i spojrzał na pracowników zebranych w kwaterze głównej.
- Kontynuujcie polewanie.

Hikita postawił kilka nowych kresiek.

13 marca. Po południu

Po wybuchu reaktora numer 1 problemy zaczęły się w reaktorze numer 3. Już wcześniej wyczerpały się akumulatory niezbędne do zasilania awaryjnego, w dodatku przestał działać awaryjny system chłodzenia. Ciśnienie wzrastało. 13 marca przez cały dzień coraz bardziej zmęczeni pracownicy próbowali otworzyć odpowiednie zawory. Nie wchodzili do środka. Do kontrolki podłączyli akumulatory z samochodów i próbowali zdalnie odkręcić zawory. Ciśnienie spadało i za chwilę znowu się podnosiło. Zabawa w kotka i myszkę trwała do 14 marca rano.

Pojawiały się kolejne problemy. W jednym z wozów strażackich skończyło się paliwo. Pracownicy nie wiedzieli, jak je uzupełnić. Musieli sprawdzić instrukcje. Jedna z ciężarówek wiozących ropę z innego miasta złapała gumę. Drobiazgi, które nabierały znaczenia. W tych dniach granica pomiędzy życiem a śmiercią była cienka jak papier – *giri giri*. Ledwo co.

Yoshida od dwóch dni nie wstawał z krzesła. Kiedy nad ranem ciśnienie w reaktorze numer 3 znowu niebezpiecznie wzrosło, zarządził tymczasową ewakuację pracowników, którzy kładli kable i polewali reaktory wodą.

Yoshida wspomina, że kiedy widział pracowników wracających do kwatery głównej, myślał o jednej linijce z „Sutry lotosu”, najważniejszego tekstu buddyzmu tendai. Na wezwanie Buddy spod ziemi wychodzą oświeceni bodhisattwowie, po to by ocalić świat. To właśnie byli jego pracownicy – brudni, przepoceni, rozczochrani, z popiołem we włosach i rzadkim zarostem. Cali w radioaktywnym pyłe. Zbawiciele świata.

Kiedy uznał, że niebezpieczeństwo zmałało, Yoshida wysłał ich z powrotem na pole walki, jak już nazywano teren naokoło reaktorów.

14 marca. 11.01

Reaktor numer 3 wybuchł o 11.01, niszcząc kolejne kable i węże wozów strażackich. Radioaktywne szczątki dachu wylądowały w zagłębieniu, z którego czerpano wodę morską do chłodzenia reaktora numer 1 i numer 3.

Kiedy Yoshida rozkazywał pracownikom wyjść na zewnątrz, uprzątnąć gruz z nowego wybuchu i kontynuować polewanie, ukłonił im się nisko i zmęczonym głosem powiedział: – Przepraszam.

Potem zadzwonił do kwatery głównej.

– Zrobimy, czego się od nas wymaga, ale pracownicy są w szoku. Mamy dużo pracy, do tego wysoki poziom promieniowania, ludzie robią się nerwowi. Proszę, weźcie to pod uwagę.

– Rozważamy przysłanie dziesięciu dodatkowych osób, o które pan prosił. Wiemy, że sytuacja jest trudna i wszyscy pracujecie bardzo ciężko. Wytrzymajcie jeszcze trochę. *Ganbare!*

Tym razem Hikita nie postawił na kartce żadnej kreski. Yoshida nie miał już nawet siły przeklinać.

14 marca. 23.51

Każdy kolejny wybuch niszczył to, co z takim wysiłkiem pracownicy robili od czasu, kiedy zatrzęsa się ziemia.

Na śniadanie dostawali po 30 ciasteczek. Na obiad – jedzenie z puszki albo ryż z folii. Na dzień każdemu przysługiwało pół litra wody. Pracowali na zmianę. Ci, którzy mieli przerwę, kładli się tak, jak stali, na podłodze w centrum kryzysowym.

Przez cały 14 marca, po wybuchu reaktora numer 3, walczone o to, żeby woda dostała się do reaktora numer 2, w którym przestało działać awaryjne chłodzenie. Systemy kontrolne pokazywały, że wzrasta tam ciśnienie, a działający do tej pory awaryjny system chłodzenia wyłączył się.

W pewnym momencie Yoshida podniósł się z krzesła. Usiadł na ziemi, oparł plecy o biurko. Skrzyżował nogi, pochylił głowę. Później mówił, że był przekonany, że zginą. Zawierzył wszystko Buddzie i bogom. Poszedł na papierosa do palarni. W środku było gęsto od dymu. Częstoował pracowników ze swojej paczki.

Jeszcze 14 marca rząd podjął decyzję o zwiększeniu rocznej dawki promieniowania dla pracowników elektrowni ze 100 do 250 milisiwertów, wzorując się na dawce amerykańskiej – dopuszczalnej, kiedy działania pracownika ratują życie większej populacji.

15 marca. Koło szóstej rano

Yoshida dostał dwie informacje: ciśnienie w reaktorze numer 2 spadło do zera. To pierwsza. A druga: usłyszano słaby odgłos wybuchu.

Podjął decyzję. Na miejscu zostaje tylko sześćdziesięciu dziewięciu pracowników – technicy niezbędni do odczytu wskaźników, polewania reaktorów wodą, napełniania wozów strażackich paliwem i łączenia kabli po to, żeby przywrócić prąd. Reszta ma się tymczasowo ewakuować.

Ponad 600 osób pojechało 16 kilometrów na południe do elektrowni Fukushima Daini (Fukushima numer 2), w której dopiero co udało się opanować trzy z czterech reaktorów. Tam też tsunami odcięło prąd, ale na szczęście została jedna linia elektryczna i jeden generator prądu – pracownicy przez dwa dni układali kable, które podłączyli do reaktorów, i 14 marca po południu przywrócili system chłodzenia.

15 marca. Chwilę po siódmej

W Fukushima Daiichi zrobiło się pusto. Sześćdziesięciu dziewięciu mężczyzn patrzyło po sobie. Yoshida zapytał:

– Nie zjedlibyście czegoś?

Wywrócili szafki do góry nogami. Krakersy, woda i tabletki z jodem.

– Super, umieram z głodu. Zjem wszystko.

15 marca. Koło ósmej

Dopiero pół godziny później Yoshida dowiedział się, że odgłos wybuchu pochodził z reaktora numer 4. A przecież w jego rdzeniu nawet nie było paliwa. Wszystkie pręty przeniesiono na czas remontu do basenu ze zużyтым paliwem. Przez ostatnie 72 godziny nikt się nim nie zajmował, nie stanowił zagrożenia. A tu nagle wybuch! Założono, że to albo trzęsienie uszkodziło basen ze zużyтым paliwem, albo przestał działać system chłodzący. Znaczyłoby to, że woda wycieka bądź wyparowuje, odsłaniając radioaktywne pręty. Nikt nie był w stanie ocenić, jaka ilość radioaktywnego cezu dostałaby się do powietrza, gdyby w basenie opróżnionym z wody wybuchł pożar. Ale wszyscy wiedzieli, że jeśli rzeczywiście pręty zostały odsłonięte, to o pożar bardzo łatwo. W dodatku wybuch usunął jedyną barierę pomiędzy basenem a światem zewnętrznym – dach budynku reaktora.

Dopiero dużo później, kiedy sytuacja w elektrowni się ustabilizowała, zrozumiano, że to nie pręty paliwowe spowodowały eksplozję, tylko wodór z reaktora numer 3, który przeszedł wspólnym system wentylacyjnym do reaktora numer 4. Ale w marcu jeszcze tego nie wiadomo.

15 marca. 8.25

Z reaktora numer 2 zaczął unosić się biały dym. Dwadzieścia minut później był to już nie tylko dym, lecz także para wodna. O dziewiątej rano przy głównej bramie do Fukushimy Daiichi zanotowano promieniowanie w wysokości 11 milisiwertów na godzinę.

Premier Naoto Kan doradził obywatelom mieszkającym w pasie od 20. do 30. kilometra od elektrowni nie wychodzić z domów.

Reaktor numer 2 bez przerwy polewano wodą. Wyglądało na to, że zażegnano najgorszy scenariusz – przetopienia się paliwa przez wszystkie osłony. Promieniowanie zaczęło spadać. Po południu przy bramie wyjazdowej obniżyło się do poziomu 0,2 milisiwerta na godzinę.

Yoshida zadzwonił do Fukushimy Daiichi: – Potrzebujemy więcej ludzi.

Pracownicy, którzy opuścili elektrownię 15 marca rano, zaczęli wracać tego samego

dnia wieczorem. Po wybuchach trzeba było odgruzować drogi naokoło reaktorów. Ktoś musiał jeździć na granicę ewakuowanej strefy – kierowcy z Tokio i okolic dowozili niezbędne paliwo, ale nie wjeżdżali samochodami do środka. Porzucali kanistry, cysterny i zbiorniki 20 kilometrów od elektrowni. Tam też zostawiali niezbędne w Fukushima Daiichi wozy strażackie.

16 marca

Nad elektrownią przeleciał helikopter Japońskich Sił Samoobrony z jednym z pracowników elektrowni na pokładzie, który zrobił reaktorom zdjęcia od góry. Na ich podstawie oceniono, że woda w basenie reaktora numer 4 nie wyparowała. Ale nad reaktorem numer 3 unosiła się para wodna, która zasłaniała basen. Dopiero 17 marca udało się zrzucić na reaktor numer 3 wodę z helikopterów. Nie-żołnierze ubrani w specjalne skafandry z ołowiu (każdy ważył co najmniej 20 kilogramów) wykonali w sumie cztery loty. Za każdym razem zrzucili na reaktor po siedem i pół tony wody morskiej.

Co nic nie dało, bo woda – zrzucana z wysokości dziewięćdziesięciu metrów – rozpryskiwała się po całym terenie.

– Jakby cykada się posikała – skomentował to później Yoshida.

20 marca w końcu pojawiły się wozy strażackie, które mogły pompować do reaktorów wodę pod dużym ciśnieniem. Podłączono je bezpośrednio do Pacyfiku. Dwa dni później przysłano pompy do betonu, którym długie ramiona wysięgnika pozwalały na polewanie reaktorów z góry. Pompy nie tłoczyły betonu, jak w Czarnobylu, tylko wodę. Tego samego dnia udało się na stałe przywrócić zasilanie w kontrolce reaktora numer 3 i numer 4. 21 marca zasilanie pojawiło się w kontrolce reaktora numer 1 i numer 2. To wtedy przy brzegu zacumował statek „Kaiō Maru”. Marynarze zaprosili pracowników elektrowni na pokład. Pierwszy raz od dziesięciu dni mogli wziąć prysznic i zjeść coś ciepłego. Dostali kurczaka w sosie *teriyaki*.

Grudzień 2011

Pod koniec marca było wiadomo, że temperatura rdzeni się stabilizuje. Ale w pełni stabilną sytuację osiągnięto dopiero w grudniu 2011 roku.

Rdzeń reaktora numer 1 stopił się.

Rdzeń reaktora numer 2 stopił się.

Rdzeń reaktora numer 3 stopił się.

Wszystkie stopione rdzenie pozostały jednak w środku budynków reaktora.

Nikt nie wiedział gdzie.

Choć do atmosfery przedostało się zaledwie dziesięć procent tego, co podczas katastrofy w Czarnobylu, katastrofa w Fukushima dostała ten sam, najwyższy, stopień w międzynarodowej skali zdarzeń jądrowych i radiologicznych (INES). Siódmy.

W wywiadach udzielanych później gazetom były już premier Naoto Kan powiedział, że opracowywał plan ewakuacji Tokio. Największej metropolii świata. Mieszka w niej 35 milionów ludzi.

Pod koniec listopada 2012 roku u Masao Yoshidy zdiagnozowano raka przełyku. 1 grudnia zrezygnował ze stanowiska dyrektora elektrowni. 9 grudnia przyjechał do centrum kryzysowego w Fukushima Daiichi.

– Rak nie ma związku z tym, co się tutaj działo, moja dawka nie przekroczyła 80 milisiwertów – powiedział Yoshida. – Poza tym rak przełyku rozwija się dłużej niż półtora roku. To raczej przez palenie, powinno się tego zakazać w tym budynku. Miałem już pierwszą rundę chemioterapii i patrzcie, nie wypadł mi ani jeden włos. Ciągle mam ich więcej niż nasz szef do spraw ogólnych – Yoshida wskazał palcem na łysiejącego mężczyznę, który stał w pierwszym rzędzie. – Będzie coraz zimniej, nie przeziębicie się. Wróć do was w kwietniu.

– *Ganbare*, Yoshida san! – krzyknęli pracownicy elektrowni.

Masao Yoshida zmarł 9 lipca 2013 roku.

KAMI

– Czy jesteście pewni – pyta mnich Kaneta – że opanowanie sytuacji w Fukushima Daiichi to zwycięstwo technologii, a nie sygnał ostrzegawczy?

Bo z mojej perspektywy wygląda to tak:

Kami zniszczyły reaktor numer 1.

Kami zniszczyły reaktor numer 2.

Kami zniszczyły reaktor numer 3.

Kami ocaliły reaktor numer 4. To w nim było najwięcej paliwa. Gdyby wybuchł, może zniszczyłby całą Japonię.

Kami pytają: „I co teraz zrobicie?”

PRZYSZŁOŚĆ

Po stabilizacji elektrowni nadszedł czas na plan.

Faza pierwsza będzie trwać do momentu, kiedy rozpocznie się usuwanie zużytego paliwa z basenów umieszczonych na górnych piętrach reaktorów (dwa lata). Zakończyła się w 2013 roku.

Faza druga będzie trwać do momentu, kiedy rozpocznie się usuwanie szczątków stopionego paliwa (dziesięć lat).

Faza trzecia będzie trwać aż do zakończenia rozbiórki elektrowni (trzydzieści, może czterdzieści lat).

– Nie wykluczam, że za czterdzieści lat będzie tutaj nadmorski park – mówi Akira Ono, dyrektor elektrowni Fukushima Daiichi. – Ale na razie nie istnieją na świecie technologie, które umożliwiłyby usunięcie stopionego paliwa jądrowego. To nic, my je wymyślimy. Czterdzieści lat temu nie wyobrażaliśmy sobie, że będziemy kontaktować się z kimś, kto jest od nas oddalony o setki kilometrów, za pomocą urządzenia, które mieści się w kieszeni. Jesteśmy w stanie stworzyć nawet to, co nam się jeszcze nie śni.

NOWY BESTIARIUSZ JAPOŃSKI

Kiedyś baśnie japońskie pełne były mitologicznych stworów: drwiących z marynarzy szkieletów wielorybów, złośliwych kapp – wodników porywających dzieci, demonów, duchów i diabłów. Z czasem pojawiały się coraz bardziej groteskowe potwory – potężna Godzilla, zmutowana ćma, a nawet pożerająca ludzi parasolka.

Od 2011 roku baśnie Japończyków mają nowych bohaterów.

Cez-137. Swawolne, acz niebezpieczne stworzenie. Pełne energii, przemieszczanie się nie sprawia mu żadnego problemu. Lubi wodę tak bardzo, że aż się w niej rozpląwa i razem z nią wędruje na długich dystansach. Łatwo wnika w nasze ciało – połykamy go razem z jedzeniem i piciem.

Wciąż jest młody i bardzo niedojrzały. Narodził się dopiero w 1942 roku. To wtedy w Chicago w pierwszym eksperymentalnym reaktorze przeprowadzono pierwszą reakcję łańcuchową na ziemi. Ale tak naprawdę cez-137 po całym świecie rozprzestrzenił się dopiero 16 lipca 1945 roku, kiedy w Nowym Meksyku przeprowadzono pierwszy naziemny test broni atomowej. Od tamtego dnia co jakiś czas nam się wymykał. W Hiroszynie, w Nagasaki, podczas testów nuklearnych w Związku Radzieckim i na Pacyfiku. Dostaje się też do atmosfery, kiedy dochodzi do katastrof w elektrowniach jądrowych.

Jeśli go oswoić, może być całkiem użyteczny. Służy do kalibracji urządzeń mierzących promieniowanie. Wykorzystuje się go w radioterapii. A także w przepływomierzach i grubościomierzach. Jest również niezłym sommelierem. Potrafi ocenić, czy wino zostało zabutelkowane przed 1945 rokiem – dzięki temu wykrywa fałszywki, często sprzedawane nawet po kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Zasada jest prosta: po 1945 roku, roku wejścia cezu-137 na salony, jest on wszędzie – nawet jeśli w niewielkich ilościach. Również na skórcie winogron, z których robi się wino. Jeśli zakorkowana butelka emituje promieniowanie gamma o charakterystycznym dla cezu-137 widmie energetycznym (a właściwie o widmie charakterystycznym dla baru-137, na który rozpada się cez-137, bo sam cez emituje głównie promieniowanie beta), oznacza to, że wino powstało po 1945 roku.

W śladowych dawkach cez-137 wydaje się nieszkodliwy – przynajmniej na razie. Jednak nie dajmy się zmylić jego miłemu usposobieniu, zamiłowaniu do sportów wodnych i dobrych win. Cez-137 potrafi być zabójczy. Podszywa się pod potas i wbudowuje w miękkie tkanki naszych ciał. Zwłaszcza w wątrobę, śledzionę

i mięśnie. Przyjęty w większej ilości zatruwa. Może nawet zabić.

Do walki z cezem-137 staje błękit pruski – związek żelaza i potasu o intensywnej barwie, który łączy się z cezem-137, oczyszczając nasze tkanki z podstępного truciciela. Jeśli jednak w nich pozostanie, może dożyć sędziwego wieku. Jego czas połowicznego rozpadu wynosi trzydzieści lat. Oznacza to, że do dziś krąży w wodzie, w atmosferze i w nas samych mniej niż jedna czwarta cezu-137, który narodził się w 1945 roku (połowa zniknęła po trzydziestu latach; połowa połowy po kolejnych trzydziestu). Ale ta jedna czwarta zachowuje się, jakby w ogóle się nie zestarzała – ciągle pełna jest młodszej energii.

Cez-134. Przyrodni brat cezu-137 powstaje jako produkt uboczny reakcji zachodzących w reaktorze, nigdy w trakcie eksplozji bomb atomowych. Jest młodszy od cezu-137 i dość niezdolny. Wszystko papuguje po starszym bracie. Nie lubi jednak wina. Gdyby osiadł na naszej skórze, spowodowałby wysypkę, owrzodzenia, a nawet martwicę tkanek. Zależy mu na czasie, bo w przeciwieństwie do starszego brata czas jego połowicznego rozpadu wynosi zaledwie dwa lata.

Stront-90. Kolekcjoner kości. Zazwyczaj występuje w pylistej postaci. Złośliwy ponurak z ciężkim dowcipem. Udając wapń, łączy się z naszym szkieletem. A potem zaczyna demolkę. Wywołuje nowotwory kości i białaczkę. Atakuje szpik, obniża poziom białych krwinek. W dodatku to prawdziwy wampir energetyczny – sprawia, że czujemy się zmęczeni, co chwilę łapiemy przeziębienie, przestaje krzepnąć nam krew.

Naprawdę nie jest zabawny. Choć potrafi być ironiczny. Jeśli się go oswoi, leczy raka kości (jednak częściej wykorzystuje się do tego mniej szkodliwy Stront-89). Czuje się jak wyrzutek, nawet zmuszony do współpracy niewiele wnosi. Dlatego najczęściej traktuje się go po prostu jak odpad nuklearny. Czas połowicznego rozpadu: dwadzieścia dziewięć lat.

Jod-131. Ulotny, zwiewny, szybki i ruchliwy. Wszędzie go pełno. Żyje krótko, więc cieszy się życiem. Nie musi nikogo udawać, po prostu gromadzi się w tarczycy tak jak jego nieradioaktywny brat jod i też umożliwia jej funkcjonowanie. Zachowuje się jak bohater Szekspira. Jego zemsta jest zemstą z za grobu. On już dawno umarł (czas połowicznego rozpadu to tylko osiem dni), my już dawno zapomnieliśmy, że kiedyś się z nim zetknęliśmy, i nagle po dziesięciu latach otrzymujemy diagnozę: rak tarczycy. Zwłaszcza jeśli w dniu, w którym dopadł nas jod-131, byliśmy nieletni.

Tryt. Arystokrata wśród izotopów promieniotwórczych. W niewielkich ilościach powstaje w sposób naturalny – z pełnego ognia mezaliansu między promieniami kosmicznymi a gazami atmosfery ziemskiej. Wytwarza się go również sztucznie w reaktorach jądrowych. Jest izotopem wodoru, ale w przeciwieństwie do pozostałych

izotopów doczekał się własnej nazwy, a nie tylko numerka. Jak na arystokratę przystało, ma eleganckie i powolne ruchy. Odrobinę anemiczny, nie ma zbyt wiele energii. Ale jest wszechobecny – do naszego ciała może dostać się przez skórę, drogi oddechowe lub układ trawienny. Wnika w tkanki, w których może przebywać nawet do dziesięciu lat. W dodatku, kiedy łączy się z tlenem, tworzy wodę trytową, która zachowuje się jak normalna woda. Tyle tylko, że emitując promieniowanie, niszczy nasze tkanki. Usuwanie jej z organizmu trwa około dwóch tygodni.

W większych ilościach tryt powoduje mutacje, guzy i obumieranie komórek.

A jednak jest wysoko ceniony. Pomimo że czas jego połowicznego rozpadu wynosi stosunkowo niewiele – dwanaście lat, jeden gram trytu kosztuje 30 tysięcy dolarów. Rocznie w przemyśle na całym świecie zużywa się go 400 gramów. Wchodzi on w niezwykłą relację z fosforem: kiedy są obok siebie, zakochany fosfor świeci. Dlatego czasem zamyka się je razem w zegarkach i tablicach pokazujących wyjścia ewakuacyjne.

Tryt ma jeszcze jedno zastosowanie: używa się go do konstrukcji bomb wodorowych, które mogą być nawet cztery tysiące razy silniejsze od tej zrzuconej na Hiroszimę (jak Car Bomba, najpotężniejsza zdetonowana bomba atomowa na świecie, która stopiła skały w promieniu dziesięciu kilometrów od hipocentrum. Gdyby zrzucono ją nad Wielkim Tokio, w kilkanaście sekund zmieniałaby 35-milionową metropolis w pustynię).

Czas połowicznego rozpadu. Jednostka czasu, w ciągu którego liczba atomów pierwiastków radioaktywnych zmniejszy się o połowę. Jest bardzo pryncypialny, ale też niezależny – co czyni go świetnym arbitrem. Nie da się go przekonać, oszukać ani przekupić. Zawsze będzie taki sam.

Promieniowanie gamma. Na poły mityczne zwierzę, które umyka naszemu poznaniu. Wydaje nam się, że nie istnieje, bo nie możemy go ani zobaczyć, ani powąchać, ani dotknąć, ani posmakować, ani usłyszeć. Ale ono jak najbardziej jest obecne w naszym świecie, choć znacznie więcej promieniowania gamma można znaleźć w kosmosie.

Pochodzi z tej samej rodziny co fale radiowe, światło i podczerwień. Tak samo jak one jest falą elektromagnetyczną – ma tylko inną, bardzo wysoką energię. Jego źródłem jest rozpadające się jądro izotopu promieniotwórczego (choć czasem powstaje – bardziej romantycznie – podczas burz; zdarza się też, że przybywa do nas z gwiazd). Promieniowanie gamma jest pełne energii, trudno je zatrzymać. Przejdzie przez kartkę papieru, przejdzie przez skórę, przejdzie przez szkło i nawet przez centymetrową sztabę stali! Zatrzyma je dopiero ołowiana ściana gruba na trzy centymetry, albo betonowa – ale musi być trzy razy grubsza. To właśnie ta trudna do zatrzymania energia powoduje, że promieniowanie gamma jest niebezpieczne – kiedy przenika nasze ciało, fizycznie

niszczy nasze komórki.

Zwierzę o tak niezwykłych właściwościach jak niewidzialność (i bracia w kosmosie) ma również niezwykle umiejętności. Potrafi oczyszczać z bakterii sprzęt medyczny i jedzenie. Transformuje się w nóż gamma i tnie komórki rakowe. Choć pozornie nam sprzyja, musimy być bardzo ostrożni i nie zapominać o tym, że to jednak dzikie zwierzę. Odrobina słabości i od razu przejmie nad nami kontrolę.

Często mylone ze swoim tajemniczym bratem – rentgenowskim promieniowaniem X.

Promieniowanie beta. Wiązka elektronów emitowana przez izotop radioaktywny, która pędzi z prędkością światła. Ma dużą energię, dlatego bez trudu przenika powietrze, kartki i naskórek. Ale zatrzyma ją nawet cienka blacha. Występuje w dwóch odmianach: pozytywnej i negatywnej. Co dla człowieka nie ma żadnego znaczenia – niezależnie od tego, czy trafi w nas optymista, czy pesymista, niszczy nas w ten sam sposób: rozrywa komórki na strzępy. Jeśli zniszczy nić DNA, komórka może się zmutować. Zbyt długie spotkanie z promieniowaniem beta grozi nam śmiercią.

Ta ruchliwa, silna i przenikliwa wiązka czasem pozwala się ujarzmić. Wtedy wykorzystywana jest do kontrolowania grubości materiałów. Używa się jej w medycynie – na tej samej zasadzie, na której niszczy zdrowe komórki, niszczy również komórki rakowe.

Promieniowanie alfa. Perfidne stwory, które przemieszczają się z prędkością rzędu dziesiątek tysięcy kilometrów na sekundę. Na szczęście są zbyt duże i ciężkie (zbudowane z dwóch protonów i z dwóch neutronów), żeby przenikać fizyczne bariery. Zatrzymuje je byle kartka papieru. Ba, zatrzymuje je nawet powietrze. I nasza skóra. Problem jednak pojawia się wtedy, kiedy połkniemy coś, co alfy emituje. Szaleją wtedy po naszym organizmie – a jako że naprawdę są grube i ciężkie, rozrywają połączenia wielu komórek. Powodują chorobę popromienną.

Bekerel. Użyteczna jednostka miary, która informuje ludzi, jak bardzo coś jest promieniotwórcze. Bekerele, nazwane tak na cześć Henriego Becquerela (który w 1903 roku dostał Nobla razem z małżeństwem Curie), są bardzo przyjaźnie nastawione do ludzi. Żyją po to, żeby nas ostrzegać. Mierzą aktywność promieniotwórczą w jedzeniu, picu, ziemi, trawie, drzewach. Kiedy w ciągu sekundy w próbce rozpada się jeden atom, emitując jedną alfę, betę lub gamę, mamy do czynienia z jednym bekerelem. Jeśli rozpadów jest więcej – bekereli przybywa.

Zazwyczaj bekerele występują w tysiącach (nazywa się je wtedy kilobekerelami), milionach (megabekerele), miliardach (gigabekerele), a nawet w bilionach (terabekerele). Jeden bekerel informuje nas o tym, że to, co zamierzamy zjeść, jest w porządku, tak samo jak dwadzieścia bekereli. Ale niebezpieczeństwa nie określa

sama liczba bekereli, tylko rodzaj próbki. Na przykład pięćset bekereli w przypadku wody ostrzega: „Nie pij mnie”. Ale w przypadku szpinaku mówi: „Wszystko jest w porządku”. Dopiero ponad dwa tysiące bekereli w szpinaku oznaczałoby niebezpieczeństwo.

Z bekerelami oficjalnie współpracują rządy większości państw. Opisują go pseudonimem „Bq”

Siwert. Tak samo jak bekerel jest jednostką miary. Informuje ludzi o tym, ile promieniowania pochłonęło ich ciało w danym czasie. Siwerty są duże i gburowate. Człowiek niespecjalnie je obchodzi, zajmują się tylko zliczaniem radioaktywnych cząsteczek uderzających w ludzkie ciało. Nie lubią, kiedy przeszkadza im się w pracy, podczas liczenia muszą być skoncentrowane. Byłoby im prościej, gdyby mogły liczyć od jednego do dziesięciu, ale one liczą ułamki. Jeśli w ciągu godziny człowiek pochłonie promieniowanie o równowartości jednego siwerta, może zachorować na zespół popromienny, a nawet umrzeć! Dlatego siwerty zdecydowały się przedstawiać w znacząco mniejszych wartościach, żeby szybciej ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Kiedy dzielą się na jedną tysięczną, nazywane są milisiwertami. A kiedy na jedną milionową – mikrosiwertami. Zależnie od wielkości siwerty mają swoje własne nicki: „Sv”, „mSv” oraz „μSv”

Promieniowanie naturalne. Szara myszka. Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że towarzyszy nam na każdym kroku. Promieniują skały, woda, powietrze, rośliny, nasze kości zawierające izotop potasu-40, a także kosmos. Promieniowanie naturalne liczone jest w siwertach. Przeciętnie w ciągu roku człowiek otrzymuje 2,4 milisiwerta promieniowania naturalnego. Nie należy mylić go z promieniowaniem sztucznym (nazywanym również stworzonym przez człowieka), które pochodzi z diagnostyki medycznej, wybuchów nuklearnych i reaktorów jądrowych. To do promieniowania sztucznego odnoszą się stosowane na świecie limity.

WYSPA SZCZĘŚCIA

Żeby zapisać obce wyrazy albo coś, co w zdaniu chce się podkreślić, Japończycy używają specjalnego alfabetu. Katakany. Jej sylaby są kanciaste, jakby wycięte mieczem.

Kiedy na Hiroszimę spadła bomba, w gazetach zapisywano nazwę miasta katakaną. W słowie ヒロシマ mieścił się cały horror chmury w kształcie grzyba, spopielonych zwłok, skóry oddzielającej się od mięśni, dymiących zgliszczy, wypadających włosów i niepokoju o to, kiedy i mnie dopadnie rak.

Po marcu 2011 roku katakaną zaczęto zapisywać nazwę „Fukushima” フクシマ.

Mieszkańcy prefektury zaprotestowali. Nie chcieli, żeby ich łączono ze skażoną strefą wokół elektrowni Fukushima Daiichi. Wolą używać drugiego alfabetu, hiragany, którego sylaby mają miękkie kobiece kształty. ふくしま.

Hiragana jest neutralna. Katakana sugeruje wyjątkowość. Coś obcego, nieznanego.

Unika się również chińskich znaków „Fukushima” (福島). Kanji zostały skażone tak samo jak ziemia w prefekturze. W 2011 roku nawet obcokrajowcy uczyli się ich na pamięć – żeby sprawdzać etykiety na produktach. Nikt nie chciał kupować warzyw, owoców ani ryżu z Fukushimy.

Fuku to szczęście. *Shima* to wyspa.

Wyspa Szczęścia.

NAJPIĘKNIEJSZA WIOSKA JAPONII

Zbocza porośnięte lasem, górskie strumienie, zielone pola ryżowe, bystre rzeki w dolinach. Dziki, mały, jelenie. Powietrze wypełnione zapachem trawy z pastwisk. Drewniane domy z matami z ryżowej słomy i przesuwanymi papierowymi ściankami. Nawet sieć komórkowa była tu słaba. Żeby porozmawiać z sąsiadem, szło się przez las, a nie wykręcało numer telefonu.

litate. Jedna ze stu najpiękniejszych wiosek Japonii.

Nie wolno jej odwiedzać.

Wiosną z ziemi wyrastały pędy bambusa, kiełkowały paprocie, kwitł lepieźnik, helwingia japońska wypuszczała młode liście, pojawiał się mlecz. Wystarczył krótki spacer w przerwie na lunch, żeby nazbierać jedzenia na obiad. Gotowało się to, blanszowało, smażyło, piekło, maczało w panierce i wrzucało na wrzący olej. Każde dziecko potrafiło odróżnić pędy soczystego pióropusznika strusiego od lekko gorzkiej orlicy.

Pędy ciągle rosną. Nie wolno ich jeść.

Latem w rzece łowiło się *iwany* – srebrzyste rybki o białym, delikatnym mięsie. Idealne na grilla, który rozpałało się pod gwiazdami. Młodzi jeździli nad morze, to niecałe 35 kilometrów, ale jaki inny klimat! Nieznośne gorąco, monsunowa wilgoć. Wskakiwali więc na deski i surfowali po falach. Czasem rozpalali ognisko i zostawali na noc na plaży, a czasem wracali do wsi, głośni i roześmiani, z owocami morza w siatkach.

Iwany ciągle pływają. Nie wolno ich łowić.

Jesienią przychodziła pora na grzyby. Lasy były pełne *matsutake*, grube białe nóżki, niewielkie i gładkie brązowe kapelusze. W Tokio za kilogram płaci się nawet dwa tysiące dolarów. Mają ostry, intensywny smak, czuć w nim las sosnowy. Tutaj wycieczki szkolne zbierały je na obiad, nikt nie myślał o tym, żeby zbijać na nich fortunę.

Grzyby ciągle rosną. Nie wolno ich zbierać.

Zimą, kiedy temperatura spadała do minus 20 stopni, z dachów zwisały sznury tofu, ciasteczek ryżowych i białej rzodkwi, które po zamrożeniu suszyło się na zimnym wietrze. Przechowywało się je do wiosny. Mężczyźni polowali, kobiety gotowały gary pożywej zupy z marchewką, grzybami i mięsem dzika.

Dziki ciągle biegają po lesie. Nie wolno ich tknąć.

litate karmiło swoich mieszkańców. Gdy brakowało ryżu, szło się do sąsiada, a nie do supermarketu. W zamian za pomidory z ogrodu albo jagodowy likier własnej produkcji sąsiad dawał wór ryżu i jeszcze litr świeżego mleka. Rolnicy z litate ręcznie sadzili ryż i używali naturalnych nawozów.

Ryż już nie rośnie. Nieorane pola zarosły krzakami.

W domach budowanych tradycyjną metodą, ze ścianami z gliny i przesuwanymi drzwiami z papieru mieszkały cztery pokolenia. Pradziadkowie oglądali razem z prawnukami, jak kwitną wiśnie. Babki i matki szykowały na obiad ryż uprawiany przez dziadków i ojców.

Nikt już nie patrzy na kwitnące wiśnie. Domy zarastają pajęczyny, a w ścianach żyją myszy.

Nikogo nie ma w litate.

Najpiękniejsza wioska Japonii jest pusta.

PÓŁNOCNY WIATR

Kiedy spotykamy się po raz pierwszy, Kenta Satō ubrany jest w ciemne dżinsy, bawełnianą koszulę w biało-niebieskie pasy i beżową marynarkę z włókien konopi. Włosy ma przycięte zgodnie z modą z Tokio, na twarz opada mu postrzępiona grzywka. Długie palce stukają o blat, kiedy pokazuje w telefonie zdjęcia z litate. Dom z żółtymi ścianami i szarym dachem. Kwitnące wiśnie. Psy na polnej drodze. Żonkile. Przez chwilę widzę też ekran jego telefonu. Przy ikonce skrzynki pocztowej wyświetla się informacja: 7092 nieodebrane maile.

Przez dwa lata po marcu 2011 wstawał codziennie o szóstej rano. Pracował do północy. Wywiady, wystąpienia, konferencje, odczyty, audycje. Do trzeciej nad ranem odpisywał na maile, zasypiał z komórką w ręce. Jadł jeden posiłek dziennie, na więcej nie miał czasu. Może tylko jakieś *onigiri*, ryżowe kulki, zjedzone w biegu między jednym a drugim spotkaniem. Jedyne chwile wytchnienia to kiedy przyjaciele zabierali go na drinka. Choć czasem musieli siłą wyciągać go z łóżka. Zaczynali od piwa i szaszłyków z grillowanego kurczaka. A potem sake. Jedna. Druga. Trzecia. Wieczory kończyli w barze z butelką whisky.

– Patrzcie! – krzyczeli. – Tak właśnie bawią się nuklearni chłopcy!

Nie takie życie sobie zaplanował.

Miało być proste i przewidywalne. Rano praca w rodzinnej firmie, w której był zastępcą dyrektora, swojego ojca. Składowali metalowe formy używane do odlewania betonowych bloków, z których buduje się falochrony. Ośmioosobowa firma miała pełne ręce roboty. Kiedy klient tego potrzebował, czyścili formy, naprawiali drobne usterki i wysyłali do niego na miejsce.

Kenta cenił sobie tę wioskę i jej ciszę. Nie, nie wyniosłby się do miasta. Wielu nawet nosa nie wystawiło poza litate. Sąsiad (tu wszyscy są sąsiadami), pan Fumio Okubo, pierwszy raz odwiedził Tokio po siedemdziesiątce. Dołączył do wycieczki dla seniorów.

A Kenta znał miejskie życie. Kilka lat mieszkał w Sendai, największym mieście północy, uczył się w samochodówce. Mógł zostać, ale najstarszy syn wraca do ojca. Kiedy wrócił, wszyscy znajomi byli już pożenieni, tu się bierze ślub, jak się ma 22 lata. Tylko Kenta odstawał. Choć uganiały się za nim panny (młody, z dobrą pracą, w wielkim mieście podłapał trochę mody, włosy farbował na brązowy kolor), on nie palił się do ślubu. Co mu po ślubie, skoro i tak małżeństwa kończą się rozstaniem,

mówił wszystkim. Tak jak jego rodziców. Matka od dziesięciu lat mieszkała sama w mieście Fukushima, pracowała w firmie cateringowej, która obsługiwała szpitale. Ojciec z nową partnerką mieszkali w Iitate. Kenta dzielił czas pomiędzy jedno a drugie.

W tym zaplanowanym życiu za kilka lat przejąłby firmę po ojcu. No dobrze, ożeniłby się, wbrew temu, co wszystkim mówił. Spędzałby z rodziną wakacje na Hawajach, ulubionych wyspach Japończyków. Kenta był tam raz, na osiemnastkę.

Chciał, żeby jego dzieci łowiły w strumieniach *iwany* i zbierały pędy bambusa na wiosnę, a jesienią szukały grzybów *matsutake*. To fajne dzieciństwo.

11 marca 2011 roku, w piątek, Kenta czyścił z rdzy metalowe formy. Warsztat jego ojca to długa szopa bez jednej ściany – można było swobodnie przenosić dźwigami ciężkie przedmioty. W szopie haki, taśmy, szlauchy, woda pod ciśnieniem, piec. A na zewnątrz, na wielkim placu, skład form. Wsunięte jedna w drugą, ustawione w kolumny wyższe od człowieka. Naokoło pastwiska i pola ryżowe, w dole sztuczny staw. Wyżej asfaltówka, a za nią utwardzona droga prowadząca do domu rodzinnego Kenty.

Kenta powoli kończył pracę. Powinien jeszcze roztopić stal i naprawić formy tam, gdzie zjadła je rdza. Ale to mogło poczekać do poniedziałku. Myślni był już na stokach wulkanu Bandai, góry w zachodniej części prefektury Fukushima. Kenta umówił się z przyjaciółmi na snowboard. Mieli wyjechać w sobotę z samego rana.

O 14.46 od strony gór usłyszał huk. A zaraz potem narastający metaliczny dźwięk. To wibrowały metalowe formy ustawione jedna na drugiej.

– Szybko! Trzęsienie! – krzyknął ojciec Kenty, mężczyzna o wąskich ustach, grubych brzdach wokół nosa i krótko – po wojskowemu – ostrzyżonych włosach. Nie usłyszeli ostrzeżeń w telefonach, bo nie zabierali ich do pracy. Sieć w Iitate była słaba. Kenta sam nie wie, jak i kiedy przebiegł trzysta metrów dzielących go od domu. Na ziemi w salonie siedziała jego babcia. Dziewięćdziesięcioletnia kobieta miała problemy z chodzeniem. Kenta objął ją wpół, pociągnął w stronę wyjścia. Zdażył tuż przed najsilniejszym wstrząsem, który zrzucił stojący pod sufitem drewniany ołtarz z bogami szinto. Upadł tam, gdzie oboje stali jeszcze sekundę wcześniej.

Kiedy skończyły się wstrząsy, Kenta wziął kluczyki od niewielkiego wozu strażackiego. Od dziesięciu lat należał do ochotniczej straży pożarnej, wiedział, co robić w takich sytuacjach. Objechał całą okolicę, sprawdzając skutki trzęsienia. Pospadało kilka dachówek, na pastwiskach popękała ziemia. Ale skała, na której stoi Iitate, jest mocna. Kiedyś były nawet plany, żeby pod wioską zakopać odpady

radioaktywne z odległej o 40 kilometrów elektrowni jądrowej. Pomysł upadł, Kenta nie wie czemu. Elektrownie nigdy go nie interesowały. Były tam na długo, zanim się urodził. Ot, część codzienności. Postawiono je nie dla mieszkańców Fukushima, cały prąd szedł oświetlać Tokio.

Kenta pojechał do urzędu gminy zdać raport. To tam usłyszał o tsunami. Iitate leży 35 kilometrów od morza, wysoko w górach. Bardziej niż tsunami mieszkańcy martwili się brakiem prądu. Temperatura spadała poniżej zera.

Kenta musiał się upewnić, że jego mamie w Fukushima nic się nie stało. Wsiadł w samochód i po godzinie był w mieście. Dopiero tutaj zobaczył siłę trzęsienia. Apartament zawalony był figurkami, talerzami i książkami. Kenta pomógł posprzątać i wrócił do ojca, do wioski pogrążonej w ciemności i śniegu. Wyciągnęli gazowy grzejnik, zapalili świece. Tej nocy położyli się spać w ubraniach. Ale sen nie przychodził. Nad ranem Kenta poszedł do samochodu. Włączył silnik. Przez radio słuchał wiadomości o tsunami.

O poranku znowu ruszył w stronę Fukushima. W mieście brakowało wody, ale w Iitate ciągle działały studnie. Bagażnik Kenty pełen był butelek. Chciał nabrać benzyny, ale właściciel sprzedawał nie więcej niż 20 litrów na samochód. Musiał pompować ją ręcznie. Kenta zatrzymywał się na każdej stacji, wszędzie odprawiano go z kwitkiem. Przywiózł mamie wodę, wsiadł na rower (kawałek żelaza z trzema przerzutkami) i pojechał z kanistrami przyczepionymi do bagażnika szukać benzyny – dla siebie, dla mamy i dla ojca w Iitate. Zatrzymywał się też w każdym 7-Eleven, może gdzieś zostały jakieś kanapki, makarony instant albo chociaż jogurty? Nikt nie wiedział, kiedy będzie następna dostawa, sprzedawcy musieli wprowadzić limity na zakupy.

U mamy cały czas działał telewizor. Patrzyli na zdjęcia z tsunami. Kenta wypatrywał twarzy swoich klientów znad morza.

Przed szesnastą dowiedział się, że wybuchł reaktor numer 1 w elektrowni Fukushima Daiichi. Rząd zarządził ewakuację w promieniu 20 kilometrów. W telewizorze widzieli ogromny korek, ciąg samochodów znad wybrzeża w stronę stolicy prefektury. W drugą stronę jeździły tylko karetki i wozy strażackie.

Jego dom stał 40 kilometrów od elektrowni. Za daleko, pomyślał. Wsiadł na rower i zrobił kolejną rundkę po mieście z kanistrami doczepionymi do bagażnika.

Był 12 marca. Wiatr wiał w stronę morza.

Z 12 na 13 marca Kenta nocował w Fukushima. 13 ponownie objechał całe miasto na rowerze. Woda, benzyna, jedzenie. Założył konto na Facebooku. Wcześniej internet go nie interesował, teraz mógł sprawdzać, w którym supermarkecie został jeszcze

makaron i gdzie działa stacja benzynowa. 14 marca o ósmej rano załadował wszystko na rower, poprzyczepiał linkami do bagażnika, siatki zawiesił na rączkach kierownicy i ruszył w stronę Iitate.

Czterysta metrów różnicy poziomów.

Kiedy skończyły mu się przerzutki, zsiadł i pchał rower pod górkę. Do domu dotarł w południe.

Godzinę wcześniej wybuchł reaktor numer 3.

Kenta nie przejął się tym zbyt. Pojawiały się plotki o promieniowaniu, więc założył maskę na twarz. Władze na pewno wiedzą, co się dzieje. Gdyby było niebezpiecznie, powiedziano by o tym mieszkańcom wioski.

Tego dnia wiatr również wiał w stronę morza.

Kiedy 15 marca w elektrowni wybuchły budynki reaktorów numer 2 i numer 4, Kenta po raz pierwszy się zaniepokoił. Prognozy pogody na popołudnie zapowiadały deszcz i śnieg. Ludzie mówili, że może być napromieniowany. Musiał ostrzec mamę, że nie wolno wychodzić z domu. Kiedy dojechał do Fukushima, było już ciemno. Na twarzy poczuł pierwsze krople deszczu.

15 marca po południu zmienił się kierunek wiatru. Zamiast nad morze wiał na północny zachód.

16 marca ojciec Kenty obudził się w wiosce przykrytej śniegiem. Chwycił za łopatę i zaczął odśnieżać drogę.

Oficjalny pomiar dokonany przez lokalne władze w centrum Iitate (jakieś 35 kilometrów od elektrowni) i podany w telewizji wynosił 44,7 mikrosiwerta na godzinę.

Kenta nie wiedział, co to znaczy. Na wszelki wypadek postanowił nie wracać do wioski. Władze nie zdecydowały się na ewakuację. Za to do Iitate, już 12 marca po południu, przyjechali ewakuowani z Minamisōmy i z Namie. Mieszkańcy przygotowali dla nich potrawkę z dzika, ciepłe mleko od miejscowych krów i ryż.

W Iitate pojawiła się jeszcze jedna osoba. Fotograf Takashi Morizumi. Od lat 90. odwiedzał miejsca związane z atomem. Jeździł do Indii, gdzie w wiosce Jaduguda ludzie pracowali w odkrywkowej kopalni uranu, na atol Bikini w archipelagu Wysp Marshalla, obok którego Amerykanie przeprowadzali testy nuklearne. I do Semipałatinska (Semej) w Kazachstanie, gdzie to samo robili Rosjanie. Morizumi miał własny licznik Geigera. 15 marca zmierzył 100 mikrosiwertów na północy wioski. To maksimum skali na jego liczniku.

Niewielu, głównie rodziny z małymi dziećmi, za radą fotografa, postanowiło

wyjechać choć na kilka dni. Burmistrz litate, Norio Kanno, ogłosił, że nie ma się czego bać. Promieniowanie nie zagraża mieszkańcom wioski.

19 marca zbadano mleko krów z litate. Litr zawierał pięć tysięcy bekereli radioaktywnego jodu. Dopuszczalne normy dla płynów w Japonii to dwieście bekereli^[8]. Rolnicy doili krowy i wylowali mleko do ścieku (jeden z rolników wyliczył, że do końca marca wylał jedenaście ton mleka wartych dwanaście tysięcy dolarów). 20 marca burmistrz ogłosił tymczasową dobrowolną ewakuację – dla tych, którzy się niepokoją. Podstawionymi autobusami wyjechało z wioski około pięciuset osób. Z sześciu tysięcy. O tym, czy dzieciom podawać tabletki z jodem, zdecydowano na szczeblu lokalnym, a nie rządowym. Burmistrz litate uznał, że nie jest to konieczne. Przecież nie było żadnego rozkazu.

Tabletki leżały w biurku w urzędzie gminy – plotkują mieszkańcy wioski.

Według międzynarodowych standardów średnia dawka promieniowania, jaką dostają ludzie w ciągu godziny, nie powinna przekraczać 0,11 mikrosiwerta. Gdyby taką dawkę dostawali przez 24 godziny w ciągu 365 dni – promieniowanie w ich ciele skumulowałoby się do jednego milisiwerta^[9]. To bardzo zachowawcze obliczenia – jeden milisiwert rocznie nie zagraża zdrowiu. World Nuclear Association jako dawkę, przy której zwiększa się ryzyko zachorowania na raka, podaje sto milisiwertów rocznie. Choroba popromienna grozi przy dawce jednego siwerta. Uznaje się, że cztery siwerty to dawka śmiertelna. Choć dla niektórych śmiertelne będą dwa siwerty, a dla innych sześć.

100 mikrosiwertów na godzinę to 876,6 milisiwerta na rok. 0,88 siwerta.

21 marca w kranówce wykryto jod radioaktywny. Dziewięćset sześćdziesiąt pięć bekereli na kilogram (limit – trzysta bekereli). Władze ostrzegły przed piciem wody, jednocześnie oświadczając, że woda w litate nadaje się do zmywania, gotowania, kąpieli i prania.

Tego samego dnia rząd Japonii wstrzymał dostawy szpinaku i japońskiej gorzycy z prefektur: Fukushima, Ibaraki, Tochigi i Gunma. W liściach roślin wykryto piętnaście tysięcy bekereli jodu radioaktywnego na kilogram. Rządowy limit to dwa tysiące bekereli.

Również 21 marca ojciec Kenty nie chciał już dłużej zwlekać ze zleceniami. Miał klientów z całego kraju – ci, których nie dotknęło tsunami, czekali na oczyszczone formy do stawiania falochronów. Kenta nie miał wyjścia. Musiał wrócić.

Poszedł do urzędu gminy, zapytał, czy jest bezpiecznie. Powiedzieli, że tak, ale musi

nosić maskę na twarzy. Wystarczy zwykła papierowa. Można ją kupić w każdym supermarkecie. Pytał dalej. Co to są bekerele? Co to są siwerty? Co znaczy połowiczny rozpad? Czym się różni jod radioaktywny od cezu? Ile siwertów to jest za dużo siwertów i co się ze mną stanie, jeśli będę przebywał w napromieniowanym środowisku?

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Kenta radioaktywność znał tylko z komiksu o Hiroszimie *Bosonogi Gen*. Czytał go jeszcze w liceum, dobrze zapamiętał odchodzącą od mięśni skórę i wypadające włosy. Czy moje ciało też się zmieni? Czy wyłysięję? Czy spali mi się skóra?

Informacji szukał w internecie.

25 marca do Iitate przyjechał profesor z Nagasaki, Noboru Takamura. Ekspert od promieniowania. W jego wykładzie wzięło udział sześćset osób. Wszystko jest w porządku, nie macie się czego bać. Musicie tylko przestrzegać podstawowych zasad bezpieczeństwa:

Zakładać maseczki na twarz.

Często myć ręce.

Nie otwierać okien.

A od promieniowania groźniejszy jest stres.

28 marca przyjechał inny ekspert, niezaproszony przez lokalne władze – profesor Tetsuji Imanaka z Kioto. Zmierzył poziom promieniowania w 130 miejscach – w powietrzu i w ziemi. Pomiar z południa wioski, czyli najbliższej elektrowni Fukushima Daiichi, wskazywały poziom promieniowania równy temu w reaktorach jądrowych, do których pracownicy wchodzi pod ścisłą kontrolą w skafandrach i z dozymetrami na szyi. Mieszkańcy rozwieszali pranie na sznurach, szykowali ziemię pod zasiew, dzieci bawiły się na podwórku.

Władze cały czas nie wydały nakazu ewakuacji.

Kenta otworzył konto na Twitterze.

Pierwszy wpis: „Pracuję w Iitate. Powiedziano nam, że »jest tu bezpiecznie«. Wszyscy wiedzą, że nasza woda, ziemia i powietrze zostały zatrute promieniowaniem”

Drugi wpis: „Rząd nie chce wydać nakazu ewakuacji. Ludzie muszą wracać do Iitate, bo inaczej ktoś musiałby im wypłacić odszkodowanie za straconą ziemię. Pracuję w napromieniowanym środowisku”

Trzeci wpis: „W Iitate dzieci bawią się nad brzegami rzek. Jedzą warzywa, które podobno »nie mają wpływu na zdrowie«”

Czwarty wpis: „Dokładnie w tym momencie materiały radioaktywne osadzają się w moim ciele”

Piąty wpis: Zdjęcie wisterii przed domem Kenty i niewielkiego żółtego licznika Geigera, który trzyma w długich palcach. 5,92 mikroswerta na godzinę. 51,8 milisiwerta na rok.

Po kilku dniach śledziło go 5700 osób.

Przez następne dni Kenta rano jechał w miejsce, gdzie mógł połączyć się z internetem. Sprawdzał najświeższe informacje. I tweetował.

O dziewiątej był już w warsztacie. Ubrany w grubą bluzę z kapturem, w jednorazowych rękawiczkach. I w masce na twarzy. Zamiast jeść lunch z ojcem, znowu jechał tam, gdzie był zasięg. Sprawdzał wiadomości. I tweetował. Po pracy zaglądał do urzędu gminy i zadawał pytania.

Mieszkał z ojcem w domu z żółtymi ścianami i szarym dachem. Wystarczyła byle iskra, żeby skoczyli sobie do gardeł. Kiedy na początku kwietnia ojciec otworzył okna, żeby wpuścić do domu wiosenne powietrze, Kenta nie wytrzymał. Trząskając okiennicami, pokazując wartości wyświetlane na liczniku Geigera.

– Widzisz to?! Widzisz?! Tu jest 12 mikroswertów! A ty okna otwierasz.

Ojciec tylko wzruszył ramionami. Promieniowanie go nie obchodziło.

Do litate przyjechało jeszcze kilku ekspertów. Dostarczono dozymetry. Ludzie, którzy dobrowolnie się ewakuowali – wrócili. W połowie kwietnia zaczynał się rok szkolny, przecież rząd nie powiedział, że jest niebezpiecznie.

W jednym miejscu, przy kanalizacji, czyjś licznik pokazał tysiąc mikroswertów na rok. *Hotto spotto*. Takie gorące miejsca pojawiały się również w Tokio, a przecież nikt nie ewakuował Tokio. Jeśli sto razy powtórzysz, że wszystko jest w porządku, ludzie zaczną ci wierzyć.

Dlatego kiedy 22 kwietnia, prawie półtora miesiąca po wybuchach wodoru w reaktorach, wydano nakaz całkowitej ewakuacji litate – ludzie nie spieszyli się z wyjazdem. Dlaczego teraz?

Zostało tylko 108 mieszkańców domu starości. Ewakuacja byłaby dla nich większym zagrożeniem niż promieniowanie. Do dzisiaj opiekunowie przyjeżdżają do nich na ośmiogodzinne zmiany. Starsuszkowie wnuków i prawnuków słyszą tylko przez telefon. Dzieci nie wracają do litate.

Sąsiad Kenty, pan Fumio Okubo, który z litate wyjechał pierwszy raz po siedemdziesiątce – powiesił się w swoim pokoju.

Miał 102 lata.

O tym, że 15 marca radioaktywna chmura idzie na litate, informował system SPEEDI. Stworzono go po wypadku w elektrowni Three Miles Island w Stanach, w 1979 roku, kiedy wskutek drobnej usterki, błędu konstrukcyjnego i błędu człowieka

częściowo stopił się rdzeń reaktora. Po szesnastu godzinach udało się przywrócić chłodzenie, uniknięto ewakuacji 50 tysięcy ludzi z Harrisburga, stolicy Pensylwanii. Ale sam budynek reaktora został silnie napromieniowany. Prace dekontaminacyjne trwały 14 lat – usunięto stopione paliwo, oczyszczono i odparowano skażoną wodę, uprzątnięto odpady nuklearne i resztki rdzenia. Budynek reaktora zamknięto na zawsze.

Japoński system SPEEDI kosztował 12 miliardów jenów^[10]. Mierzy, ile materiałów radioaktywnych uwolniło się do powietrza. Sprawdza dane meteorologiczne i mapy terenu. Na tej podstawie przewiduje, w którą stronę i jak daleko zostaną przeniesione niebezpieczne izotopy. Tworzy mapy, które pokazują, skąd należy ewakuować ludzi.

Na mapach z marca 2011 litate jest czerwone.

Rząd tłumaczył się potem, że nie wiedział o istnieniu systemu. Japońska Komisja Bezpieczeństwa Nuklearnego usprawiedliwiała się, że pierwsze dane były tylko szacunkowe. Nikt nie był pewien, ile dokładnie pierwiastków promieniotwórczych dostało się do atmosfery. System, który miał to zliczać i dostarczać informację dla SPEEDI, zniszczyło trzęsienie ziemi. Kiedy w końcu mapy trafiły do sztabu kryzysowego, stwierdzono, że nie należy wzbudzać paniki. Ewakuacja w promieniu 20 kilometrów miała wystarczyć.

– SPEEDI obsługiwała banda idiotów – skomentował jeden z lokalnych polityków. – Nie wiedzieli, na co patrzą. Myśleli, że wiatr ma znaczenie tylko przy grze w golfa.

Promieniowanie nie rozchodzi się równomiernie. Promieniowanie rozchodzi się z wiatrem.

Wiatr wiał na północ. W stronę litate.

Kenta przez ostatnie pięć lat uczestniczył w konferencjach i sympozjach, udzielał wywiadów, organizował warsztaty, nagrywał audycje. Jeździł po Japonii z wystąpieniami. Był w Czarnobylu. Zapraszają go do radia, do telewizji, do gazet – głównie zagranicznych. Nigdy nie odmawia. Udzielanie wywiadów to jego obowiązek. Choć to nie ewakuowani są odpowiedzialni za wybuch, to oni są odpowiedzialni za opowieści o nim. Rząd zmienił się już dwa razy, zmieni się i kolejny. Tak samo jak szefowie TEPCO.

Dlatego Kenta buduje muzeum. Na razie to będzie jedna sala wynajęta od miasta Fukushima. Z czasem – jeśli spełnią się marzenia Kenty – budynek z parkiem. Tak jak w Hiroszynie. Miejsce, gdzie ludzie dowiedzą się i o trzęsieniu ziemi, i o tsunami, i o promieniowaniu. Wtedy Kenta nie będzie już musiał opowiadać.

Ale na razie to on musi mówić. Największym błędem była ignorancja, twierdzi. Zaczął uczyć się angielskiego. Książki do nauki dla pierwszej klasy podstawówki leżą

na podłodze wynajmowanego w Fukushima mieszkania. Obok książek o skutkach promieniowania.

Kencie właśnie urodziła się córeczka – Chiune. Imię dostała po Chiune Sugiharze, wicekonsulu Japonii na Litwie, który w czasie II wojny światowej uratował sześć tysięcy Żydów. Wbrew własnemu rządowi sprzymierzonemu z nazistowskimi Niemcami.

Kenta ma nadzieję, że ona też będzie podejmować słuszne decyzje. Choć na pewno Chiune nie będzie łowić *iwany* w rzekach, zbierać pędów bambusa ani grzybów *matsutake*. Będzie za to wiedzieć, co to są mikrosiwerty, bekerele i połowiczny rozpad. I dlaczego co roku badają jej tarczycę.

– Gdyby coś takiego wydarzyło się chociażby we Francji, w rejonie, w którym produkują słynne wino, powiedzmy w Szampanii, świat by się wkurwił – Kenta stuka długimi palcami o blat, poprawia spadającą na czoło grzywkę. – My też już nie możemy żyć na naszej ziemi. Produkować ryżu, doić krów, zbierać pędów bambusa. Świat milczy.

LAMENT

Mój dom miał sto sześćdziesiąt mikrosiwertów!
Moje zasłony miały siedemdziesiąt mikrosiwertów!
Moje łóżko miało pięćdziesiąt mikrosiwertów!
Mój ogród miał sto osiemdziesiąt mikrosiwertów!

Zatruli nas! Kazali zabić całe bydło. Mleczne bydło nie na mięso, ciężarówką zawieźliśmy je do rzeźni. Żona biegła wzdłuż drogi i krzyczała: „Przepraszam, przepraszam!”

Okradli nas! Kiedyś mieliśmy domy i życie, teraz sąsiada słyszę przez ścianę. Wiem, o czym rozmawia z żoną, kto go odwiedza, jakie programy ogląda w telewizji.

Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy osób. Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy osób, które zostawiły swoje domy.

Oszukali nas! Mówili, że to jest bezpieczne, że technologia, że Japonia, że tania energia.

Sąsiad wrócił do pustej stodoły, napisał na ścianie: „Gdyby tylko nie było elektrowni jądrowych! Nie chcę już żyć!” Powiesił się na belce stropowej.

Zatruli nas! Okradli nas! Oszukali nas!

Mój dom miał sto sześćdziesiąt mikrosiwertów!
Moje zasłony miały siedemdziesiąt mikrosiwertów!
Moje łóżko miało pięćdziesiąt mikrosiwertów!
Mój ogród miał sto osiemdziesiąt mikrosiwertów!

Trują nas! Każde miasto buduje własną spalarnię. Będą w nich płonąć radioaktywne śmieci. Mówią, że mają filtry! To eksperyment, na który nie chcemy pozwolić.

Okradają nas! Nasze dzieci bawią się w piaskownicy w środku budynku. Nie wychodzą na zewnątrz. Nie skaczą przez kałuże, nie taplają się w błocie, nie turlają się ze wzgórza w stronę rzeki.

Oszukują nas! Jesteśmy rolnikami, ale nie mamy już ziemi do uprawiania. W domach tymczasowych w doniczkach sadzimy pomidory. Jesteśmy rybakami, ale na połowy wypływamy raz w tygodniu. Z kilkuset gatunków, które łowiliśmy przed 2011 rokiem, wolno nam łowić tylko kilkadziesiąt. Zakazane ryby wypuszczamy

z powrotem do morza.

Uciekamy na Hokkaido, do Kioto, na Kiusiu i na Okinawę. Dalej już nie można.

Pozywamy rząd i TEPCO. Jest nas już dwanaście tysięcy!

Trują nas! Okradają nas! Oszukują nas!

Mój dom miał sto sześćdziesiąt mikrosiwertów!

Moje zasłony miały siedemdziesiąt mikrosiwertów!

Moje łóżko miało pięćdziesiąt mikrosiwertów!

Mój ogród miał sto osiemdziesiąt mikrosiwertów!

Fuck TEPCO!

Na cmentarzach rośnie radioaktywna trawa. Nasi przodkowie codziennie muszą na nią patrzeć. Oprócz nich nikt inny nie został.

YUNA

Na imię mam Norio. Na nazwisko Kimura. Chcesz usłyszeć o tym dniu, w którym najpierw zatrzęsała się ziemia, później przyszło tsunami, a na koniec wybuchła elektrownia jądrowa? Jestem gotowy, żeby o tym mówić. Należę ci herbaty. Słuchaj.

Siedziałem na pace ciężarówki i gumowym szlauchem myłem świnię. Pracowałem na farmie w miejscowości Ōkuma. Zatrzęsało tak silnie, że nie mogłem zejść z samochodu na ziemię. Kucnąłem, trzymając się barierki. Kiedy ziemia stanęła, poszedłem do telefonu zadzwonić do rodziny. Komórek nigdy nie mamy przy sobie, zostawiamy je w samochodach. Ale linia była odcięta. Skoro czterdziestoletnie budynki na farmie ciągle stoją, to mój nowy dom też musi stać. Moja rodzina jest bezpieczna, wszystko będzie w porządku, pomyślałem, i razem z innymi zabrałem się do sprzątanía. Świnie powpadały do dołów kloacznych, część już nie żyła. Wyciągaliśmy ich zwłoki przez ponad dwie godziny. Przez radio usłyszeliśmy o nadchodzącym tsunami. Mnie nic nie groziło, farma jest wysoko. Mój dom stał daleko od plaży, na zboczu wysokiego wzgórza. Wszystko będzie w porządku, pomyślałem. Wróciłem do pracy. O szóstej po południu wsiadłem w samochód. Do domu miałem dziesięć minut.

Tylko że nie było już domu. Spojrzałem w górę. Pięćdziesiąt metrów dalej stały nieruszone budynki. Wszystko jest w porządku, pomyślałem. Z pewnością pobiegli wyżej, kiedy zobaczyli falę. Poszedłem do ustalonego wcześniej miejsca ewakuacji. Nikogo. Ani żony, ani jednej córki, ani drugiej córki, ani matki, ani ojca. Wszystko jest w porządku, może są w szpitalu, pomyślałem.

Nie było ich w szpitalu. Matkę i starszą córkę znalazłem wieczorem w innym centrum ewakuacji. Wróciłem pod to, co było moim domem. Chodziłem całą noc, wołając: „*Otō san, Miyuki, Yuna!*” Nikt mi nie odpowiedział.

Jedni mówią, że tsunami, które przeszło przez Ōkumę, miało czternaście metrów. Inni – że dwadzieścia. Jakie to ma znaczenie? Było wyższe niż sosny rosnące na wybrzeżu. Moi sąsiedzi opowiadali, że widzieli wodę przelewającą się nad szczytami drzew.

Rano przyszedł do mnie przewodniczący naszej gminy: „Rząd zarządził ewakuację. Trzeba myśleć o tych, którzy żyją, Norio.”

Choć elektrownia ma w nazwie słowo „Fukushima”, znajduje się na terenie Ōkumy, mojego miasteczka. W naszej części są cztery reaktory. Po stronie Futaby – dwa.

Wszyscy byliśmy tutaj dumni z elektrowni. Więcej ludzi pracowało przy reaktorach niż na roli. Moja żona sprzedawała lunchy pracownikom. Dzięki TEPCO w mieście był basen i boisko do gry w piłkę. Jedna z firm kurierskich nazywała się Atomowy Transport. Na dworcu sprzedawano ciasteczka w kształcie kominów Fukushima Daiichi – pamiątka z Ōkumy.

A teraz przez elektrownię musieliśmy uciekać. 12 marca 2011 roku wsiadłem z matką i córką w samochód i pojechaliśmy w stronę Tokio. Im więcej wiadomości przychodziło z elektrowni, tym dalej jechaliśmy. Prawie tysiąc kilometrów. Do rodziny mojej żony, do Okayamy. Tam zostawiłem matkę i córkę. Wróciłem z siostrą żony do Ōkumy. Nie zgodziłem się wjechać na teren zamknięty, choć szwagierka nalegała. „Jeśli żyją, to są w którymś z centrów ewakuacji, nikt nie pozwoliłby im tutaj zostać” – tłumaczyłem.

Do końca marca – przez pełne dwa tygodnie – odwiedziliśmy ponad sto centrów ewakuacji w prefekturach Miyagi i Fukushima. Nigdzie śladu po moim ojcu, mojej żonie ani mojej córce. Szwagierce skończył się urlop, ja musiałem zadbać o tych, którzy przeżyli.

3 kwietnia 2011 roku cała Ōkuma przeniosła się do Aizu Wakamatsu, miasta w północno-zachodniej części prefektury Fukushima. Sprawdziłem licznikiem Geigera, że napromieniowanie jest tam trzy razy wyższe niż norma. Moja starsza córka miałaby wychowywać się w takim miejscu? Kupiłem dom, wysoko w górach, w Alpach Japońskich.

Czterdzieści dziewięć dni po tsunami zadzwonili do mnie, żebym przyjechał zidentyfikować ciało. Poznałem go po breloczku, który dostał w prezencie od mojej matki. Znaleźli go na polu ryżowym zalany wodą morską. Ludzie mówią, że widzieli, jak wraca do domu, prawdopodobnie fala porwała go razem z budynkiem. A potem wyrzuciła na pole. Był białą mumią bez żadnych charakterystycznych znaków. Musieli zrobić testy DNA.

W maju znaleźli ciało unoszące się na oceanie. W czarnym podkoszulku, 145 centymetrów wzrostu. Pytali, czy to moja żona. Niemożliwe, pomyślałem, przecież Miyuki miała 158 centymetrów. Powiedzieli mi, że jeśli ciało długo leży w wodzie, może się skurczyć. Nie poznałem jej. Tożsamość potwierdziły testy DNA.

Ze starszą córką przeniosłem się w góry, do nowego domu. Kiedy potrzebuję go ogrzać, idę do lasu narąbać drewna. To zajmuje jakiś czas. I dobrze. Dzisiaj, kiedy chcesz włączyć ogrzewanie, naciskasz przycisk. Kiedy chcesz zjeść obiad, idziesz do supermarketu. Ludzie ciężko pracują, żeby mieć pieniądze, które oszczędzają czas. Ale to błędne koło. Pracujesz, żeby wydawać w supermarkecie? A może pracowałbyś

mniej i miał godzinę więcej na przygotowanie obiadu razem z dziećmi?

W moim domu otworzę hostel i pokażę ludziom, że można żyć nawet bez podłączenia do prądu. Może wtedy pomyślą o tym, skąd się bierze światło w żarówce, na co działa lodówka, pralka, zmywarka?

Raz w miesiącu wracam do Ōkumy. Mogę tam wjechać na osiem godzin. Razem z grupą wolontariuszy, policjantami i strażakami zakładamy białe kombinezony. Chodzimy po plaży, zaglądamy pod szczątki domów, zwalone pnie drzew, sterty kamieni. Nie wszystko udaje nam się podnieść, ale na osiem godzin nie możemy ściągnąć do skażonej strefy maszyny. Znajdujemy pogięte od wody fotografie, plastikowe zabawki, sztucce i kubki. Mój dom stał trzy kilometry od elektrowni. Promieniowanie przekracza tam normy czterysta razy. Martwię się o ludzi, którzy mi pomagają, ale bez nich nie mam szans znaleźć mojej najmłodszej córki.

Nazwałem ją od cichego i spokojnego oceanu, który widzimy późnym latem. A była żywą iskierką. Z dziewięciu osób, które zginęły w naszym miasteczku, trzy to moi bliscy. Tylko ciała Yuny nie odnaleziono. Radzili mi, żebym ogłosił jej śmierć. Dostałabym odszkodowanie, a Ōkuma zamknęłaby listę zaginionych. Ale ta brakująca jedynka przy nazwie miasta wciąż przypomina, co się tu wydarzyło w marcu 2011 roku.

WYCZYŚCIE NASZĄ ZIEMIĘ

Ministerstwo Środowiska opublikowało wytyczne czyszczenia skażonych terenów. W Japonii do czyszczenia promieniowania używa się papieru, gumowych rękawiczek, szczotek, grabi, kosiarek, pił łańcuchowych, toreb na śmieci i wody.

To ambitne zadanie. Wodą i papierem wyczyścić skażoną ziemię.

Czyszczenie domu

Narzędzia:

- gumowe rękawiczki,
- ręczniki papierowe,
- szczotki,
- ewentualnie woda pod ciśnieniem.

Żeby wyczyścić dom, należy zacząć od dachu. Chyba że ponad dachem zwisają gałęzie drzew. Wtedy należy obciąć je piłą. Liście, mech, błoto, zgniłą materię organiczną usuwa się ręcznie, bez użycia wody, za to w rękawiczkach. Następnie wyciera się dach ręcznikiem papierowym. To, czego nie udało się usunąć ręcznie, spryskuje się wodą i szoruje szczotką z grubym włosiem, zwracając szczególną uwagę na miejsca, w których fragmenty dachu nachodzą na siebie.

Po wykonaniu tych czynności należy zmierzyć promieniowanie, zgodnie z wytycznymi ministerstwa.

Jeśli nadal jest wysokie, oznacza to, że pierwiastki promieniotwórcze osadziły się głęboko w dachówkach i nie zmyje ich deszcz. Dlatego należy usunąć je wodą pod wysokim ciśnieniem. Oczywiście pilnując, by nie zniszczyć dachu.

Jeśli to nie przyniesie efektów, skażone części dachu należy wymienić.

Następnie ściany domu należy wytrzeć ręcznikiem papierowym, zaczynając od górnych partii, a kończąc na dolnych. Po każdym pociągnięciu ręką z góry na dół należy zmienić papier na czysty. Jeśli to nie przyniesie efektu, ściany należy umyć wodą pod ciśnieniem, dbając o to, by jak najmniej wody dostało się do ziemi i kanalizacji.

Należy również oczyścić ziemię w promieniu dwudziestu metrów od domu.

Czyszczenie ziemi

Narzędzia:

- łopata,
- motyka,
- sekator,
- kosiarka,
- taczka,
- pojemne worki,
- nieskażona ziemia (uzyskuje się ją ze zboczy gór, które należy rozkroić, żeby dokopać się do czystej ziemi).

Ziemię czyści się, zbierając jej górną warstwę łopatą. Przedtem należy ręcznie usunąć leżące na niej liście. Skosić trawę. Wyrwać chwasty. Po usunięciu skażonej ziemi (zazwyczaj około pięciu centymetrów w głąb) należy schować ją do worków. Odsłoniętą ziemię należy przykryć ziemią przywiezioną z nieskażonego miejsca.

Ziemię można też oczyścić ze skażenia, wykopując dołek głęboki na trzydzieści centymetrów. Górne dziesięć – skażonych – centymetrów ziemi przykrywa się dwudziestoma centymetrami ziemi nieskażonej.

Jeśli w ogrodzie znajduje się żwir, należy użyć łopaty i przenieść go do pojemnika, w którym zostanie umyty pod ciśnieniem. Potem można położyć go z powrotem, sprawdzając wcześniej, czy ziemia pod żwirem nie jest skażona.

W ten sam sposób należy czyścić podwórka, place zbaw, boiska, korty tenisowe, parki, gospodarstwa, sady i pastwiska. Należy pamiętać również o oczyszczeniu barier, płotów, siatek, ogrodzeń i ławek.

Czyszczenie dróg

Narzędzia:

- szczotki,
- woda pod bardzo wysokim ciśnieniem,
- szambiarka.

Należy dokładnie wyszczotkować przejścia dla pieszych, łączenia w asfalcie, balustrady i krawężniki. Jezdnię należy umyć wodą pod wysokim ciśnieniem. Jeśli to nie przyniesie pożądanych efektów, należy użyć waterjeta, urządzenia, które wykorzystuje wodę pod bardzo wysokim ciśnieniem. Na koniec elementy, które zostały usunięte z asfaltu, należy zebrać, używając szambiarki.

Czyszczenie lasu

Narzędzia:

- grabie,
- skrobaczka,

– piła.

Liście należy zgrabić. Mech zeszkrobać z kamieni. Błoto zebrać rękoma w gumowych rękawiczkach. Gałęzie drzew stojących na obrzeżu lasu – obciąć. Ziemię zapakować do worków. Las czyścimy tylko do dwudziestu metrów naokoło budynków i dróg. Czyszczenie większej powierzchni zbytnio zwiększy liczbę worków z odpadami radioaktywnymi.

Lasy liściaste należy oczyścić raz. W marcu 2011 roku drzewa jeszcze nie pączkowały, więc cez-137 osadził się na ziemi, a nie na liściach. Wiecznie zielone lasy iglaste należy czyścić kilkakrotnie przez okres czterech lat.

Liście i mech zostaną spalone w specjalnie wybudowanych spalarniach – jeśli ich radioaktywność nie przekracza ośmiu tysięcy bekereli. Jeśli jest wyższa, zostaną dostarczone do składu tymczasowego.

Czyszczenie rzek

Jest możliwe, że cez-137 i cez-134 osadziły się na dnie rzek i strumieni. Jednak badania wykazały, że nie ma w nich materiałów radioaktywnych. Woda działa niczym tarcza i chroni środowisko przed promieniowaniem.

Dlatego nie będą prowadzone prace mające na celu usunięcie radioaktywnego osadu z rzek, strumieni, jezior i zbiorników wodnych.

Wytyczne te zostaną zrewidowane po zakończeniu prac oczyszczających.

W kwietniu 2011 roku japoński rząd zwiększył roczne dopuszczalne dawki promieniowania z 1 milisiwerta do 20. W sierpniu wydał specjalną ustawę – „Act on Special Measures Concerning the Handling of Radioactive Pollution”. Ustawa dzieli obszary na te bardziej i mniej skażone. W ewakuowanej strefie i tam, gdzie promieniowanie przekracza 20 milisiwertów na rok, rząd organizuje czyszczenie. To w sumie jedenaście gmin w Fukushima, z których musiało ewakuować się 113 tysięcy ludzi. A tam, gdzie promieniowanie przekracza 1 milisiwert, gminy mogą same zdecydować o oczyszczaniu. Rząd wspiera je technicznie i dokłada się do wydatków. Ale decyzja należy do samorządu. Do czerwca 2013 roku za niezbędne do wyczyszczenia uznano sto gmin w ośmiu prefekturach.

Czarne worki w Fukushima są wszędzie. Kiedy robotnicy kończą czyszczenie ogrodów, parków i lasów, ustawiają worki przy drodze, na boiskach szkolnych albo na tyłach domów. To pierwszy skład tymczasowy – leżą w nim, zanim nie trafią do drugiego składu tymczasowego przygotowanego według wytycznych ministerstwa. Należy je odpowiednio zabezpieczyć. Wyłożyć brezentową, nieprzepuszczalną dla

wody płachtą. Ustawić worki jedne na drugich. Z wierzchu i z boków postawić worki z czystym piaskiem, który działa niczym tarcza. Jeśli to możliwe, skład ogrodzić siatką.

Te drugie składy tymczasowe buduje się na polach ryżowych, na parkingach i w dolinach czyszczonych miast i wiosek. Szybko zaczęło brakować w nich miejsca.

Dopiero w marcu 2015 roku utworzono docelowy skład tymczasowy na granicy Futaby i Ōkumy. Rząd kupuje ziemię od mieszkańców. Na razie z 2365 osób na sprzedaż zdecydowały się 82. Ministerstwo uważa, że do 2020 roku wykupi do siedemdziesięciu procent planowanej ziemi. Na sześciu kilometrach kwadratowych worki z dwudziestoma dwoma milionami sześciennymi skażonej ziemi przeleżą trzydzieści lat. Potem przeniesie się je do składu ostatecznego. Rozmowy na temat tego, gdzie będzie się znajdował skład ostateczny, ciągle trwają.

Dlatego czarne worki stoją w oczyszczanych miastach. We wrześniu 2015 roku północną Japonię zalały deszcze. Spowodowały powodzie i osuwiska ziemne (z miasta Jōsō ludzi ewakuowano z dachów domów helikopterami). W litate wezbrała rzeka. Woda zabrała trzysta dziewięćdziesiąt pięć czarnych worków, które czekały na przeniesienie do składu tymczasowego na dawnym polu ryżowym. Niektóre worki odnaleziono dopiero przy ujściu do morza. Sto pięćdziesiąt trzy z nich były puste.

– Chciałbym, żeby czarne worki były pamiątką z Fukushima – mówi mi Kenta Satō.

W Japonii nie możesz wrócić z podróży z pustymi rękoma. Dla rodziny, przyjaciół, nawet dla współpracowników, musisz kupić *omiyage* – drobny upominek charakterystyczny dla miejsca, które odwiedziłeś. Zazwyczaj coś do zjedzenia. *Omiyage* dostaniesz na każdej stacji kolejowej: ciasteczka w kształcie zamku, owoce z danej prefektury, słodki smakołyk. Z Miyajimy, wyspy z jednym z najstarszych chramów szinto i z największą bramą *torii* zalewaną codziennie przez przypływ, przywozi się ciasteczka w kształcie liści klonu. Z Kamakury, dawnej stolicy z posągiem Wielkiego Buddy – gofry w kształcie gołębia. Zanim wybuchły reaktory w Fukushima Daiichi, w Ōkumie, na stacji kolejowej, w kiosku przy przystanku i w lokalnym supermarkecie można było kupić *omiyage* w kształcie elektrowni jądrowej.

– Teraz Fukushima będzie mieć nowe *omiyage* – Kenta stuka długimi palcami o blat. – Czarne plastikowe worki. W środku może być zmielona kawa. Albo kakao. Cokolwiek. Byleby przypominało ziemię.

– Wiesz – dodaje Kenta – skażenia nie da się usunąć. Można je tylko zapakować w czarne worki i przenieść gdzie indziej.

POMNIKI

W prefekturze Fukushima ustawiono trzy tysiące sześćset pomników. Stoją przy dworcach, szkołach, przedszkolach (w których piaskownice przeniesiono do środka budynku), przed ratuszami, przy centrach handlowych i głównych drogach. Białe półokrągłe słupy zakończone czarnym prostokątem baterii słonecznej. Pod baterią – monitor, na którym wyświetlają się czerwone cyferki.

Trzy tysiące sześćset słupów, które monitorują promieniowanie.

Pokazują coś, o czym wszyscy woleliby już zapomnieć.

Promieniowania nie widać, nie słychać, nie czuć. Nie można go powąchać ani dotknąć. Niektórzy mówią, że bardziej niż geny niszczy relacje między ludźmi.

JEDNA MISKA RYŻU

Dostajesz do zjedzenia miskę ryżu. Z parującymi białymi ziarenkami, pachnącą zaprawą z octu sezamowego i słodkiego kuchennego wina. Kelner mówi, że to ryż z Fukushima. Przebadany, przeszedł wszystkie testy.

Zjesz?

A teraz wyciągnij jedną z kart leżących na stole. To samo robią inni uczestnicy gry.

Jesteś matką dwójki dzieci. Mieszkacie w centrum miasta Fukushima. Dzieci raz do roku przechodzą badanie tarczycy. Córka ma piętnaście lat. Jest zdrowa, dostała kategorię A1 – bez guzków i cyst. Ale syn, który dopiero co skończył osiem lat, ma kategorię A2. Wykryto u niego cystę wielkości 17 milimetrów. Jeśli urośnie większa niż 20 milimetrów, trzeba będzie zrobić dalsze badania – sprawdzić krew, mocz, może nawet zrobić biopsję. Przejdzie do kategorii B. Czytałaś ostatnio w lokalnej gazecie, że u 115 dzieci na 300 tysięcy przebadanych zdiagnozowano raka tarczycy. Napisali również, że to co najmniej dwadzieścia razy więcej niż normalnie. Zazwyczaj rak tarczycy pojawia się u kilkorga dzieci na milion. Ale być może to efekt bardzo dokładnych badań.

Podasz ten ryż swoim dzieciom?

Jesteś rolnikiem z regionu Aizu na północnym zachodzie Fukushima. Masz 42 lata, czwórkę dzieci. Robisz to, co robił twój ojciec i twój dziadek, i robisz to dobrze. Nie używasz nawozów sztucznych, dbasz o najwyższą jakość i smak produktu. Choć skażona chmura nie przeszła nad twoim polem, a od zepsutej elektrowni dzieli cię 150 kilometrów i dwa górskie pasma, to i tak przez dłuższy czas nikt nie chciał kupować od ciebie ryżu. Ceny spadły trzykrotnie. Po drugiej stronie prefekturalnej granicy, w Niigacie (25 kilometrów od twojego pola), sadzą tę samą odmianę ryżu. Sprzedają go po cenach sprzed 2011 roku.

Zjesz ten ryż?

Jesteś informatykiem z Tokio. Pamiętasz, jak w marcu 2011 roku z półek supermarketów zniknęły wszystkie butelki z wodą, makarony instant i mrożone pizze. Zostały tylko warzywa i owoce – nikt nie kupował jedzenia, które mogło być napromieniowane. Do dzisiaj w sklepach brzoskwinie z Fukushima kupisz taniej niż te

z innych prefektur, choć są najlepsze w całej Japonii. W 2011 roku pojechałeś na wolontariat do Rikuzentakaty, teraz chciałbyś zobaczyć, jak wygląda sytuacja w Fukushima. Dołączasz do wycieczki z organizacją pozarządową. Wjeżdżacie do Odaki, ewakuowanej dzielnicy Minamisōmy. W środku można przebywać przez osiem godzin w ciągu dnia. Ulice są puste, przed dworcem stoją zakurzone rowery. Spotkaliście się z emerytowanym rolnikiem, który cały czas na skażonej ziemi sadi ryż – sprawdza, co zmieni używanie wody ze studni, a co wody z rzeki. Woli to od siedzenia beczynnym w domu tymczasowym. Rozmawiacie ze starszą kobietą, która pomimo zakazu wróciła tu na stałe i założyła warsztat tkacki. I jeszcze z młodym przedsiębiorcą, który zanim w Odace zostanie zniesiony nakaz ewakuacji, chce zorganizować sto miejsc pracy. Żeby ludzie mieli do czego wracać. Na razie otworzył knajpkę, w której pracują babcie z Odaki. Szykują posiłki dla robotników czyszczących miasto z promieniowania. Idziecie tam na lunch. Podają wam tempurę z warzyw i ryż.

Zjesz ten ryż?

Jesteś żoną rolnika z Fukushimy. Wasze pola leżą 50 kilometrów od elektrowni. Mieszkacie w dużym i przestronnym domu razem z teściami i waszymi bliźniakami. Po katastrofie często się kłóciliście – ty chciałaś wyjechać jak najdalej od zepsutej elektrowni. Mąż i teściowie nie chcieli zostawić ziemi, która należy do nich od sześciu pokoleń. W kółko powtarzali: „Widać, że nie jesteś stąd”. Codziennie sprawdzałaś raporty na temat promieniowania na kilkunastu różnych stronach. Każdy mówił co innego. Pod koniec maja 2011 roku wyjechałaś razem z bliźniakami. Takich jak ty jest kilkadziesiąt tysięcy, nazywają to dobrowolną ewakuacją. Tchorze – tak często mówią o nich ci, którzy zostali. Mąż został uprawiać ziemię. Wybrałaś zdrowie dzieci, ale one tęsknią za tatą i dziadkami. Wracacie w niektóre weekendy. Teściowie na obiad podają własne pikle i ryż, który sami wyhodowali.

Pozwolisz go zjeść swoim dzieciom?

Jesteś lekarzem z miasta Fukushima. Tuż po tsunami pojechałeś do Minamisōmy pomagać w szpitalu. Część miasta ewakuowano z dwudziestokilometrowej strefy naokoło elektrowni, część zniszczyło tsunami. Kiedy po kilku tygodniach wróciłeś do Fukushimy, razem z żoną podjęliście decyzję: tu nie jest bezpiecznie dla małych dzieci. Twój starszy syn miał pięć, a młodszy dwa lata. Żona wyjechała do Yamagaty, około dwóch godzin drogi samochodem. To tylko tymczasowo – powtarzaliście sobie. Ty zostałeś w miejscowym szpitalu. Tu robisz specjalizację z leczenia raka wątroby, tu masz pacjentów. W mieście jest bezpiecznie, dzieci mogłyby wrócić, ale chodzą do szkoły w innej prefekturze, a szkoły w Japonii nie zmienia się łatwo. Więc

od pięciu lat żonę i dzieci widzisz w weekendy.

Zjesz ten ryż?

Jesteś właścicielką hoteliku w pobliżu gorących źródeł w górach nad miastem Fukushima. To tradycyjne *minshuku* – urządzony w stylu japońskim rodzinny pensjonat. Kiedyś miałaś stałych gości. W 2011 roku ludzie przestali przyjeżdżać. W lecie wybierali południową Japonię, najczęściej Okinawę. A zimą jechali w Alpy Japońskie albo na Hokkaido. „Nawet jeśli plotki są tylko plotkami, wolimy nie narażać zdrowia” – przepraszała cię, odwołując rezerwacje. Ale od dwóch lat znowu pojawiają się goście. Przyciągają ich twoja tradycyjna kuchnia, siarkowa woda, która wygładza skórę, leśny krajobraz i niskie ceny. Są nawet zagraniczni turyści. Pytają cię o życie w Fukushimie i o promieniowanie.

Zjesz ten ryż? Podasz go swoim gościom?

Masz trzynaście lat. Właśnie zacząłeś chodzić do gimnazjum. Od pięciu lat jesz tylko organiczny ryż z Kiusiu. Twoja mama pakuje ci lunch do szkoły i zabrania pić mleka. Jeden z twoich nowych przyjaciół zaprasza cię do domu. Jego rodzice ugotowali obiad. Nie wiesz, co o promieniowaniu myśli rodzina przyjaciela. Nigdy o tym nie rozmawialiście.

Zjesz ten ryż?

POPŁACZ SOBIE

Przyjeżdża do Fukushimy raz do roku. W centrum spotkań na osiedlu domów tymczasowych rozstawia krzesła i włącza rzutnik. Przychodzą rodzice z dziećmi, będzie ze czterdzieści osób. Przygasza światło i puszcza filmiki. Każdy trwa nie dłużej niż pięć minut.

Atsuko nie wytrzyma, kiedy zaginiony pies odnajduje swoją panią. Łzy płyną jej po policzkach, szuka chusteczek w torebce. Makoto zapłakał już wcześniej – kiedy ojciec przytulił dawno niewidzianego syna. Ale kiedy na ekranie pojawia się Mao Asada, łyżwiarka figurowa, trzykrotna mistrzyni świata, srebrna medalistka, która jako jedyna kobieta zrobiła trzy potrójne aksle podczas jednego występu, i ogłasza, że robi przerwę w karierze – płacze cała sala. Chlipanie, siąpanie, szlochanie.

– Ludzi wzrusza sześć rodzajów sytuacji – wylicza Hiroki Terai, organizator *ruikatsu*, wieczorów płakania. – Zwierzęta, zwłaszcza psy odnajdujące właścicieli, relacje między dziećmi a rodzicami, małżeństwa, które dożywają spokojnej starości, dziadkowie z wnukami, no i oczywiście sport i historie miłosne. Katastrof nie pokazuję. Nie chodzi o to, żeby popłakać się z przerażenia, tylko żeby uwolnić nagromadzony w ciele stres. Wyrzucić z siebie emocje. A tego Japończycy potrzebują jak żaden inny naród na świecie.

Hiroki Terai *ruikatsu* organizuje w Tokio od stycznia 2013 roku. Wcześniej pracował dla firmy spedycyjnej. Ale od czasu do czasu wieczorami organizował ceremonie rozwodu Happy Divorce. Rozwodnicy odczytywali listy i wielkim młotkiem niszczyli obrączki. Płakali. A potem podawali sobie dłonie i wychodzili uśmiechnięci (dziewięć z prawie dwustu par zdecydowało się nie rozwodzić). Hiroki zaczął się zastanawiać, czy płakanie może nas uszczęśliwić.

Na pierwszej sesji puścił film koreański. Bardzo smutna historia, jakaś choroba, miłość, kłótnie w rodzinie, mezalianse. Dwie godziny coraz większych dramatów.

Nikt nie zapłakał.

Hiroki zmienił podejście. Dużo krótkich filmików – tak żeby każdy znalazł coś dla siebie. Tajaska reklama ubezpieczeń „Silence of Love” – krótka historia nastolatki i jej głuchoniemego ojca (zakończona słowami: „Nie ma ojców idealnych, ale ich miłość jest zawsze idealna”), hołdy dla zmarłych zwierząt nagrywane przez zasmuconych właścicieli i wrzucane na YouTube, spotkanie kochanków po latach, piosenka o niespełnionej miłości.

Wieczorne spotkania dla góra czterdziestu osób organizował raz w miesiącu. Sala zawsze była pełna. Trochę więcej kobiet, ale też sporo mężczyzn. Większość pod pięćdziesiątkę, choć pojawiają się dwudziestolatkowie i osiemdziesięciolatkowie. Płacze jakieś osiemdziesiąt pięć procent, ocenia Hiroki. Jedni cicho, inni trochę głośniej. Niektórzy przychodzą dziesięć razy, zanim popłyną im pierwsze łzy. Zdarza się i tak, że ktoś wybuchnie niekontrolowanym szlochem. Wtedy reszta milknie. Jakby nagle przypomnieli sobie, że siedzą wśród obcych ludzi.

Wieczory płakania są darmowe, ale trzeba na nie przynieść własną historię związaną z cierpieniem albo smutkiem. Ludzie piszą o chorobach i o rodzicach, którym nie zdążyli podziękować. Jak ta kobieta, która w dzieciństwie straciła psa. Tak bardzo za nim tęskniła, że zaczęła pisać listy. A pies odpowiadał – na biurku znajdowała kartki zapisane koślawym pismem. Kiedy odkryła, że to jej ojciec podszywa się pod ukochanego zwierzaka, poczuła się oszukana. Nie odzywała się do taty przez kilka tygodni. Dopiero później dotarło do niej, że ojciec robił to z miłości. Nie zdążyła mu podziękować. Umarł, kiedy była na studiach.

Niedawno do Hirokiego dołączył Reisho Nakashiya, który specjalizuje się w opowiadaniu smutnych historii. Wprowadza zebranych w nastrój, zanim Hiroki puści płaczliwe filmiki. Wzoruje się na tradycyjnej sztuce *rakugo* (spadające słowa), w której gawędziarz siedzi przed publicznością – ma ją rozśmieszyć, używając tylko wachlarza, kawałka materiału i własnego głosu. Bez wstawania z ziemi opowiada szkatułkowe historie. Zmianę bohaterów zaznacza ruchem głowy, tonem głosu, drobnym gestem. Jest bardzo poważny, ale postaci mają być komiczne, a ich przygody niewiarygodnie śmieszne. Reisho postanowił zmienić konwencję. Ubrany w płaszcz w fioletowo-złote pasy zamiast do śmiechu doprowadza słuchaczy do łez. Spektakl nazwał *nakugo* (płaczące słowa). Im smutniejsza historia, tym lepiej. Reisho chciałby, żeby bogactwo kraju liczono nie w PKB, tylko w KB – łzami krajowymi brutto. Może gdyby Japonia porządnie się wypłakała, wreszcie byłaby szczęśliwsza?

Płaczą już nie tylko w Tokio (i raz do roku w Fukushima). Płacze Kioto, płacze Osaka, płacze Nagoja i Okayama. Otwierają się nowe kluby *ruikatsu*. Wybierają własne filmiki i historie. Niedługo płakać będzie cała Japonia.

– Może w Fukushima też powstaną kluby płakania – ma nadzieję Hiroki. – W 1995 roku przeżyłem trzęsienie w Kobe, miałem czternaście lat, dwa miesiące mieszkałem w centrum ewakuacji. Mój przyjaciel zginął przywalony ścianą. Przez pół roku nie zapłakałem ani razu. Dopiero kiedy umarł mój dziadek, coś się odblokowało. Tutaj ludzie też potrzebowali czasu. Ale teraz są gotowi. Mogą zacząć płakać.

PAN MATSUMURA NIE CZUJE SIĘ SAMOTNY

Cała Tomioka wyjechała w sobotę, w pośpiechu. Myśleli, że wrócą następnego dnia. Najpóźniej za dwa, trzy. Zostawili zwierzęta z dodatkową porcją jedzenia. Nie mieli jak nalać im wody. Po trzęsieniu ziemi nie działały wodociągi.

Dwa lata wcześniej ćwiczyli ewakuację. Podstawiono autobusy i przewieziono ich do Kawauchi, sąsiedniej wioski. Ale kiedy naprawdę trzeba było się ewakuować, każdy wybrał własny samochód. Może i były jakieś autokary, na pewno pod szpitalem i pod domem starców. Chorych trzeba było bandażami przywiązać do siedzeń, inaczej by pospadali. Kilkoro umarło podczas ucieczki.

Choć trudno to nazwać ucieczką. Kiedy się ucieka, serce pompuje adrenalinę, dotlenia nogi, rozszerza płuca. Biegnie się ile sił w nogach, jak na filmach. A oni siedzieli w samochodach. W korku. Pięć kilometrów na godzinę. Kiedy się zatrzymywali, wyłączali silniki. Już wiedzieli, że benzynę trzeba oszczędzać. Temperatura spadła poniżej zera. Zaczął padać śnieg.

Naoto Matsumura nie wyjechał. Mieszkał z rodzicami w domu położonym w połowie stromego zbocza. Niżej jest łąka, wyżej las i droga prowadząca do centrum. Przez dwa dni nie wychodzili z domu. Uszczelnili framugi kocami, nie otwierali okien ani drzwi. W niedzielę wyjrzał do zwierząt. Kiedy zobaczyły go psy, z całej siły zamerdały ogonami. Dał im jeść. Mięso poczuły psy sąsiada. Ujadały, szczekały, skomlały. Zajrzał do nich. Wywrócone miski, ziemia rozdrapana wokół, jakby próbowały najeść się resztkami zapachu. Nalał im wody, dał karmy.

I poszedł na obchód. Tylko po najbliższej okolicy. Szedł i gwizdał. Wtedy jeszcze z wszystkich furtek odpowiadało mu szczekanie.

Ale kiedy dwa dni później trzeci reaktor poszedł z dymem, jednak zaprowadził rodziców do samochodu. Pojechali do kuzynki, na południe. Nie chciała otworzyć. Tylko krzyknęła:

– A wy tu po co?! Napromieniowani! Idźcie sobie!

Wrócił z rodzicami do siebie.

W pustym mieście ani do sklepu nie pójdziesz, ani z sąsiadką nie pogadasz, ani w apteczkę nie zapytasz o poradę na duszności. Wodę trzeba brać ze studni, kąpać się w wiadrze, wiadrem spuszczać toaletę. Spali razem przykryci kilkoma warstwami koców. Po trzech tygodniach rodzice pojechali do jego siostry, do Tokio.

Był kwiecień 2011 roku. Matsumura został sam.

Miał 52 lata. Rozwiedziony. Dwójka dzieci.

Populacja Tomioki z 14 tysięcy mieszkańców zmniejszyła się do jednego mężczyzny ze smagłą twarzą, rzadką brodą i białymi włosami.

Kiedy 22 kwietnia 2011 roku rząd zabronił wstępu do ewakuowanej strefy i rozstawił barykady na drogach, dla Matsumury było już za późno. Miał pod opieką kilkadziesiąt psów, prawie setkę kotów, stado bydła i dwa strusie. Znajomi prosili, zajmij się moją Kimi, zajrzyj do Shiro. Zataczał coraz szersze kręgi po mieście. Jeździł białym samochodem z przyczepą. Witało go szczekanie. Psy rozpoznawały warkot silnika. Merdały ogonami.

Czemu ludzie nie wrócili po swoje zwierzaki?

A gdzie by z nimi mieszkali, skoro w centrach ewakuacji zabroniono trzymać psy i koty? Ciągłe liczyli, że niedługo tu wrócą. Dostawali pozwolenia, przyjeżdżali wówczas do strefy, karmili, ale pozwoleń nie wydaje się codziennie. Niektórzy zabierali zwierzęta i trzymali je w samochodach. Czasem z nimi spali. Ci, którzy mieli pieniądze, wynajmowali mieszkania.

W ewakuowanej strefie samych psów zostało 5800. A przecież są jeszcze zwierzęta hodowlane. Nie zabierzesz ze sobą stada krów. Ani tysiąca kurczaków. Niektórzy wypuszczali je ze stodół. Może dadzą radę same?

W maju rząd wydał rozporządzenie. Należy zabić pozostałe przy życiu krowy i świnie. Za zgodą właścicieli do żył wstrzykiwano im truciznę.

Wtedy Matsumura się wściekł. Zabić, żeby zjeść – proszę bardzo, taka już rola zwierząt, że człowiek się nimi żywi. Zabić tylko dlatego, że zostały napromieniowane i nie ma kto się nimi zająć? A z jakiej racji? Na to nie może się zgodzić.

Teraz już naprawdę nie mógł wyjechać.

Nie działały latarnie.

Nie działały światła uliczne.

Nie działała woda bieżąca.

Nawet telewizji nie mógł włączyć, żeby posłuchać ludzkiego głosu.

Wstawał z samego rana, na grzejniku ustawiał czajnik, wodą zalewał rozpuszczalną kawę w termosie. Brał ze sobą kanapkę z supermarketu (wytrzymają nawet trzy tygodnie) i jechał na obchód. Każdego dnia w innej części miasta. Zataczał coraz szersze kręgi. Codziennie siedem godzin. Siedemdziesiąt psów. Czasem pojawiały się też świnie, które właściciele wypuścili z zagrody przed 22 kwietnia 2011 roku.

Zdarzały się takie dni, że słowem się nie odzywał. A jak już w końcu otwierał usta, nie mógł wydobyć głosu. Mówił do zwierząt. Siad. Poproś. Waruj. Łapa. Czekaj. Niektóre nawet po kilku miesiącach nie pozwalały mu się dotykać. Połykały to, co przyniósł, nie mogły się go doczekać, ale przecież musiały bronić obejścia.

Na początku jeszcze przychodziła do niego policja. – No, panie Matsumura, pan nie ma pozwolenia.

Przyjeżdżali żołnierze z sił samoobrony: – Panie Matsumura, pan nie może tu mieszkać.

Jednym mówił, że ma oficjalne rządowe pozwolenie i żeby się odczepili. Nawet nie prosili o papiery. Drugim mówił, że chętnie stąd wyjedzie, proszę bardzo, wcale mu nie zależy, żeby mieszkać w napromieniowanym domu. Ale kto się wtedy zajmie zwierzętami? Może oni?

Nie zgodzili się.

Ale dali mu spokój.

Został on i zwierzęta.

Stodoły były najgorsze. Na ziemi, z głowami w korytach, leżały pokryte robakami i muchami gnijące szczątki zagłodzonego bydła.

U sąsiada Matsumura zobaczył krowę z cielakiem. Cielę próbowało ssać mleko, ale krowa nie chciała, żeby wysysało z niej życie. Kopnęła raz. Spróbowało znowu. Drugi kopniak. Zdezorientowane zwierzę znowu podeszło do wymion. Trzeci raz kopnęła tak, że cielę zrozumiało. Ryczało. Obolałe i głodne. W rogu stodoły zwisał sznur. Zaczęło ssać. Może wyglądał jak końcówka wymiona? Następnego dnia ani matka, ani dziecko nie żyli.

Zapach rozkładających się trupów. Tak pachniała późna wiosna 2011 roku w Tomioce.

Chciałby, żeby za głodową śmierć zwierząt ktoś wziął odpowiedzialność. Najlepiej ktoś, kto do tej śmierci się przyczynił. Trzy razy jechał do Tokio.

Pierwszy raz do głównej siedziby TEPCO z żądaniem: przyznajcie się, że to przez was!

Odpowiedzieli, że w pierwszej kolejności muszą zapanować nad zepsutą elektrownią. Takie mają wyznaczone priorytety od rządu: najpierw elektrownia, a potem martwe zwierzęta. Tak samo jest z rekompensatami dla ludzi. Wypłacano jakąś część za to, że nie mogą uprawiać swoich pól albo wypływać na połowy. Resztę dostaną, kiedy sytuacja w elektrowni zostanie opanowana.

To są sprytni ludzie, uważa Matsumura. Zamiast umysłu mają maszyny. Przed marcem 2011 roku też zdarzały się wypadki. Jakieś przecieki, o których donosiły

gazety. A kiedy razem z członkami ochotniczej straży pożarnej pojechali zapytać, jak TEPCO ma zamiar poradzić sobie z tą niebezpieczną sytuacją, tamci udawali, że nie wiedzą, o co chodzi. Wszystko jest w porządku. Elektrownie są bezpieczne. A przecież nie są. Jak w 2007 roku po trzęsieniu ziemi w Niigacie wybuchł pożar w budynku reaktora, to chyba tylko cud nas uratował, twierdzi Matsumura. A jak w 1999 pracownicy elektrowni w Tōkai, żeby zaoszczędzić na czasie, zamiast w specjalnym zbiorniku mieszali paliwo w wiadrze? Dwóch z trzech pracowników zmarło. Napromieniowało ponad sto osób. I jak tu mówić o bezpieczeństwie? A co się dzieje teraz? Przecież Fukushima Daiichi cały czas cieknie. Wody gruntowe przepływają przez reaktory i skażone wpływają do oceanu. TEPCO w ziemi buduje ścianę z lodu, żeby je zatrzymać. Ale na razie codziennie do Pacyfiku wpływa 150 ton skażonej wody.

Drugi raz Matsumura pojechał też do siedziby TEPCO. Pokazać list ze Stanów. Amerykanie dowiedzieli się w wiadomościach o ostatnim mężczyźnie ze skażonej strefy. Strażnikowi Fukushimy, jak lubią nazywać Matsumurę w mediach. Zrobili zbiórkę, zebrali trzysta tysięcy jenów. Matsumura poszedł do TEPCO. Wy nie uznajecie swojej winy, ale ludzie z całego świata to widzą. Patrzcie – to są dotacje, które dostaję, a to listy poparcia. Wspiera mnie cały świat.

Odpowiedzieli. Za każdym razem odpowiadają. „Nie umiemy czytać po angielsku”

Za trzecim razem dołączył do Yoshizawy – rolnika, który wyśmiał rząd, kiedy kazali mu zabić jego stado. Został na swojej farmie. Nikt mu nie będzie mówić, co ma robić. Po czterech latach na skórze jego krów pojawiły się białe plamki. Razem z Matsumurą załadowali jednego byka na ciężarówkę i zaparkowali przed Ministerstwem Rolnictwa. Czemu rząd tego nie bada? Czemu nie sprawdza, jakie efekty wywołuje promieniowanie? Czemu czyści ziemię i zachęca ludzi do powrotu?

Policja nie dała wyprowadzić byka z ciężarówki. Do Fukushimy wrócili we trójkę.

W Tomioce przez dwa lata nie naprawiono zepsutych linii elektrycznych. Dla jednej osoby? Matsumura opalał dom węglem. Nie cały. Tylko salon, gdzie ułożył sobie legowisko. W ubikacji ustawił dwa wiadra wody, tak samo w łazience obok prysznic. Do picia miał wodę ze studni, po jedzenie dla siebie i zwierząt jeździł dwa razy w miesiącu. Czasem łowił ryby w pobliskim strumieniu. Wiosną zrywał młode pędy, jesienią grzyby.

Wieczorami zapalał świece ołtarzowe. Cienkie, nie dawały za dużo światła. Ustawiał je w wiązках po dziesięć. Otwierał puszkę z fasolą w sosie pomidorowym.

Romantyczna kolacja.

W nocy biegały po nim myszy.

A skoro już tu był, napromieniowywał się, pił wodę ze studni, jadł ryby ze strumienia i grzyby z lasu, naukowcy zaczęli prosić go o pomoc w eksperymentach.

Pierwszy zgłosił się profesor, który chciał sprawdzić, czy słoneczniki usuwają promieniowanie z ziemi. Matsumura obsadził całe pole.

Nie usuwają.

Drugi chciał zbadać, czy skażenie da się usunąć, dając krowom do jedzenia radioaktywne rośliny. Zamiast spalać je w budowanych spalarniach, można by je dać skażonej krowie, odchody zamknąć w puszkach, a puszki dołączyć do składu tymczasowego, w którym leży ziemia zbierana ze skażonych miast. Naturalny recykling.

Projekt nie uzyskał rządowej aprobaty.

Teraz Matsumura myśli o tym, żeby badać pszczoły. Na owadach łatwiej zaobserwować wpływ promieniowania. Rozmawia z jednym z profesorów. Może zacząć badania.

Cez-134 już dwa razy przeszedł cykl połowicznego rozpadu, wylicza Matsumura, jeszcze cztery lata i można by wracać, gdyby nie cez-137. Ale przecież miasto jest czyszczone. W 2011 roku było prawie osiem mikrosiwertów, a teraz są trzy.

Licznik zepsuł mu się już dawno. Nie dba o to. Kiedy pojechał zmierzyć przyjętą przez siebie dawkę, lekarz zaczął krzyczeć. Ale nie podał mu wyników. Powiedział tylko, że Matsumura jest czempionem promieniowania. I żeby przestał jeść te grzyby i ryby. Wtedy na raka zachoruje za trzydzieści lat. Wtedy, pomyślał Matsumura, i tak nie będę już żył.

Wysłał do TEPCO jeszcze jeden list. Po śmierci odda im swoje ciało na eksperymenty.

Odpowiedzieli, że nie są zainteresowani.

Matsumura odpala papierosa za papierosem. Częstuje rozpuszczalną kawą. Ciągłe nie ma wody bieżącej, toaletę spuszcza wiadrem. Ale jest prąd i włączony non stop telewizor.

Prędzej umrę od tych papierosów, a nie od promieniowania, śmieje się Matsumura. I przez pięć godzin nie przestaje mówić.

Już nie ma psów do dokarmiania. Wszystkie zabrano. Ale zostało mu bydło, które znajdował błakające się po drogach. Całe stado trzyma na polu na drugim końcu miasta. A obok domu ma jednego strusia, jednego kucyka, jedenaście krów (które nie lubią kucyka), dziewięć kotów i psa. Chude toto. Wygłodzone. Ale pieniądze nie wezmą się z powietrza. Samo siano dla krów kosztuje tyle co miesięczna

rekompensata od TEPCO za spowodowanie szkód psychicznych. Każdy ewakuowany dostaje sto tysięcy jenów. Matsumura też, choć technicznie ewakuowanym nie jest. Wypłaty skończą się w 2018 roku. Rok po tym, gdy – według rządowego planu – wszystkie wioski i miasteczka z ewakuowanej strefy zostaną oczyszczone z promieniowania. Oprócz Ōkumy i Futaby, na granicy których stoi Fukushima Daiichi. Co z nimi zrobić, pomyśli się później.

Nie czuje się samotny. Znalazł dwa koty w lesie. Biały i rudy, pręgowany. Razem chodzą na obchód gospodarstwa. Przyjeżdżają dziennikarze, fotografowie, filmowcy. Przyjeżdżają profesorowie. Nawet żona premiera przyjechała. Podpisała się na ścianie. Gdyby nie katastrofa, miałbym zwykłe życie i umarłbym zwykłą śmiercią, mówi Matsumura. I długo żegna się w drzwiach.

W kwietniu 2015 roku biała kotka urodziła pięcioro kociąt. Wszystko z nimi w porządku. A skoro wszystko z nimi w porządku, to może z ludźmi też nie będzie źle, pyta na odchodne Matsumura.

Wieczorami znowu zostaje sam. Na ulicach ciągle nie ma świateł. Cisza brzmi tutaj dziwnie, twierdzi Matsumura. Zbyt cicho. Jakby była czymś namacalnym, obecnym tuż obok.

To coś więcej niż samotność.

ŚMIERĆ W TOKIO

Sesja zaczyna się o siódmej wieczorem, tak żeby można było wpaść na nią po pracy. Całość trwa nie dłużej niż półtorej godziny, kosztuje tysiąc jenów (dziesięć dolarów). Najpierw drobny poczęstunek, kawa, herbata. W tle muzyka fal prosto z Hawajów. Uczestnicy – sześć obcych sobie osób – popijają herbatę. Rozmawiają o śmierci.

Najmłodszy ma 26 lat, najstarszy – 67.

– Umierają młodszy ode mnie: moi przyjaciele, moi kuzyni – mówi pani Takamura, która niedawno skończyła 59 lat. – Od śmierci niewiele już mnie dzieli.

Podnosi się z krzesła i staje przed trumną. Proste, drewniane pudło. Krawędzie zdobi ornament z liści. Ściany i dno wyłożono błyszczącą satyną. Pani Takamura kładzie się w środku: – Tu jest więcej miejsca, niż myślałam!

Prowadzący okrywa ją białym kocem. Pyta, czy wszystko w porządku. Zamyka wieko. Zostawia tylko otwartą szybkę. Czas na zdjęcia. Pani Takamura prosi, żeby zrobić jedno jej telefonem. Teraz można zasłonić również szybkę.

Po pięciu minutach prowadzący uchyla wieko. Kobieta otwiera oczy. Uśmiecha się.

– Bałam się, że to będzie straszne. Ciasno, ciemno, zimno. I nic nie słyszeć. Ale zamiast tego czułam spokój.

Tokio zaczęło przygotowywać się na śmierć już w 2009 roku. Na początku głównie starsi. Ponad jedna czwarta Japończyków ma powyżej 65 lat. Trzydzieści milionów osób. Często mieszkają samotnie – dzieci wyjechały, żona umarła. Wolą przygotować wszystko sami. Po co zwałąć własny pogrzeb na innych?

W 2010 roku firma Shukan Asahi Mook sprzedała pół miliona egzemplarzy instrukcji: jak przygotować się na śmierć. Jest w niej wszystko. Jak wybrać firmę pogrzebową? Jak powinien wyglądać godny pogrzeb? Jak zrobić dobre wrażenie na żałobnikach? I oczywiście know-how na temat rodzajów pochówków, grobów, kremacji.

Ci, którzy chcieli pójść krok dalej, kupowali „Ending Notes” opublikowane przez Kokuyo Co (w 2009 roku ukazał się w tym samym wydawnictwie przewodnik na temat spisania testamentów). To 64 strony do wypełnienia w wolnych chwilach. Sugerowane pytania: jak powinien wyglądać mój pogrzeb? Co zrobić z moim blogiem? Co ze zwierzętami? Zdjęcia spalić czy zachować? Co z pieniędzmi znalezionymi w moim portfelu? Co z kartami kredytowymi? Jakie pożegnalne wiadomości chcę przekazać

żonie, jakie dzieciom, a jakie znajomym od brydża?

Firma Kokuyo Co dba o satysfakcję swoich klientów. Papier jest gładki, dobrze się na nim pisze. „Ending Notes” łatwo się otwierają i leżą płasko – nic nie irytuje bardziej niż ciągle zamykający się zeszyt. Kiedy już go wypełnimy, powinniśmy zadbać, żeby leżał w widocznym miejscu. Kiedy umrzemy, ktoś, kto nas znajdzie, dzięki naszym zapiskom będzie wiedział, co ma robić.

„Ending Notes” kupiło ponad 360 tysięcy osób w wieku od 14 do 97 lat.

Planowanie własnej śmierci ma już swoją nazwę. To *shukatsu* (終活). Brzmi tak samo jak słowo, które oznacza poszukiwanie pracy tuż po studiach (就活). Różni się tylko pierwszym znakiem. 就 oznacza „zajmować pozycję.” 終 to „koniec”

Po 2011 roku usług związanych z planowaniem własnego końca zaczęło przybywać.

W Tokio z własną śmiercią można się skonfrontować nawet w supermarkecie. Największa sieć sklepów i centrów handlowych – AEON – prowadzi rocznie sto seminariów, w trakcie których doradcy śmierci tłumaczą, jak spisać testament, jak opodatkowane są spadki, ile kosztuje pogrzeb. W Japonii to zwykle wydatek rzędu dwóch milionów jenów (około osiemnastu tysięcy dolarów). Ale AEON organizuje pogrzeby za jedną czwartą tej sumy. Taki pogrzeb jest mniejszy (do pięćdziesięciu gości) i skromniejszy niż pogrzeb w świątyni buddyjskiej. Ale za dodatkową opłatą można zaprosić mnicha i wypożyczyć eleganckie stroje dla żałobników.

Po sesji z doradcą czas na zdjęcie. Fotograf ustawia lampy, prosi o uśmiech. Gotowe. Dobrze jest mieć trumienne zdjęcie, na którym jesteście w sile wieku.

Jeszcze tylko przygotowywanie pożegnalnych listów i na koniec uczestnicy jeden po drugim wchodzą do trumny. Dzisiaj można się ułożyć w bardzo eleganckim modelu z wnętrzem obitym śliskim materiałem w odcieniu fioleto. Jest też model hawajski z zielonymi liśćmi i połyskliwym tęczowym wiekiem. Oraz model eko – z kartonu.

Przygotowywanie się na śmierć to jak szykowanie się do ślubu. Trzeba wybrać trumienny strój, dobrać makijaż, zdecydować się na kształt urny, do której przesypią nasze prochy. Kolejny etap to planowanie tego, co wydarzy się po pogrzebie. Pomaga w tym firma Yahoo, która założyła specjalny serwis Yahoo Endings. Dzięki niemu po naszej śmierci znikną z pamięci serwerów zaznaczone przez nas maile, zdjęcia i pliki. Po kremacji naszego ciała zostaną rozesłane przygotowane przez nas wcześniej pożegnania. „Kochana Żono, jeśli to czytasz, oznacza to, że opuściłem ten świat... Obiecałem Ci, że nigdy nie umrę przed Tobą. Przepraszam. Dzięki Tobie byłem szczęśliwy. Dziękuję Ci” – to jedna z wersji maila proponowanego przez Yahoo. Oczywiście każdy może napisać własne pożegnanie. Firma będzie trzymała je

na serwerach, dopóki nie umrzemy. Koszt usługi? Dwa dolary miesięcznie.

Można pójść jeszcze krok dalej i zdecydować, co się stanie z naszymi prochami. Ułatwiają to firmy turystyczne. Organizują wycieczki, podczas których w różnych miejscach Tokio rozsypuje się torebki z solą imitującą prochy. Gdzie chciałbyś, żeby ciebie rozsypało? W morzu? W parku? A może ze szczytu wieżowca?

Siedemdziesięcioletnia Hatsue poczuła, jak szybciej bije jej serce, kiedy z niewielkiego statku rozsypywała sól nad wodami Zatoki Tokijskiej.

– Moja najstarsza córka mieszka w Stanach. Jeśli rozrzucą mnie po oceanie, będę zawsze blisko niej. Planuję moją śmierć, póki jestem zdrowa, bo nie chcę robić problemu dzieciom.

Podobne wycieczki organizowane są po cmentarzach. Który wybierzesz dla siebie? Popularnością cieszy się Ruriden – ośmioboczny budynek na terenie świątyni Kōkokuji. Żałobnicy wchodzi do sali, w której na sześciu ścianach stoi 2046 kryształowych figurek Buddy podświetlanych ledowymi lampkami. Za każdą z nich stoi urna z prochami. Kiedy rodzina wpisze kod, podświetli się odpowiednia figurka. Intensywność światła zmienia się zależnie od pory dnia i pory roku.

Inny cmentarz – Shinjuku Rurikōin Byakurengedō – wybudowano w wieżowcu. Urny gromadzone są pod ziemią. Wystarczy przyłożyć kartę do czytnika, żeby w pokoju żałobnym pojawiła się urna z prochami dziadka, a na niewielkim ekranie – jego zdjęcie.

Popularne stają się również pochówki w cieniu drzew – we wspólnych grobach pod wiśnią. O takie groby nie trzeba dbać – zmarły nikomu już nie sprawia problemów. Rodziny, które się decydują na pochówek pod tym samym drzewem, poznają się na spotkaniach organizowanych przez The Ending Center – przecież człowiek chciałby wiedzieć, z kim spędzi wieczność. Wołają na siebie *hakatomo* – grobowy przyjaciel.

Ale wcale nie trzeba kończyć życia na cmentarzu. Inne opcje zaprezentowano podczas pierwszych tokijskich targów śmierci – ENDEX. Odbyły się pod koniec 2015 roku. Trwały trzy dni. Ponad dwustu wystawców, ponad dwadzieścia dwa tysiące zwiedzających. Oprócz sprzedawców trumien, kadzideł, ubrań, karawanów, ołtarzy i kamiennych nagrobków pojawiły się firmy oferujące bardziej nietypowe usługi (w ciągu roku w Japonii umiera milion trzysta tysięcy Japończyków, funeralny biznes wart jest szesnaście miliardów dolarów). Jeśli nie udało ci się znaleźć idealnego miejsca pochówku, prochy możesz zamienić w diament (czerwony dla ciepłych ekstrawertyków, pomarańczowy dla wytrwałych i ciekawskich, zielony dla zrównoważonych i pewnych siebie, niebieski dla szczerych i uduchowionych, biały dla otwartych i serdecznych). Albo wysłać w kosmos (to oferta amerykańskiej firmy współpracującej z NASA). Cztery tysiące dolarów zabierze cię rakieta w przestrzeń

kosmiczną. Osiem i pół tysiąca dolarów pozwoli polecieć na orbitę na pokładzie satelity. Dzięki GPS-owi rodzina będzie mogła śledzić twoją wędrówkę przez następne dwieście czterdzieści lat. Z kolei dwadzieścia dwa tysiące dolarów zapewni ci lądowanie na Księżycu. Inna firma oferuje serwis Spadająca Gwiazda – urna okrąży Ziemię, a potem spadnie, płonąc w atmosferze. Koszt? Dwa i pół tysiąca dolarów.

Ci, którzy już zaplanowali własną śmierć, mówią, że czują się spokojniejsi. Teraz naprawdę mogą cieszyć się życiem.

ZBADAJ SIĘ

Żeby zbadać marchewkę, najpierw musisz wypełnić aplikację. Gdzie marchewka została zebrana? Którego dnia? Cechy charakterystyczne farmy (górzysta? W dolinie? Nad morzem?). Jeśli zmierzyłeś, podaj wynik pomiarów powietrza licznikiem Geigera.

Aplikację wyślij mailem. Albo faksem.

W dniu badania obierz marchewkę ze skórki i pokrój na pięciomilimetrowe kawałki. Włóż do czystego opakowania – foliowej torebki albo plastikowego pojemnika. Do pomiaru potrzebny jest pełen litrowy pojemnik. Jedna marchewka nie wystarczy.

Umówionego dnia staw się w naszym Punkcie Mierzenia Pierwiastków Radioaktywnych „Tarachine” w Iwaki. Zostaw próbkę. Przyjedź po wyniki. Próbkę zabierz ze sobą.

Koszt: 5 dolarów za próbkę jedzenia. 20 dolarów za próbkę płynu. 20 dolarów za próbkę mleka matki.

Żeby zbadać ziemię, najpierw wypełnij aplikację. Przygotuj przynajmniej litrowy pojemnik ziemi pobranej z pięciu różnych miejsc twojego pola – środka i czterech rogów. Pobierając próbkę, wkop się 15 centymetrów w głąb. Każda porcja powinna mieć tę samą objętość.

Pobierz próbkę tydzień przed umówioną datą spotkania.

Nie pobieraj próbki tuż po deszczu.

Odbierz wyniki. Próbkę zabierz ze sobą.

Koszt: 20 dolarów.

Żeby zbadać siebie, wypełnij aplikację. Imię, nazwisko, data urodzenia, waga, wzrost.

W dniu badania załóż na siebie czyste i lekkie ubranie. Do badania zdejmij buty. Jeśli będzie to konieczne, poprosimy cię o rozebranie się. Usiądź na fotelu. Badanie detektorem trwa pięć minut. Czasem trzeba je powtórzyć. Wyniki dostaniesz od razu.

Jeśli chcesz przebadać swoje dzieci, pamiętaj, że muszą mieć ponad dwa lata, mierzyć co najmniej 80 centymetrów i ważyć co najmniej 15 kilogramów.

Koszt: 10 dolarów. Do osiemnastego roku za darmo. Kobiety w ciąży za darmo.

Do Punktu Mierzenia Pierwiastków Radioaktywnych „Tarachine” w mieście Iwaki ludzie przywożą:

jabłka,
kapustę,
szpinak,
brokuły,
rzodkiewkę,
bulwy lili,
cytryny,
suszone owoce persymony,
grzyby,
ryż,
skórę i ości łososa,
łososa w puszcze,
flądry,
soję,
wodorosty,
krewetki,
ostrugi,
suszone płatki tuńczyka bonito,
szkolny lunch,
zupę w proszku,
mleko,
bawełnę,
wodę z kranu,
wodę ze studni,
wodę z rzeki,
liście z ogrodu,
popiół z kominka,
kurz z pojemnika odkurzacza,
ziemię z farmy,
piasek z plaży,
wodę z morza.

GRANICA

Jedziemy z Kentą do Iitate. Pokaże mi, za czym tak bardzo tęskni. Tereny ewakuowane ministerstwo podzieliło na trzy części. Zaznaczyło je kolorami na mapie. Zielone są gotowe do zamieszkania. Roczna dawka promieniowania nie przekracza tu 20 milisiwertów. Tam, gdzie jest żółto, można wracać na osiem godzin w ciągu dnia, ale nie wolno w nich nocować. Kiedy skończy się czyszczenie skażonej ziemi i domów (i kiedy promieniowanie zmaleje poniżej 20 milisiwertów), będzie można tu znowu mieszkać. I czerwone. Żeby tu wjechać, trzeba mieć specjalne pozwolenie. Nie wiadomo, kiedy – i czy w ogóle – będzie można do nich wrócić.

Dom Kenty stoi w żółtej strefie.

Wytyczne ministerstwa mówią jasno: czyścimy tylko dwadzieścia metrów naokoło budynków i dróg. Robotnicy rozwieszają białe taśmy między pniami drzew, żeby zaznaczyć granicę między tym, co oczyszczone, a tym, co skażone.

Kenta w Iitate czuje się nieswojo. Za dnia przebywa tu siedem i pół tysiąca mężczyzn. Siedem i pół tysiąca obcych twarzy. Akcent też jest obcy. Z Hokkaido, z południa Honsiu, z Kiusiu. Przyjeżdżają tu z całej Japonii, kusi ich dobrze płatna praca. Polewają domy wodą ze szlauchu, wycierają ręcznikami papierowymi. Zbierają wierzchnią warstwę ziemi i pakują do czarnych worków. Pola ryżowe zamienili na skład tymczasowy – ma kilometr długości. Stoją te worki jedne na drugich, każdy waży tonę. Góry nuklearnych śmieci.

Wchodzimy do domu Kenty. Jego ojciec ciągle tu mieszka, nic sobie nie robi z zakazu. Maszyny w warsztacie kosztowały fortunę, nie chce, żeby ktoś mu je ukradł. Na noc spuszcza psy. Niedawno dostał pozwolenie na uruchomienie warsztatu. Ziemia naokoło została oczyszczona.

Ojciec Kenty wyłącza telewizor. Idzie do kuchni, nastawia wodę na herbatę. Kenta oprowadza mnie po domu. Sam go budował. Razem z ojcem 15 lat temu kładli podłogi, tynkowali ściany i wstawiali framugi. Po trzęsieniu podnieśli ołtarz bogów szinto, który zwałił się na ziemię, i znowu ustawili pod sufitem. Pod ścianą stoi ołtarz buddyjski z *ihai* dziadka Kenty. Kenta zapala kadzidła, składa ręce i nisko pochyla głowę.

A potem zabiera mnie na spacer. Eleganckie białe półbuty zamienia na kalosze

wykładane filcem. Idziemy przez ogród przydomowy, w którym już nie rosną jego ulubione brokuły, bo na piachu, którym podczas czyszczenia zastąpiono żyzną ziemię, nic nie wyrośnie. Między pniami drzew wisi biała taśma. Granica. Kenta schyla się i przechodzi na drugą stronę. Jodły, kryptomerie, cyprysy, sosny, klony, dęby. Ziemia pełna jest zwiędniętych liści, szeleszczą przy każdym kroku. Kenta zatrzymuje się na chwilę, kiedy spod nóg ucieka mu czarny wąż. Schyla się po patyk. Jedno ugryzienie wystarczy, żeby trafić do szpitala. Lepiej mieć się czym bronić.

Niedawno stopniał śnieg, na gałęziach pojawiły się pączki. W powietrzu czuć wiosnę. Do litate zawsze przychodzi później. Wioska leży 500 metrów nad poziomem morza, zimy są tu długie i surowe. Ziemia jest zamarznięta od listopada do marca.

Kenta rozsuwa liście patykiem. Szuka młodych pędów bambusa, wystają ledwo co nad poszycie lasu. Kształtem przypominają grube szparagi. Ale zamiast bambusa znajduje pęd lepiężnika, grube łuski kryją w środku pączki kwiatów. Zrywa go odruchowo. Tak samo, z odruchu, sięga po liście kolcorośli, a z gałęzi aralii japońskiej ułamuje młode pączki.

– *Taranome* – mruczy pod nosem. – Moje ulubione.

Zna się na dzikich roślinach. Kiedyś wiosną wychodził z domu wczesnym rankiem, jeszcze przed pracą. *Taranome, takenomo, warabi, fukinoto*. Zanurzał je w cieście, wrzucał na wrzący olej, posypywał solą albo maczał w sosie sojowym. Pędy bambusa jadł na surowo. Czasem gotował je w wodzie po ryżu z pokrojoną papryczką chili. A czasem marynował je w startej rzodkwi.

Dochodzimy do strumienia, w którym Kenta razem z kolegami łowił *iwany*. Chwilę patrzy na wodę. Zawraca. Przechodzimy pod białą taśmą rozwieszoną między pniami drzew. Idziemy w stronę krytego spadzistym dachem domu z żółtymi ścianami. Kenta rozkopuje butami piasek w przydomowym ogródku.

Las to siedemdziesiąt procent powierzchni litate. Czyści się go tylko do dwudziestu metrów od zabudowań. Reszty się nie rusza. Gdyby można było wrócić do tego, co było, Kenta nie wahałby się ani chwili. Ale tamtego litate już nie ma.

Kenta otwiera drzwi, w korytarzu zdejmuje buty. Po matach *tatami* można chodzić tylko w skarpetkach. Mija ojca, który w pokoiku służącym za biuro czeka z herbatą. Idzie do kuchni.

Otwiera kosz na śmieci i wyrzuca zebrane tego dnia pędy i liście.

– Zatrute.

STREFA

Na północy Japonii powtarzają sobie z ust do ust historię o kobiecie, która zabłądziła w lesie. Cienie coraz bardziej się wydłużały, a ona nie mogła znaleźć drogi do domu. Skręcała w kolejne leśne ścieżki, ale cały czas miała wrażenie, że jest w tym samym miejscu. Aż w końcu dostrzegła ścieżynkę przykrytą igliwem. Ostrożnie stawiała kroki, naokoło robiło się coraz ciemniej. Kiedy już miała zawrócić, promienie zachodzącego słońca oświetliły drewnianą bramę.

Ale co to była za brama! Zdobiona płaskorzeźbami tak pięknymi, że wydawały się żywe. Koniom powiewały grzywy, jabłka toczyły się po trawie, z chmur wylatywały smoki. Furtka była uchylona. Kobieta weszła do środka.

Stała w ogrodzie, który mienił się żółcią i czerwienią. Nad niewielkim stawem niebiesciły się irysy, nad studnią pochylała się kwitnąca wiśnia z bladnoróżowymi kwiatkami, przy murze stała dorodna persymona z gałęziami uginającymi się pod ciężarem błyszczących pomarańczowych owoców.

Zawołała cicho. Odpowiedział jej tylko wiatr. Zerwał delikatne płatki wiśni, otoczył ją bladnoróżowym wirem. Kobieta spojrzała w stronę domu. Z komina unosił się dym. Rozsunęła drzwi wejściowe. Nad paleniskiem wyciętym między matami *tatami* wisiał żeliwny czajnik. Gotowała się woda na herbatę. Kobieta zawołała trochę głośniej. Nikt jej nie odpowiedział. Zdjęła buty i weszła do salonu. W belkach pod sufitem artysta wyciął postacie królika i żaby. Drzwi do wewnętrznego ogrodu całe były z papieru, tylko na dole miały przeszklone otwory. Gdy się uklęknie, widać przez nie porośnięte mchem kamienie.

Może właściciele zaraz wrócą?

Kobieta chodziła po domu. Każdy pokój wydawał jej się piękniejszy od poprzedniego. W życiu nie widziała takich misek z drzewa wiśniowego, takich czarek do herbaty, takich malunków tuszem.

A może coś im się stało?

Obeszła cały dom. Nikogo nie było. Na stole w kuchni stały miseczki przygotowane do kolacji. Wyszła do ogrodu. Nikogo. Cofnęła się do zdobionej bramy i pobiegła ścieżynką przysypaną igliwem.

Nogi same ją niosły. Nie wie, jak i kiedy znalazła się w wiosce. Od razu opowiedziała mężowi o dziwnym i pięknym domu, w którym nikogo nie ma. Mężczyźni z wioski ruszyli na poszukiwania. Pokazywała im drogę, ale choć znaleźli

ścieżynkę z igliwiem, to na jej końcu stała zwykła leśna polana. Na środku dzika persymona, która obrodzi dopiero jesienią.

Coś się kobiecie musiało przyśnić.

Ale następnego dnia, kiedy prała nad rzeką pościel, woda przyniosła jej dwie miski z drzewa wiśni. Te same, które widziała w domu z bogato zdobioną bramą. Chwycała je i zaniosiła do domu. Miski pełne były ryżu. Za każdym razem, kiedy je opróżniała, napełniały się na nowo.

Tak właśnie działa *mayoiga*. Samotny dom ukryty w lesie, który sprawia wrażenie, jakby dopiero co opuścili go właściciele. Tym, którzy go odwiedzają, przynosi szczęście.

Wjeżdżamy z Takamitsu do pustego miasta. Zakurzone witryny, zarośnięte grządki, złamane słupy telegraficzne, powyginane trzęsieniem metalowe rolety. Szpary w asfalcie – pęknięcia, z których wyrasta trawa. Gorąco. Cicho. Takamitsu zatrzymuje się przed torami. Z odruchu rozgląda się na boki. Tory zarastają chaszczę.

Równe rzędy domów z załamanyymi liniami tam, gdzie zapadł się dach albo przekrzywiła ściana. Ale większość z nich cały czas stoi prosto, tylko szyby są zakurzone. Nie można zobaczyć, co było w środku. Na dachu rośnie trawa.

Takamitsu tłumaczy: to sklep z warzywami, tu restauracja z *ramen*, tutaj *ryokan* – hotel w stylu japońskim, z *tatami* na podłodze. Tu mieszkał miejscowy lekarz, tam była stacja benzynowa i sklep z papierosami.

Tam była moja szkoła, tu robiłem zakupy, a do tamtego parku chodziło się na randki, jak byliśmy nastolatkami.

Słucham bajki o zacczarowanym mieście. W bajce zła siła wygoniła wszystkich mieszkańców z ich domów. Teraz jest martwe. Jego historia została zaklęta w tych zakurzonych szybach i niszczących budynkach. Zarośnięta krzakami i dzikim winem.

Ale jest jeden sposób, żeby ożywić miasto na nowo. Jeśli choć na godzinę przyjedzie tu były mieszkaniec, miasto ożywa dzięki jego pamięci. Na chwilę znowu staje się tym, czym było. Rozbrzmiewa pozdrowieniami, wypełnia się zapachem tempury z warzyw i dźwiękiem automatycznie rozsuwanych drzwi.

Gdy mieszkańcy wyjadą, a muszą wyjechać przed zmrokiem, miasto znowu umiera. A jeśli ktoś wjedzie tu sam, bez przewodnika, zobaczy tylko rząd zakurzonych domów – bez żadnego znaczenia.

W tych domach wszystko wygląda tak, jakby za chwilę mieli pojawić się właściciele. Na stole stoją miski przygotowane do obiadu, w przedsionku kapcie ustawione tak, żeby łatwo było je założyć po powrocie do domu. W salonie, na kanapie, otwarta gazeta.

Tylko niezerwane kartki z kalendarza zdradzają, że od dawna nikogo tu nie było.

12 marca 2011 roku.

W supermarketach na ziemi walają się torebki z makaronem instant, butelki z wodą i puszki z jedzeniem. Nikt ich nie podniósł po trzęsieniu ziemi. Między półkami rozciągają się gęste pajęczyny. W salonach *pachinko*, przy automatach, leżą monety przygotowane do gry. W biurach stoją komputery pokryte ptasimi odchodami. W restauracjach miseczki z sosem sojowym stwardniałym na kamień. W szkolnych szafkach ciągle leżą buty. Motor oparty o latarnię ledwo widać spod obrastających go krzaków. Przed stacją kolejową zaparkowane od pięciu lat rowery. Obok budka telefoniczna z książką pokrytą grubą warstwą kurzu. W środku panoszy się powój. I pająk – wielki jak pięść. Kiedy podnoszę zieloną słuchawkę, słyszę głucho buczenie. Ciągle mają tu sygnał.

Tylko ludzi już tu nie ma. Miasta przejęły zwierzęta. Po ulicach biegają stada na wpół dzikich psów. Do spiżarni włamują się spasiose dziki i wielkie świnie. Kruki walczą z kotami i szopami o jedzenie porzucone przy drodze przez wolontariuszy, którzy czasem przekradają się polnymi drogami do zamkniętej strefy. Ale prawdziwymi królami są szczury i myszy. Zawładnęły domami, poprzegryzały kable, maty tatami, papierowe drzwi zdobione malunkami z tuszem. W cienkich futonach urządziły sobie legowiska. Korytarze pełne są ich odchodów.

Ōkuma, Futaba, Namie, Tomioka, Iitate, Odaka, Naraha. Miasteczka pełne samotnych domów, które nikomu już nie przynoszą szczęścia.

POWROTY

Instynkt każe im wracać. Co roku, na jesieni. Ale zanim popłyną w górę rzeki, przeskakując przez bystrzyce i wodospady, czekają kilka dni w Pacyfiku. Na nowo przystosowują ciała do słodkiej wody. Nie będą już jadły – zanika im żołądek. Zostaje więcej miejsca na ikrę i spermę. Energię daje im zgromadzony w ciele tłuszcz. Ich mięso traci smak i zmienia kolor z różowego na biały. Staje się gąbczaste. Kolor skóry też się zmienia – ze srebrzystego na zgniłzielony. Samcom żuchwa zagina się ku górze.

Łososie pacyficzne są gotowe na tarło.

Wpływają do rzeki.

Kiedy dotrą do źródeł, w płytkim dnem wyłożonym żwirem samice wykopują dołek i składają ikrę. Samce polewają jajeczka spermą i zakopują. I samce, i samice umierają. Ich trupy płyną z powrotem do oceanu.

Wiosną młode są na tyle duże, żeby ruszyć w dół z nurtem rzeki. Wrócą dokładnie w to samo miejsce za cztery lata. Instynkt nigdy łososi nie zawodzi.

Wykorzystują to japońscy rybacy.

Jesienią wzdłuż rzek rozstawiają sieci. Łapią w nie dorosłe łososie, rozpruwają im brzuchy, wydobywają ikrę, wydobywają spermę i w specjalnych wylęgarniach hodują młode. Kiedy podrosną, wypuszczają je do rzeki. Dzięki temu przeżywa więcej narybku. Wrócą tu za cztery lata. Część odłowi się jeszcze w oceanie, kiedy ich mięso jest jędrne i różowe. A reszcie pozwoli się wpłynąć do rzeki, gdzie już czekają sieci.

W pięciu rzekach prefektury Fukushima na wiosnę wypuszczano 56 i pół miliona młodych ryb. Tylko na Hokkaido i w Iwate hodowano więcej łososi. A z pięciu rzek Fukushima rzeka Kida płynąca przez Narahę była najbardziej płodna. W żadnej innej rzece na całym Honsiu na jesieni nie łapano tylu ryb.

Tak było kiedyś. Rybacy z Narahy musieli się ewakuować. Na jesieni 2011 roku nikt nie łapał wracających łososi. Dlatego na wiosnę 2012 roku nie było narybku do wypuszczenia. Dopiero w 2014 roku lokalny związek rybaków kupił narybki łososia w innej prefekturze i wpuścił do rzeki Kida.

Każda rzeka jest inna. Łososie je zapamiętują. Instynkt mówi im, jak długo będą płynąć do źródeł – czasem jeden dzień, a czasem czternaście. Ich ciało jest odporne na pasożyty, które żyją w tej konkretnej rzece. Czy narybki z Iwate poradzą sobie

w rzekach Fukushima? Czy wrócą w 2018 roku?

18 października 2015 roku nad rzeką Kida stanął kapłan szinto. Drewnianą różdżką, do której przymocowane są wstęgi białego papieru, odprawił rytuał oczyszczenia. O 11.30 rybacy, w gumowych spodniach na szelkach i w kaloszach do pół uda, weszli z sieciami do wody. Szli razem z nurtem, zaganiając łososię do rozstawionych w dole sieci. Wyciągali je gołymi rękoma i przekładali do wiader. Tego dnia złowili 120 łososi. To te, które zdążyli wypuścić w marcu 2011 roku, zanim zatrzęsła się ziemia, fala zalała wybrzeże i wybuchły reaktory w Fukushimie Daiichi.

Połowcy trwały do końca listopada. W sumie złowiono 8443 łososi.

26 marca 2016 roku nad brzegiem rzeki Kida zebrali się rybacy i przedszkolaki z Narahy. Razem wypuścili do rzeki młodziutki narybek. Przez te pół roku rybacy wyhodowali milion trzysta tysięcy ryb. Przed marcem 2011 roku hodowali co najmniej dwanaście milionów.

– Powrót do tego, co było, zajmie nam ponad dziesięć lat – powiedział Hideo Matsumoto, szef lokalnego związku rybaków.

Kiedyś do Narahy na jesieni wracało prawie 85 tysięcy łososi (w 2009 roku – 84 782). Teraz wraca niecałe dziesięć procent.

We wrześniu 2015 roku dla Narahy zniesiono nakaz ewakuacji. Z pięciu tysięcy mieszkańców wróciło dwieście osób.

PUSTY DŹWIĘK

Keiko Takahashi ma 24 lata i dość bycia ofiarą. To prawda, ciągle nerwowo się śmieje i ma kłopoty ze snem, zwłaszcza jeśli nie śpi w swoim łóżku. Ale ile jeszcze ludzie mają na nią patrzeć jak na skażoną? Zaczęło się od razu w 2011 roku, kiedy na rozpoczęcie roku uniwersyteckiego przysłała w masce. Jedna z nielicznych. Powiedziała, że jest z Ōkumy. Na korytarzu podszedł do niej jakiś chłopak: „Nas też zarazisz?”. Inny spojrzął na nią z góry: „Współczuję temu, który będzie musiał się z tobą ożenić”. Inni komentowali: „Szczęściara, dostaje odszkodowanie!”

Jakby nie wiedzieli, jak to jest z promieniowaniem. Jakby nic nie rozumieli. A przecież byli z Fukushima!

Keiko edukowali ludzie z TEPCO. Przychodzili do szkoły raz do roku. Tłumaczyli, że wszystko promieniuje. Drzewa, ptaki, kamienie, niebo. Ja i ty. Dzieci przykładały liczniki Geigera do przyniesionych przez nich skał. Sprawdzały wartości. Promieniowanie to naturalna rzecz. A to, co naturalne, nie może być niebezpieczne.

Po katastrofie Keiko odwiedziła swój dom dwa razy.

Ostatnio w 2015 roku, na wiosnę. W białym kombinezonie, w rękawiczkach, w osłonkach na buty. Pusto. Cicho. Wszystko zarośnięte krzakami. Na parterze domu Keiko stoi pianino. Ukochany mebel babci. Keiko dotknęła klawiszy. Głuchy pogłos. Dziwny, nieznaną dźwięk. Zamknęła wieko.

Nigdy więcej tam nie wróci.

– Nie jestem żadną ofiarą – woła Keiko! – Mam tego dość!

Jestem studentką.

Jestem dziewczyną.

Jestem człowiekiem.

Jestem Keiko!

PYTANIA

Dużo tu przestrzeni. Wzgórz, które dominują krajobraz. Zarośnięte, ze żłobieniami dolin, w których zieleń staje się ciemniejsza i gęstsza. Dużo tu rzek z brzegami zarośniętymi trawą. I strumieni z gładkimi kamieniami. Drzew z korzeniami porośniętymi mchem. Nawet ze stolicy prefektury widać góry. Te są już wyższe, skaliste. Kiedy zachodzi słońce, barwi je na fioletowy kolor.

Chciałabym móc to opisać. Ale słowa zawodzą, nabrzmią, opuchnięte, niedopasowane. Kłamią. Kłamią, kiedy opisuję piękno Fukushima. Kłamią, kiedy mówię o skażeniu. Bo takie piękno nie może przecież być skażone. A skażone miejsce nie może być tak piękne.

Czym jest oczyszczanie? Przenoszeniem skażenia w inne miejsce. Czym jest burzenie gór po to, żeby na skażone tereny przywieźć czystą ziemię? Niszczeniem środowiska. Czym jest rekonstrukcja? Budową zupełnie nowych wspólnot. Tych sprzed 2011 roku nie da się już odtworzyć.

Już niedługo ludzie będą mogli zapakować wszystkie rzeczy, które uzbierali przez te pięć lat, i wrócić do siebie do domu. Domu zarośniętego trawą, domu z przegryzionymi kablami, domu śmierdzącego odchodami myszy, domu z oknami wybitymi przez dziki i z legowiskiem lisów. Dom można posprzątać. Spleśniałe belki zastąpi się nowymi, naprawi się dach, wyrówna ściany. Ubrań żadnych nie ma, mebli też nie. Wszystko poszło do spalenia.

Odnowa domu to nie problem. Ale ci, co myślą o powrocie, wahają się. Chcą zobaczyć, ilu sąsiadów wróci. No bo jak to tak? Mieszkać samemu wśród pustych domów? A jak nie wróci sklepikarz? Albo ten słynny na całą okolicę producent kiełbas? Szło się do niego do sklepu, rozmawiało przez kilkanaście minut i wybierało wędzone wędliny. A jeśli nie wróci pielęgniarka, która w domu zawsze miała małą apteczkę? A jeśli nie wróci ulubiona sąsiadka, z którą rozmawiało się przez płot, przycinając róże? A co z doktorem? Jak wróci za mało ludzi, to nie otworzą szpitala, na ostry dyżur trzeba będzie jeździć do sąsiedniego miasta. A co ze szkołą? Otworzą podstawówkę? Bo do gimnazjum i liceum to już na pewno trzeba będzie dojeżdżać gdzie indziej. Gdzie będzie najbliższy supermarket? A najbliższy targ, na którym można by kupować świeże ryby? Czy dzieci będą mogły się bawić w lesie? W strumieniu? A co, jeśli zerwą jagody, pędy bambusa albo grzyby? I co z tym śniegiem? Podobno

jest bardziej radioaktywny.

Takie pytania zadają sobie ewakuowani. A ja nie przestaję pytać siebie:

Czy warto wydawać pieniądze na oczyszczanie wiosek, kiedy wrócić chce tylko jedna piąta mieszkańców?

Czy nie lepiej wydać je na budowanie życia pozostałych czterech piątych w nowym miejscu?

Czy warto ryzykować życie młodych robotników, którzy pracują przy odkazaniu wiosek i miast?

Czy można zabronić powrotu komuś, kto bardzo chce wrócić?

Czy jest do czego wracać?

Gdzie jest dom?

Nie wiem.

BĘDZIE TAKI PIĘKNY SŁONECZNY DZIEŃ

Będzie piękny słoneczny dzień. Powietrze nabierze lekkości po ciężkiej zimie. Światło położy się na ulicach długimi smugami. W taki dzień na niczym nie można się skupić – tylko snuć plany na przyszłość.

Po południu ludzie pójdą do parków. Rozłożą na ziemi niebieskie plastikowe płachty, zjedzą sushi kupione w supermarkecie, wystawią twarze do słońca. Po cichu wszyscy będą liczyć na to, że zawieje wiatr. Wtedy delikatne płatki kwiatów wiśni zerwą się z gałęzi i zatańczą, wirując dookoła drzew. *Hanafubuki* – kwiecista śnieżna burza. Widok, który byłby zwieńczeniem tego cudownego dnia.

Ale zamiast płatków zacznie wirować ziemia.

Cały park zabrzączy alarmami z telefonów: *piiii piii piii*. Ludzie odsuną się od drzew, głowy przykryją torbami. W parku są w miarę bezpieczni. Trudniej jest tym, którzy zostali w biurach albo w domach. Jeśli trzęsienie będzie naprawdę silne, ustawione na półkach przedmioty mogą pospadać im na głowę. Metro zatrzyma się automatycznie, ludzie będą czekać pod ziemią, aż ustaną wstrząsy.

Przyzwyczaili się.

To się może zdarzyć w każdej chwili. W parku albo w pracy. W szkole, na pogrzebie, na konferencji albo na weselu. Ludzie mogą spać, kochać się, jeść obiad, odrabiać pracę domową, brać prysznic, robić zakupy, oglądać film. Większości trzęsień nawet nie zauważają. Te słabsze nie uruchamiają alarmów telefonicznych. Japończycy przeczekują lekkie drgania, jakby nic istotnego się nie działo.

Ale nigdy nie wiedzą, czy za kilka sekund ziemia się nie zatrząsie, usuwając się spod nóg. I czy potem nie przyjdzie tsunami. Nie wybuchnie pożar. Nie zejdzie lawina błotna.

Ten dzień wcale nie musi być słoneczny. Może być mroźny i zimowy, taki dzień, w który buty skrzypią na śniegu. Albo wietrzny, kiedy zbliżający się tajfun gnie gałęzie do ziemi, a radio ostrzega przed wychodzeniem z domów. Może być deszczowy i pochmurny. Szary, jakby japońscy bogowie wysnali z ziemi całe światło. Albo upalny i wilgotny, taki, w którym siedzi się bez ruchu w zimnym strumieniu powietrza z klimatyzatora.

Wiesz tylko jedno: to, że pojawią się kolejne trzęsienia ziemi, kolejne tsunami, kolejne wybuchy wulkanów, tornada, tajfuny, burze, osuwiska ziemi – jest pewne.

Śmierć jest nieunikniona.

Po prostu.

WARSZTATY UMIERANIA

Na stole leży dwadzieścia kartoników. Pięć białych, pięć niebieskich, pięć czerwonych i pięć żółtych.

Zastanów się dobrze, co jest dla ciebie naprawdę ważne. Teraz weź długopis.

Na białych kartonikach zapisz rzeczy, z którymi nie potrafisz się rozstać. Telefon? Komputer? Dom? Samochód? Pierścionek – pamiątka po babci? A może pieniądze? Nie przejmuj się, jeśli nic nie przychodzi ci do głowy. Możesz wpisać rzeczy, które po prostu lubisz. Nawet swojego iPada.

Na niebieskich kartonikach zapisz miejsca, które wiążą się z dobrymi wspomnieniami. I miejsca, które kochasz. Stok, po którym jeździsz na nartach. Wieś, w której spędzałeś wakacje w dzieciństwie. Miasto, w którym studiowałeś. Góry. Morze. Motyle.

Na czerwonych kartonikach zapisz rzeczy, które lubisz robić. Twoja praca. Hobby. I twoje marzenia. Zdobyć ośmiotysięcznik, napisać książkę, wykształcić dzieci. Przyjaźń? Tak. I miłość też.

Na żółtych zapisz imiona ludzi, którzy w twoim życiu znaczą najwięcej. Nawet zmarłych. I zwierzęta. Mama, tata, siostra, mąż, dziecko, babcia, przyjaciel, kochanek, pies. Masz tylko pięć kartek. „Rodzice”? Nie oszukuj.

Teraz, kiedy już spisałeś wszystko, co dla ciebie ważne, zamknij oczy i posłuchaj tej historii. Opowiada o tobie. Albo o kimś bardzo do ciebie podobnym.

Jest ciepły wiosenny dzień. Kwitną wiśnie i forsycje. Kiedy wracasz z pracy, wysiadasz jedną stację wcześniej, żeby przejść się kawałek w słońcu. Otwierasz drzwi do mieszkania, zdejmujesz buty. Idziesz do kuchni. Nalewasz sobie szklankę wody. Nastawiasz ryż, dzieci niedługo powinny wrócić ze szkoły. Otwierasz lodówkę.

Nagle przeszywa cię ostry ból w dole brzucha. Kulisz się. Liczysz w głowie do dziesięciu, do dwudziestu, jeszcze raz do dziesięciu, czekasz, aż przejdzie. Ból powoli mija. Zostaje tylko dziwne uczucie ciężkości. Zmęczenie, myślisz. Zamykasz drzwi lodówki. Idziesz do łazienki po środki przeciwbólowe.

Następnego dnia budzisz się bardzo wcześnie. Słońce ledwo prześwituje przez beżowe rolety. Siadasz na brzegu łóżka. Kiedy się prostujesz, znowu czujesz to dziwne uczucie w brzuchu. Jakby ciążył ci kamień. Może to przesilenie wiosenne? Zaparzasz kawę, czekasz, aż obudzi się reszta rodziny i zjecie wspólne śniadanie. Patrzysz przez

okno na ciche jeszcze miasto. Wszystko będzie dobrze, myślisz.

Ale dziwne uczucie nie mija przez cały tydzień. Źle śpisz. Nie możesz skupić się na pracy. To przemęczenie, tłumaczysz sobie. Potrzebuję wakacji, powtarzasz.

Ale tak naprawdę wiesz, że dzieje się coś niedobrego.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz jedną.

Zgnieć ją i wyrzuć na ziemię.

Mówisz rodzinie, że kiepsko się czujesz. Umawiasz się na badania. Wypytyują o objawy. Zmęczenie? Biegunka? Osłabienie? A historia rodziny? Pobierają krew, badają mocz i kał. Zlecają kolejne prześwietlenia i USG. Po dwóch tygodniach dzwoni lekarz, prosząc, żebyś przyszedł na wizytę.

Słońce już mocniej grzeje, klomby pełne są kwiatów, zielenią się drzewa, już niedługo pyłek lip wypełni całe miasto. Idziesz na spotkanie z lekarzem.

Pukasz do drzwi gabinetu. Lekarz zaprasza do środka, na czarną marynarkę założył biały kitel. Oczy ma poważne. Na stole przed nim leżą wyniki badań.

Rak.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz dwie. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Przez następne tygodnie potwierdzasz diagnozę. Nakłuwają ci brzuch wielką igłą w znieczuleniu miejscowym. Które to stadium? Jakie metody leczenia stosować? Operacja? Chemia? Naświetlanie? Wizyty lekarskie masz co kilka dni. Umawiasz się na dodatkowe konsultacje.

Przyzwyczajasz się do narastającego uczucia ciężkości w brzuchu. Czasem przeszywa cię ostry ból. Wstrzymujesz wtedy oddech i znowu liczysz w myślach do dziesięciu, do dwudziestu. Dzwonisz do rodziców. Denerwujesz się, jak im o tym powiedzieć. W pracy nie możesz się na niczym skupić. W domu siedzisz na kanapie i odmierzasz czas do następnego spotkania z lekarzem.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz dwie. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Wiosna już dawno zamieniła się w lato. Dni robią się coraz dłuższe i coraz gorętsze. Powietrze jest lepkie i duszne. Razem z rodziną jedziesz pod miasto do lasu – choć na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Odpocząć od tego żaru. Idziecie na spacer

wzdłuż strumienia. Dzieciaki wygłupiają się, wskakują do wody i chlapią na wszystkie strony. Trzymacie się za ręce. Wszystko jeszcze będzie dobrze, myślisz.

Ale kiedy wracasz do miasta, czujesz, jakby ten gorąc wysysał z ciebie ostatnie siły. Na nic nie masz apetytu. Chudniesz. Robisz kolejne badania. Lekarz w białym kitlu założonym na czarną marynarkę mówi, że to nie przez upały. Jak najszybciej trzeba zrobić operację.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz trzy. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Usunięto ci guza. Teraz trzeba kontrolować czy nie pojawiają się przerzuty. Czujesz się słabo, ale przecież to normalne po operacji. Planujesz, co będzie dalej. Jak tylko odzyskasz siły, wyjedziesz z dziećmi nad morze. Młodsze ciągle uczy się pływać, pokażesz mu, jak ruszać rękami do kraula. A starsze nauczysz grać w szachy. Zabierzesz ze sobą książkę, od kilku miesięcy leży przy łóżku. Wreszcie będziesz mieć czas, żeby czytać. Wieczory będziecie spędzać we dwoje – rozmawiając, oglądając filmy, kochając się. A jak wrócisz do pracy, to może jeszcze uda ci się dołączyć do końcówki projektu, nad którym pracowaliście od pół roku. W weekend wpadniesz do rodziców. I do ciotecznej babki, nie widzieliście się od zeszłych świąt.

Powoli odzyskujesz siły. Spotykasz się z szefem, żeby ustalić, do którego projektu dołączysz, może już za dwa tygodnie? Z rodziną naprawdę planujecie wakacje. Koniecznie nad morze. Brakuje ci tego zapachu.

Rodzice odwiedzają cię co weekend. Mama przywozi garnki pełne twojego ulubionego jedzenia.

Ciągle jest ciepło, ale skończyły się największe upały. Wychodzisz zrobić zakupy na obiad. Kiedy wracasz do domu, nagle czujesz ostry ból w dole brzucha.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz dwie. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Lekarz nie ma wątpliwości. Pojawiły się przerzuty. Decyduje się na chemię i radioterapię. Chemię dostajesz doustnie raz w tygodniu, ale naświetlania muszą być robione pięć razy w tygodniu przez półtora miesiąca. To nie trwa długo, góra pół godziny, ale codziennie jeździsz do szpitala. Tylko w weekendy nie musisz wychodzić z domu.

Dręczą cię nudności. Po zabiegach wymiotujesz. Choć mama gotuje twoje ulubione potrawy z dzieciństwa, zmuszasz się, żeby cokolwiek przełknąć. W ustach zrobiły ci się bolesne rany. Wystarczy, że mocniej naciśniesz szczoteczką, żeby zaczęły krwawić ci

działa. Łamię ci się paznokcie. Na wszystko musisz uważać. Miesiąc po rozpoczęciu radioterapii zaczynają się biegunki. Skóra na brzuchu jest sucha i wrażliwa. Ale cieszysz się, bo nie wypadły ci jeszcze włosy.

Nawet nie wiesz, kiedy lato zmieniło się w jesień. Wieczory są coraz chłodniejsze. Wychodzisz z rodziną do parku niedaleko waszego domu podziwiać płomienny kolor liści. Następnego dnia masz gorączkę i katar. Wystarczy chwila na zewnątrz, żeby się przeziębic.

Boli cię już nie tylko brzuch, ale całe ciało. Z trudem podnosisz się z łóżka. Na nic nie masz siły.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz dwie. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Trzeba zwiększyć dawkę chemii. Lekarz decyduje, że będzie podawać ci ją dożylnie. Kiedy robi zastrzyk, czujesz, jak po ciebie rozchodzi się chłód. Mijają kolejne tygodnie. Niebo zmienia kolor na szarobury. Ból staje się nie do zniesienia. Budzisz się w nocy z krzykiem. Przyjmują cię na stałe do szpitala. Podają morfinę.

Za oknem coraz szybciej robi się ciemno. W nocy budzi cię deszcz walący o szyby. I jęki sąsiada. Po serii naświetlań nie ma włosów, brwi ani rzęs. Szepczesz do niego uspokajające słowa. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze. Zасыpiasz nierównym snem. Kiedy się budzisz, łóżko sąsiada jest puste.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz trzy. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Budzisz się w środku nocy. Nie wiesz, gdzie jesteś. Jest ci zimno, zgrzytasz zębami. Obejmujesz się, próbując uspokoić drgawki. Pod palcami czujesz wystające żebra. Zwiększona dawka leków nic nie dała. Dawno wypadły ci włosy, już nie wstajesz z łóżka. Tylko morfina pomaga. Dzieciaki wpadają codziennie po szkole, ale coraz częściej przesypiasz ich wizyty.

W święta przyjeżdża cała rodzina. Opierają cię na poduszkach, na kolanach kładą pięknie zapakowane prezenty. Nie masz siły ich otworzyć. Patrzysz na śnieg za oknem.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz trzy. Zgnieć je i wyrzuć na ziemię.

Budzi cię promień słońca na twarzy. Dni znowu zaczynają się wydłużać, za oknem słychać ćwierkanie ptaków, które szykują się na wiosnę. Patrzysz na kogoś, kto siedzi

przy łóżku. Ktoś zawsze jest przy tobie. Słyszysz, jak cicho wymawia twoje imię. Nie rozpoznajesz ani głosu, ani twarzy. Chcesz coś powiedzieć, ale możesz tylko mocniej ścisnąć trzymającą cię dłoń.

Otwórz oczy.

Spójrz na kartki leżące przed tobą. Wybierz jedną. Zgnieć ją i wyrzuć na ziemię.

Przychodzi taki dzień, kiedy nie czujesz już bólu. Nie słyszysz głosów lekarza ani pielęgniarek. Nie widzisz już drzew za oknem.

Odetchnij trzy razy. Naprawdę głęboko.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Otwórz oczy. Spójrz na ostatnią kartkę leżącą na stole. Zgnieć ją. I wyrzuć na ziemię. A teraz weź jeszcze jeden głęboki wdech. Kiedy wypuścisz powietrze – umrzesz.

– Jaką kartkę zostawiłeś na koniec? Co jest dla ciebie w życiu najważniejsze? – pyta mnich cichym głosem. Siedzimy w dwadzieścia osób przy przygaszonym świetle. Umieramy oddzielnie, każdy twarzą zwrócony do ściany.

W ciągu ostatnich dwóch lat na warsztatach umierania prowadzonych przez Tetsuyę Urakamiego, mnicha ze świątyni w Jokohamie, zmarło już ponad tysiąc osób. Niektórzy nawet cztery razy.

Najtrudniej jest zgniatać i wyrzucać ludzi. Dlatego umierający zginają kartki z imionami ukochanych na pół i delikatnie odkładają na ziemię. Dla starszych najważniejsze są ich dzieci. Dla młodszych – ich rodzice. Matki zawsze bardziej niż ojcowie.

Choć niektórzy zostawiają na koniec okulary – bez nich nic nie widzą. Albo komputer – bo w jego pamięci mieści się ich życie. Jeszcze inni wybierają małżeństwo – choć są samotni i wpisali je ot, tak sobie na czerwoną kartkę, bo nic innego nie przychodziło im do głowy. Ci, którzy wybrali swoje dziewczyny, myślą o tym, żeby się oświadczyć. Ci, którzy na koniec zostawili dawno niewidzianego ojca, wsiadają w samochód i jadą w odwiedziny.

– Czy czujecie, że ciągle oddychacie? – pyta nas mnich. – Nie umarliście. To nie był wasz ostatni oddech. Co zrobicie ze swoim życiem? I co zrobicie z tymi dwudziestoma skarbami, które są dla was najważniejsze?

PODZIĘKOWANIA

Na zajęciach w liceum razem z moimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami udawałam, że doskonale wiem, co to jest truizm. To na pewno coś związanego z Trójcą Świętą, przekonywałyśmy naszą nauczycielkę. Truizmem jest to, że ta książka nie powstałaby bez pomocy innych. W Japonii, kraju, którego języka nie znam, spotkałam się z niezwykle życzliwością i bezinteresownością: od oferowania noclegu po jechanie do innego miasta tylko po to, żeby pomóc mi z tłumaczeniem wywiadu. Nie mam miejsca, żeby wymienić wszystkich, ale wszystkim bardzo dziękuję za wsparcie.

Z całą pewnością ta książka nie powstałaby bez Tatsui Yabuuchiego, którego spotkałam we wrześniu 2014 roku. Popłynęliśmy obejrzeć jeden z trzech najpiękniejszych widoków Japonii – skaliste wysepki w zatoce Matsushima. Wiał słony wiatr, a ja opowiadałam, że chcę napisać o tym, jak wygląda japońska rzeczywistość po potrójnej katastrofie. Tatsuya powiedział po prostu: „Pomogę ci”. Bez jego zaangażowania, energii i pedantycznego wręcz podejścia do tłumaczenia nie odbyłabym wielu ważnych rozmów (między innymi z Kentą Satō, Naoto Matsumurą, mnichem Kanetą i Sadao Satō, którego rodzinna pamięć sięga do tsunami z 1896 roku). Pomoc Tatsui nie skończyła się w Japonii – cierpliwie odpowiadał na tysiące pytań, aranżował kolejne wywiady i tłumaczył, tłumaczył, tłumaczył.

Takamitsu Shiga, z Namie, który ożywia dla mnie ewakuowaną strefę, cierpliwie odpowiadał na pytania o statystyki, a nawet obdzwaniał kooperatywy rybackie, żeby dowiedzieć się, ile łososi wróciło do Narahy w 2015 roku. Emiko Fujioka, która razem z mężem Toshiyukim Takeuchim założyła organizację non profit Fukuden, zaprosiła mnie na dwudniową wycieczkę po zamkniętej strefie wokół elektrowni Fukushima Daiichi. Dzieliła się ze mną kontaktami, oferowała nocleg i pokazywała tradycyjną kuchnię Fukushimy. W ten sam sposób pomógł mi Yusuke Kato z The Bridge for Fukushima, który znalazł czas, żeby pojechać ze mną rozmawiać z rybakami pracującymi dla Fukushimy Daiichi i opowiadać mi o najpilniejszych problemach prefektury.

Eri Kawai i Teppei Kobayashi zajęli się mną w Sendai. Bez Eri nigdy nie poznałabym tak dobrze Ishinomaki i nie porozmawiała z Yasuo i Masaakim – mężem i ojcem, którzy nauczyli się nurkować. Z kolei Justin Boley nie tylko zabrał mnie na wolontariat do Minamisōmy i pomógł mi z wywiadami w ewakuowanej dzielnicy – Odace – lecz także poszedł ze mną na warsztaty umierania w Tokio. Z kolei mnich

Kakuho Aoe zgodził się być moim tłumaczem podczas wywiadu z mnichem Tetsuyą Urakamim, który od kilku lat prowadzi te warsztaty. To Kakuho jako pierwszy, jeszcze w 2014 roku, opowiedział mi o warsztatach, podczas których doświadczają się własnej śmierci.

Deanowi Newcombe, z którym podczas charytatywnego rajdu pokonaliśmy ponad czterysta kilometrów z Tokio do Tōhoku (on biegł, ja i reszta jechaliśmy rowerami), dziękuję za bycie modelem. I za przedstawienie mnie babci Abe. A Rebecce Irby dziękuję, że mnie na ten rajd zaprosiła i w ciągu pięciu minut została moją serdeczną przyjaciółką.

Mnichowi Kanecie dziękuję za długie godziny spędzone nad filiżanką pysznej zielonej herbaty. I za zaproszenie mnie do narzekania podczas „Cafe de Monku”. Przy okazji dziękuję Reiko Fujiwara za tłumaczenie naszego drugiego spotkania, podczas którego rozmawialiśmy o duchach.

Kencie Satō dziękuję za czas. Nie tylko zabrał mnie na cały dzień do Iitate, lecz także nigdy nie odmawiał prośby o uściślenie kolejnych szczegółów jego historii o skażonej wiosce. Przegadaliśmy ponad dwadzieścia godzin.

Profesorowi Masato Motosace dziękuję za lekcję poglądową na temat fali książek. I tego, jak dbać o własne bezpieczeństwo, kiedy trzęsie się ziemia. Profesorowi Hikaru Amano dziękuję za tłumaczenie ciągle od nowa, jak w magiczny sposób badać promieniowanie.

Midori Namba uratowała mnie w ostatniej chwili (kiedy umówiony tłumacz się rozchorował), zgadzając się tłumaczyć wywiad z Kenjim Higuchim w jego mieszkaniu pełnym książek i zdjęć ze środka elektrowni jądrowej. Dziękuję Foreign Press Center Japan za pomoc w zorganizowaniu tego wywiadu. Doktor Sébastien Penmellen Boret spotykał się ze mną kilkakrotnie, żeby porozmawiać o śmierci i sposobach upamiętniania zmarłych w Japonii. Ali Dib, który pokazuje mi świat Tokio i dzieli się japońskimi ciekawostkami, pomagał mi w tłumaczeniu rozmowy z Hirokim Terai – udało nam się nie popłakać. A Amya Miller pomogła mi podczas rozmowy z panem Teiichi Satō. Panu Satō dziękuję za niezwykle popołudnie spędzone w budce zbudowanej z resztek po tsunami. I za poczęstowanie mnie świeżymi ogórkami z jego szklarni podanymi razem z pastą *miso*.

Atsuko Tanaka, odważnej i pięknej kobiecie, mojej przyjaciółce, dziękuję za to, że mam w Japonii miejsce, które nazywam domem. Nawet Yochan, duży pręgowany kot, już się do mnie przyzwyczał. Dziękuję jej również za tłumaczenie wywiadu z Norio Kimurą, jeszcze w marcu 2014 roku. Właściwie to od niego wszystko się zaczęło.

Mikako Sawada dziękuję za zostawienie mi pod doniczką kluczy do domu w Kioto.

Za czarny rower, na którym jeździłam nad brzegiem rzeki Kamo i odkrywałam zielonowodny świat tego wyjątkowego miasta. Dziękuję jej również za wprowadzanie mnie w niuanse japońskiej kultury. Jej i Noriko Yamaguchi dziękuję za wieczory w najlepszych *izakaya* Kioto (kto jak kto, ale obie się znają – piszą o jedzeniu do gazet). Dzięki nim zapominałam o gęstej atmosferze Fukushima. Noriko należą się oddzielne podziękowania za rzucone mimochodem zdanie: „Wiesz, na północy Japonii mieszkają szamanki”

Za pomoc dziękuję również: Kyoko Hirano, Keiko Takahashi, Ody’emu Odybar (przejechał kilkaset kilometrów, żeby tłumaczyć spotkanie z *itako!*), Ryokiemu Satō, Gan Iwao Nagayamie, Tamao Yamamoto, Tetsuro Eguchiemu, Eijiro Toyocie, Umi Kojimie, Takanoriemu Obayashi, Erice Nakajimie z P@ct (która organizuje wolontariat w Rikuzentakacie), Kyoce Yukimoto, Akirze Okayamie, Fujimoto Noriemu, Yukari Ezoie z Ricoh, Mike’owi Connolly’emu, Satoru Mimurze, a także Saori Machimurze i Satoko Noguchi z Habiatu.

A to tylko część japońska – jest jeszcze, nie mniej ważna, część polska.

Doktor habilitowanej Beacie Kubiak Ho-Chi dziękuję za wnikliwe uwagi, weryfikowanie błędów i poszerzanie mojej wiedzy. Cieszę się, że łączy nas zamiłowanie nie tylko do Japonii, lecz także do Wietnamu.

Doktor Michał Kozub z ITME spędził ze mną długie godziny, rozmawiając o tym, czym właściwie jest całe to promieniowanie. Cierpliwie odpowiadał na każde pytanie w tak fascynujący sposób, że nie zauważałam upływu czasu. Dziękuję mu również za wielokrotne konsultacje na temat izotopów, neutronów i siwertów.

Pani Anna Król-Kuczkowska, psychoterapeutka z poznańskiej pracowni HUMANI, spotkała się ze mną, żeby porozmawiać o różnicach pomiędzy traumą i żałobą. I o tym, jak różne są procesy radzenia sobie ze stratą.

I na koniec część prywatna.

Dziękuję Mamie, Tacie i Zosi za okres ochronny, cierpliwość i miłość. Dziadkowi za naukę i uważne czytanie. Przyjaciołom za to, że nie zrażali się milczeniem. I że razem ze mną uczyli się, jak wygląda ten proces – przy kolejnej książce będzie nam łatwiej. Zuzi, Dominice i Ani za to, że znosiły wszystkie skutki uboczne pisania. Aguli dziękuję za to, że przyjechała zobaczyć i zrozumieć mój świat. Oleńce za to, że zawsze mi kibicuje – nawet zza dwóch oceanów. Alexowi za rozmowy o ewakuowanych, promieniowaniu i za długie SMS-y wysyłane pomiędzy Polską a Japonią, kiedy było nam źle. Bhavikowi za wsparcie i śmieszne filmiki ze zwierzętami. Filipowi za to, że zawsze mówił, że to jest to, co powinnam robić.

Pani Agacie Tuszyńskiej dziękuję za to, że od ponad dziesięciu lat powtarza mi: „Pisz!”. Wojtkowi Tochmanowi za to, że nie miał problemu z powiedzeniem: „Zróbmy

to razem?" Pawłowi Goźlińskiemu, mojemu redaktorowi, dziękuję za czas i zaufanie. Za rozmowy, które zawsze gdzieś prowadzą. I za to, że wie, kiedy trzeba powiedzieć: „To nie są żarty”

Henrykowi Lipszycowi dziękuję za szkatułkowe opowieści i za to, że pokazał mi, że miłość do Japonii jest miłością do końca życia.

A mojej nauczycielce, Anecie Pierzchale, która wytłumaczyła mi, czym jest truizm, dziękuję za to, że kiedy rozmawialiśmy o Szekspirze, pokazywała nam Kurosawę. To ona, swoimi opowieściami o cieniach w Hiroszynie, zaszczepiła we mnie miłość do Japonii.

I jeszcze dziękuję Louisowi CK. Za to, że mnie rozśmieszał, kiedy nic nie wydawało się śmieszne, i zawsze dotrzymywał mi towarzystwa. O dowolnej porze dnia i nocy.

ŹRÓDŁA

Jednym z głównych źródeł informacji był dla mnie anglojęzyczny dziennik „The Japan Times”. To tam, w krótkich tekstach, znajdowałam bohaterów, z którymi później się spotykałam. Niemniej przydatne były „Asahi Shimbun” i „Mainichi”.

O mitach i legendach czytałam u Jolanty Tubielewicz w *Mitologii Japonii* (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986), Kunio Yanagity (*The Legends of Tono*, Lexington Books, Lanham 2008) i Lafcadio Hearna (*Kwaidan. Opowieści niezwykłe*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984). O historii Japonii i cudach ekonomicznych przeplatanych na zmianę z kryzysami – u Andrew Gordona (*Nowożytna historia Japonii*, PIW, Warszawa 2010). O kulturze – w klasycznym dziele Ruth Benedict *Chryzantema i miecz. Wzory kultury japońskiej* (PIW, Warszawa 1999) i bardziej współczesnym *Rekinie z parku Yoyogi* Joanny Bator (WAB, Warszawa 2014). O tym, jak wyglądała Hiroszima po zrzuconiu bomby, dowiedziałam się z pamiętników Michihiko Hachii (*Hiroshima Diary. The Journal of a Japanese Physician, August 6–September 30, 1945*, The University of North Carolina Press, Chapel Hill 1995) i z mangi *Barefoot Gen (Bosonogi Gen)* Keijiego Nakazawy (skrótowa angielska wersja, Dino Box, Tokio 2013). O Japonii po katastrofie z 2011 roku czytałam u dwóch polskich dziennikarzy: Piotra Bernardyna (*Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima*, Bezdroża, Gliwice 2014) i Rafała Tomańskiego (*Made in Japan*, Bezdroża, Gliwice 2013). W tajniki śmierci po japońsku wprowadzała mnie Marie Mockett (*Where the Dead Pause and the Japanese Say Goodbye: A Journey*, Norton, Nowy Jork 2015).

Świadectwa tsunami zebrali dziennikarze z Ōtsuchi Mirai Shimbun i wydali jako książkę *Life After the Tsunami* (Japan Center of Education for Journalist, 2013). Historię trzęsienia ziemi, tsunami i wybuchów w elektrowni Fukushima Daiichi opisali również Lucy Birmingham i David McNeill w książce *Strong in the Rain* (Palgrave Macmillan, Nowy Jork 2012).

Wiedzę o historycznych trzęsieniach ziemi czerpałam między innymi ze *Studies on the 2011 Off the Pacific Coast of Tohoku Earthquake*, pod redakcją Hiroshiego Kawase (Springer, Tokio 2014).

O przebiegu katastrofy w Fukushima Daiichi czytałam w kilku książkach (każda opisuje te wydarzenia trochę inaczej): The Independent Investigation Commission on

the Fukushima Nuclear Accident, *The Fukushima Daiichi Nuclear Power Station Disaster. Investigating the Myth and Reality* (Routledge, Londyn 2014); David Lochbaum, Edwin Lyman, Susan Q. Stranahan, The Union of Concerned Scientists, *Fukushima. The Story of a Nuclear Disaster* (The New Press, Nowy Jork 2014); Ryūshō Kadota, *On the Brink: The Inside Story of Fukushima Daiichi* (Kurodahan Press, Fukuoka 2014). Korzystałam również z fragmentów przesłuchania Masao Yoshidy przetłumaczonych na angielski przez „Asahi Shimbun” i opublikowanych jako *The Yoshida Testimony* (http://www.asahi.com/special/yoshida_report/en/).

O historii atomu w Japonii czytałam u Richarda Krootha, Morrisa Edelsona i Hiroshiego Fukurai w *Nuclear tsunami. The Japanese Government and America's Role in the Fukushima Disaster* (Lexington Books, Lanham 2015), a także u Benjamin K. Sovacoola i Scotta Victora Valentine'a w *The National Politics of Nuclear Power: Economics, Security, and Governance* (Routledge, Oxon 2012).

Piękno Tōhoku odkrywał przede mną Matsuo Bashō w *The Narrow Road to the Deep North and Other Travel Sketches* (Penguin Books Classics, Londyn 1966).

INNE

Podczas pracy nad książką korzystałam też z wielu opracowań naukowych, rządowych dokumentów i publikacji wydawanych przez organizacje pozarządowe. Poniżej wymieniam tylko najistotniejsze z nich – nie w porządku alfabetycznym ale chronologicznym.

Keiko Torigoe, *Insights into the Global Composition. Taken at Three Stricken Places in Japan*, „Soundscape” 2012–2013, t. 12, nr 1, (s. 9–14).

Teiichi Satō, *The Seed of Hope in the Heart. March, 2014 – Three years from “3.11”*, Rikuzentakata 2014.

Munemasa Takahashi, *Tsunami, Photographs, and Then. Lost & Found Project. Family Photos swept away by 3.11 East Japan Tsunami*, AKAAGA ART PUBLISHING Inc, Kioto 2014.

Peter H. Brothers, *Japan's Nuclear Nightmare: How the Bomb Became a Beast Called Godzilla*, „Cineaste” 2011, t. 36, nr 3, (s. 36–40).

Kenichi Hasegawa, *Fukushima's Stolen Lives: A Dairy Farmer's Story of How Nuclear Power Destroyed a Community and a Way of Life*, Reportage Laboratory Co. Ltd., 2012 (<http://fukushima-diary.weebly.com/read-an-excerpt.html>).

Reiko Hasegawa, *Disaster Evacuation from Japan's 2011 Tsunami Disaster and the Fukushima Nuclear Accident*, IDDRI, SciencesPo, Paryż 2013.

Hikaru Amano, Hideaki Sakamoto, Norikatsu Shiga, Kaori Suzuki, *Method for rapid screening analysis of Sr-90 in edible plant samples collected near Fukushima*,

Japan, „Applied Radiation and Isotopes” 2016, t. 112 (nr 6, s. 131–135).

Mark Willacy, *Fukushima*, Macmillian Australia, Sydney 2013.

Korzystałam również z poniższych informacji opublikowanych po angielsku na stronie japońskiego Ministerstwa Środowiska:

Decontamination

Guidelines

(http://josen.env.go.jp/en/framework/pdf/decontamination_guidelines_2nd.pdf);

Progress on Off-site Cleanup and Interim Storage in Japan,

(http://josen.env.go.jp/en/pdf/progresseet_progress_on_cleanup_efforts.pdf?160126);

Act on Special Measures Concerning the Handling of Environment Pollution by Radioactive Materials Discharged by the Nuclear Power Station Accident with the Tohoku District, (<http://josen.env.go.jp/en/>).

FILMY

Alone in the Zone, reż. Ivan Kovac, Jeffrey Jousan, Japonia 2013.

Nuclear Ginza, reż. Nicholas Röhl, Wielka Brytania 1995.

PRZYPISY

- [1] Tłumaczenie autorki na podstawie fragmentu cytowanego w tekście Keiko Torigoe *Insights into the Global Composition. Taken at Three Stricken Places in Japan*, „Soundscape” (t. 12, nr 1, 2012–013, s. 13–4.
- [2] Tłumaczenie autorki na podstawie fragmentu ze strony internetowej: <http://ngm.nationalgeographic.com/1896/09/japan-tsunami/scidmore-text>
- [3] Kamo no Chōmei, Hōjōki. *Zapiski z pustelni*, tłum. Krystyna Okazaki, w: Krystyna Wilkoszewska (red.), *Estetyka japońska*. Antologia, Kraków 2001, s. 25.
- [4] Ibidem.
- [5] Różne organizacje, gazety, a nawet rządowe agencje podają rozbieżne statystyki. Korzystałam z informacji podanych na stronach internetowych prefektur Fukushima, Miyagi i Iwate.
- [6] To limity sprzed 2011 roku. Japońskie limity różnią się od międzynarodowych.
- [7] W 1995 roku, kiedy kręcono dokument.
- [8] W 2011 roku.
- [9] Zgodnie z zaleceniami International Commission on Radiological Protection.
- [10] W latach osiemdziesiątych, kiedy powstawał system, równowartość 166 milionów dolarów.